

*Łowca Gwiazd*



*Mariusz Kwiatkowski*

Mariusz Kwiatkowski

# Łowca gwiazd



Pociąg turkotał miarowo, a on myślał o przeszłości. Poczł się zmęczony, zwiesił głowę. Tu i teraz przestały istnieć. Rozpłynęły się i stały nieistotne. Wrócił do innych czasów i innych miejsc.

Wieczorami, gdy wozy przystawały na leśnych polanach, a zmęczenie otaczało przestrzeń ciszą, patrzył długo na spróchniałe i zawilgocone deski, bo bał się usnąć. Ale z wolna, wbrew sobie, oddalał się od rzeczywistości. Zjawy i cienie krążyły wokół niego, ciągnąc go w toń przeszłości. Widział czerwoną i nabrzmiałą twarz ojca, który przegrawszy wszystko w karty, za słaby, aby brzemię swej słabości dźwigać dalej, przeciął za jednym zamachem przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. „Ojcze, dlaczego tak postąpiłeś?”, pytał w myślach, „dlaczego przysiadłeś się do stolika nakrytego czerwonym sukniem, aby ulec przeznaczeniu?”

Ojciec milczał. Patrzył nań dobrymi, smutnymi oczyma, czasami wyciągał dłonie, lecz wtedy Włodzimierz gwałtownie się budził. Zawieszony na granicy przeszłości i teraźniejszości, na granicy snu i jawy dotykał palcami rozpalonego czoła, spoglądał na matkę, mizerną, drobną, obciążoną niespodziewanym ciężarem, spoglądał na młodszą od siebie o trzy lata pięcioletnią Julię i ślubował Bogu, że nigdy, aż do kresu swoich dni, ich nie opuści.

– śpij, Włodku – mówiła matka. – śpij, moje dziecko.

– Dokąd jedziemy, mamó? – pytał.

– Nie wiem – odpowiadała. – Tam, gdzie los zaprowadzi.

Noce się powtarzały i powtarzały się ich rozmowy, a dni upływały na wędrówce. Minęli Grodno, miasto blisko granicy i zaczęli wierzyć, że niedługo znajdą się w Polsce. Wtedy dogonił ich kapitan Rykałow. Było mu obojętne, kogo zatrzyma na szerokim trakcie. Pragnął pieniędzy, bo o nie prosiła jego kochanka. Prosiła o czerwone suknie, o kolorowe paciorki. Odbierał chłopom zboże, kury, świnie, powtarzając, że robi to w imię sprawiedliwości, w imię walki z bogaczami, w imię nowej, wspaniałej Rosji. Wieczorami, wbity w czarnooką karczmarkę, nic nie pamiętał ze swoich słów i wszystko zdawało mu się obojętne wobec cielesnej przyjemności.

Bardzo wolno, świadomy swojej potęgi, podjechał do pierwszego wozu i spojrzał w oczy chłopcu, który wyszedł naprzeciw.

– Kto ty? – zapytał, przykładając dłoń do czapki, aby lepiej widzieć twarz dziecka.

– Przejezdni...

Uśmiechnął się drwiąco, przyjrzał się białym, wysmukłym dłoniom, delikatnej twarzy.

– Uciekacie, znaczy... wy... pany...

Chłopiec milczał.

– Gdzie twoi rodzice?

– Matka źle się czuje.

– A ojciec?

– Ojca nie ma...

Oficer burknął pod nosem przekleństwo, gwałtownym ruchem poderwał konia i zaraz osadził go w miejscu, rozkazał ludziom zejść z koni i przeszukać wozy. Potem kazał się prowadzić Włodzimierzowi do matki. Sprawdził toboły i skrzynie, wysypał z nich zawartość i rozkopał ją z gniewem na wszystkie strony. Zabrał resztki żywności i pieniędzy, wyrzucił dzieci na zewnątrz. Wyszedł po kilkunastu minutach, zadowolony z siebie i uśmiechnięty. Rozejrzał się za chłopcem i dziewczynką, lecz ich nie dostrzegł. Oboje ukryli się w pobliskim lesie. Ciszę rozdarły głośne, przesywające wrzaski kobiet. Czerwonoarmiści przez parę godzin kręcili się po obozie, wreszcie odjechali.

Dzieci pobiegły do furmanki. Matka leżała nieruchomo na ławie, z zamkniętymi oczyma. Machinalnie objęła i przytuliła rodzeństwo, gdy do niej przywarło.

Wieczorem przeszli granicę. Zapłacili przewodnikowi resztę należnych mu pieniędzy, zaszytych w sukience małej Julii, potem, po całym dniu wędrówki, zatrzymali się na łące obramowanej zielenią dębowego lasu i przegrodzonej bystrym nurtem szerokiej rzeki.

Wokoło ciągnęły się nieskończone lasy, przecinane powierzchnią błękitnych jezior i nielicznych małych grodów.

– Zostawiliśmy wszystko za sobą – powiedziała matka. – Teraz rozpoczniemy nowe życie.

Następnego dnia zaczęli znosić gałęzie, pnie. W lesie rozległy się uderzenia siekier. Martwe dotychczas miejsce przeistaczało się z każdą chwilą.

Kira pracowała równie ciężko jak mężczyźni. Tyle w niej było godności i hartu, że pracujący intuicyjnie przyjmowali jej przywództwo.

Wieczorem zawołała dzieci.

Niebo było ciche i spokojne. Białe chmury płynęły leniwie, rzeka lśniła wśród zieleni falującym srebrem wody.

– Od dzisiaj nazywamy się inaczej – rzekła. – Przeszłość na zawsze umarła. Każdemu mówcie, że z domu zwiecie się Dąbrowscy. Tak będzie najlepiej.

Jej spojrzenie zatrzymało się przez moment na koronach drzew.

– To dobre nazwisko – dodała.

Następnego dnia pojechała obejrzeć okolicę. Dojechała do Berna, małego miasta, leżącego kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym się zatrzymali. Poszła do urzędu. Starszy mężczyzna, sprawujący funkcję burmistrza, długo jej wyjaśniał, że nie powinna się obawiać. Mówił, że nowa Polska zapewni każdemu obywatelowi wykształcenie, opiekę zdrowotną i dach nad głową. I nigdy nie utracimy już wolności, dodał ze łzami w oczach. świat dopiero teraz pozna, ile jesteśmy warci.

Powiedziała mu, że nie interesuje ją świat, ale własne dzieci i rodzina.

Wyjeżdżała szczęśliwa. Mijała jasne domy, przybrane biało- czerwonymi flagami i uradowanych ludzi

Wracała późnym wieczorem, gdy las, pokryty nieprzeniknionym mrokiem, zdawał się tajemniczy i odległy, ale powietrze uderzało w nozdrza zapachem świeżego igliwia, a Jakub, powożący, opowiadał dowcipy, od których się zaśmiewała.

Tej nocy, wpatrzona w przytulone do siebie dzieci, po raz pierwszy od wielu miesięcy zasypiała spokojnie, przekonana, że jej los nigdy nie stanie się losem Julii i Włodzimierza.

Najbliższych kilka tygodni minęło na nieprzerwanej pracy. W Dębowej Łące załśniły białe domy. Osiedleńcy zbudowali parę sklepów, niewielką szkołę, mały kościół, który

stał nieużywany, ponieważ ksiądz miał dopiero przyjechać.

W lipcu troje małych dzieci zachorowało na ospę wietrzną. Szybko sprowadzono lekarza i pielęgniarkę, którzy postanowili pozostać w osadzie. Doktor należał do milczków i samotników, unikał towarzystwa, wieczorami rzadko wychodził z domu. Ale wkrótce zaczął wyjeżdżać w sobie tylko wiadome miejsca. Zauważono, że lubi kobiece towarzystwo.

Pielęgniarka była młodą, dwudziestoletnią dziewczyną. Jej czarne jak węgiel oczy lśniły radością życia. Tańczyła, śpiewała i uwodziła od niechcienia młodych chłopców. Jednak nie potrafiła któregośkolwiek z nich pokochać i wciąż czekała na wydarzenie, mogące odmienić jej losy.

Kira w pierwszych dniach istnienia Dębowej Łąki zajęła się handlem. Codziennie rano zawoziła do miasta kłody drewna, sprzedawała zioła i sporządzone z nich lekarstwa. Zarobione pieniądze przeznaczyła na wystrój domu. Kupiła drogie meble, stare pianino w dobrym stanie, na którym dzieci wygrywały własne kompozycje, posrebrzany ścienny zegar z kukułką, porcelanowe naczynia, nici i igły do szycia, ubranie dla dzieci.

Wiecznie zagoniona, skupiona na powiększaniu majątku, nie znajdowała czasu na najmniejsze przyjemności, pogrążając się bez reszty w wirze codziennych obowiązków. Tylko wieczorami zapalała w pokoju światło, siadywała przy dzieciach, wpatrując się w ich twarze i szukając w nich podobieństw do zmarłego męża i znajdując je we Włodzimierzu, który miał równie niebieskie i zamyślane oczy, patrzące tak, jakby widziały coś, czego inni nie potrafili dostrzec.. Niepodobny do ojca fizycznie, wydawał się niekiedy tak samo oddalony do rzeczywistości, nieco bezradny i zagubiony. Był ostrożny, przypatrywał się nieznanym ludziom nieufnie, lecz gdy któryś z nich się uśmiechnął, powiedział parę życzliwych słów, gotów był pójść za nim na dobre i na złe.

Kira uważała, iż to zła cecha i sądziła, że wcześniej czy później przyniesie synowi wiele cierpień.

Nocami walczyła z przeszłością, uciekała od wspomnień, uciekała od wszystkich minionych lat, w których nie znajdowała nic radosnego oprócz zgrzyoty i niepowodzeń. Zdarzały się momenty, gdy przypominała zostawione za sobą domy, twarze i ręce, a także słowa osób od dawna już nie żyjących. Myślała wtedy, że los wcześniej czy później nie oszczędza nikomu cierpień i jest jak bagno, którego nie sposób ominąć.

Tuż przed przyjazdem do Dębowej Łąki przestała wierzyć w Boga, uznała, że na świecie jest za dużo łajdactw i niesprawiedliwości, aby mógł istnieć. Lecz nie zdradzała swoich myśli, a dzieci uczyła wiary, sądząc, że pomaga przetrwać najgorsze momenty. Poza tym nie widziała nic złego w wypełnianiu dziesięciu przekazów. Tyle tylko, rozważała, że świat ich nie wypełnia. Przeżyliśmy wielką wojnę, podczas której człowiek raz na zawsze przekreślił dobro, a kto wie, co nam dalej sążone...

świat zaś toczył się swoim torem a Dębowa Łąka rozwijała się z każdym miesiącem. Rozkwitała nowymi domami, przyjmowała wciąż nowych wędrowców, pragnących w jej granicach odnaleźć swoje marzenia. Napływali uciekinierzy z Rosji, z Austrii, z Czech, z Niemiec. Różniła ich kultura, przyzwyczajenia, język, niekiedy wiara, łączyło zaś przekonanie, że po wielu latach zaborów i niewoli stworzą taki kraj, jakiego jeszcze nikt nie widział, ojczyznę ludzi wolnych, mądrych i uczciwych.

Kira trzymała się z dala od wszelkich dyskusji, wieców, zebrań, przekonana, że do niczego dobrego nie doprowadzą. Ale nie zamykała swoich drzwi przed ludźmi, nie odmawiała nikomu gościny, starała się pomagać potrzebującym, lub stawiającym pierwsze kroki w nowym miejscu.

Pod koniec lata pojawił się w miasteczku Jakub Dorniłowicz, mężczyzna w sile wieku, najwyżej trzydziestoparoletni, dysponujący dużym kapitałem, otwartą głową i planami na przyszłość. Wraz z nim przyjechali robotnicy, zaangażowani do budowy fabryki.

Przybyli również pierwsi Żydzi. Zbudowali naprędce synagogę, po drugiej stronie rzeki, i parę domów, skupionych przy sobie. Wnieśli do Dębowej Łąki gwar różnobarwnych jarmarków, kolorowych straganów, pełnych tkanin, ubrań, żywności, wina i mięsa, wybudowali sklepy, rozwinęli z dnia na dzień handel z okolicznymi miastami.

Kira, pamiętająca aż za dobrze pierwsze trudne dni, z radością obserwowała ów rozwój.

Włodzimierz zaczął od września chodzić do szkoły, małego budynku, wybudowanego przez mieszkańców Dębowej Łąki. Wracał po południu, przejęty i zachwycony nowymi wiadomościami. Pokazywał matce litery, których nauczyła go pani. Mówił z niedowierzaniem o tym, że ziemia jest okrągła i mniejsza niż słońce. Opowiadał o dalekich krajach, pełnych soczystych nabrzmiałych owoców i ludzi o odmiennym kolorze skóry.



W klasie zaprzyjaźnił się z paroma chłopcami. Po skończonych lekcjach zniknął z nimi na długie godziny, wracał umorusany i zablocony, szczęśliwy, przepełniony podziwem dla leśnych ustroni, wspominał opowieści przyjaciół o skarbach kryjących się w dziczy, wśród ruin starego zamku.

Kira słuchała go z obawą, dręczyły ją myśli, że syn wda się w jakieś fanaberie, chłopięce przygody, które odciągną go od nauki, a potem uczynią człowiekiem równie niepraktycznym i niezaradnym jak jego ojciec. śledziła bacznie Włodzimierza, wypytując gdzie był i z kim się bawił.

Mała Julia nie sprawiała kłopotów, pomagała matce w miarę swoich możliwości i zachowywała się w przeciwieństwie do brata niezwykle rezerwowo. Niekiedy wydawała się nawet za bardzo dojrzała jak na swój wiek. Wieczorem i rano, zawsze w tych samych godzinach, modliła się do Boga i nigdy nie pozwalała sobie na jakiegokolwiek odstępstwa do tego zwyczaju. Potem porządkowała swój pokój, przecierała kurze, usuwała niepotrzebne rzeczy, doprowadzając pomieszczenie do rzadko spotykanej czystości. Podobnie starannie dbała o swoją garderobę. Bardzo prędko nauczyła się łączyć wszelkie dziury. I nawet wtedy, gdy Kira co rusz zaczęła przynosić jej nowe sukienki, nie zaniedbała tego zwyczaju. Pewnego dnia poprosiła stolarza, aby zrobił jej drewnianą świnkę z małą dziurą na grzbiecie, i zaczęła do niej wrzucać każdy grosz, podarowany jej przez matkę.

Kira była pewna, że mała wyrośnie na zaradną kobietę. Jeśli o co się bała, to o zdrowie Julii, która często chorowała na anginę, długo potem dochodząc do zdrowia.

Wieczorami przez jej dom przewijało się mnóstwo osób, zarówno bogatych, jak i biednych, zaprzyjaźnionych z sobą przez wspólny trud wznoszenia miasta. Opowiadano sobie o przeszłości, zastanawiano się nad przyszłością. Kobiety gawędziły o dzieciach, mężczyźni o partiach politycznych, o wyborach do sejmu, o parcelacji ziemi. Później gdy w miasteczku powstała liczna grupa nowobogackich, biedniejsi przestali odwiedzać domostwo Kiry, różnice w poglądach były za duże, aby mogli się porozumieć. Okres spokojnego, przepełnionego wzajemnym zrozumieniem życia, odchodził w zapomnienie.

Jakub Dorniłowicz był stałym gościem Kiry. Przychodził każdego wieczora, siadał przy filiżance herbaty i milczał przez kilkadziesiąt minut wpatrzony w jej twarz i zasłuchany w jej słowa. Wiedziała, że mu się podoba, ale nie zamierzała zmieniać swojego losu. Przyzwyczała się do samotnych nocy i nie chciała dla dzieci przybranego ojca.

Dorniłowicz zrezygnował z budowy fabryki i zajął się aptekarstwem. Wybudował piękny pawilon, nawiązał kontakty z handlowcami ze stolicy, zakupił u nich lekarstwa, potem zatrudnił parę osób i otworzył aptekę. Przyjmował również zioła od Kiry, która dzięki temu znacznie zwiększyła obroty i majątek. Wkrótce zaproponował jej wspólne prowadzenie interesu, na co bez wahania się zgodziła.

Włodzimierz w tym okresie po raz pierwszy doświadczył nietolerancji i nienawiści. Do jego klasy chodziły dzieci z najróżniejszych rodzin, zamożnych i biednych, ale nie było pośród nich dzieci żydowskich, mających swój świat, rozciągający się po drugiej stronie rzeki. Tam pobierały w jakiś tajemny sposób, o którym Włodzimierz nic nie wiedział, naukę. Tam modliły się do tego samego niby Boga, lecz cokolwiek innego. Tam wreszcie bawiły się i śmiały, lecz wszystko to, o tym był przeświadczony, robiły inaczej. Tkwiła w tym tajemnica. Dalekie domy przyciągały jak magnes. Jednak żadne ze znanych Włodzimierzowi dzieci nie zapuszczało się na drugi brzeg rzeki, więc i on unikał wędrówek w tamte strony.

W klasie pojawił się szczupły wysoki chłopiec o ciemnych włosach i czarnych, rozmarzonych oczach. Miał na imię Szymon, nazywał się Rabinowicz. Spoglądał zaczepnie, do nikogo się nie odzywał, i od razu pobił się z Włodzimierzem. Walczyli jak dwa koguty, wreszcie opadli z sił. Przyszła wychowawczyni, wytargała ich za uszy, kazała się wzajemnie przeprosić, co uczynili z wielką niechęcią. Później posadziła obcego z Włodzimierzem. Okazało się, że Szymon dobrze sobie radzi z matematyką, a także ładnie śpiewa. Włodzimierz nawet nie zauważył, kiedy wzajemna niechęć przekształciła się w przyjaźń, przerwana wiele lat później, gdy znany im świat wybuchnął niczym balonik. Po zakończonych zajęciach odprowadzał Szymona do mostu, patrzył jak drobna postać kolegi rozplywa się w wieczornym półmroku, po czym szybkim krokiem wracał do domu.

Któregoś dnia chłopiec ze starszej klasy zapytał Włodzimierza, dlaczego przyjaźni się z Żydem. Odparł, że nikogo takiego nie zna. „Jak to nie znasz?” – roześmiał się tamten, wydymając z pogardą policzki. – „Przecież codziennie was widuję”.

Tak Włodzimierz dowiedział się, że jego przyjaciel jest inny. Ale pogodził się z tym i nie przywiązywał do tego najmniejszej wagi, bo Szymon był pracowity, zaradny i zachowywał się tak, jak chłopiec w jego wieku, zdaniem Włodzimierza, powinien się zachowywać. Nim jednak zżył się z odmiennością kolegi, zapytał o to, czy naprawdę jest Żydem. Szymon na chwilę umilkł, potem spojrzał mu w oczy i odpowiedział, że owszem, że jest. Włodzimierz poczuł się nieswojo. Jednak twarz Szymona wyglądała tak samo jak

zawsze, tak samo spoglądał nań swoimi ciemnymi oczyma, w tej chwili zachmurzonymi, trochę zagniewanymi.

– Wy nie wierzycie w Boga? – zapytał Włodzimierz.

Słońce oświetlało twarz Szymona, igrało cieniem liści na jego policzkach, wiatr rozwiewał ciemne włosy chłopca.

– Wierzymy – odpowiedział. – Przestrzegamy prawa, które Bóg powierzył Mojżeszowi.

– My też. Dlaczego więc nie chodzimy do tego samego kościoła?

– Bo my wciąż czekamy na mesjasza. Nie wierzymy, aby nim był Jezus Chrystus.

Rozmawiali bardzo długo. Szymon opowiedział przyjacielowi o wielu sprawach. Włodzimierz usłyszał o życiu wspólnoty żydowskiej i o mądrym człowieku, nazywanym rabinem. Dowiedział się, iż ojciec Szymona postępuje inaczej niż pozostali Żydzi. Nie chodzi do bożnicy, ma własne teorie, potrafi wytłumaczyć każdą rzecz, uważa, że Szymon powinien zdobyć wykształcenie w polskich szkołach, poznać dobrze polski język, polską kulturę, a w przyszłości zostać prawnikiem.

Włodzimierz, gdy zostawał sam, często wspominał ojca. Pewnego dnia, wiedziony nieodpartym pragnieniem, wykopał w lesie mogiłę, przyozdobił wyrzeźbionym przez siebie krzyżem i wrył na nim imię ojca.

Raz w tygodniu przychodził na leśną polanę, klękał przy kopcu, rozmawiał z Tadeuszem. Opowiadał mu o wszelkich problemach, zapytywał o rady. Wierzył, że po takiej rozmowie ojciec ukaże mu się we śnie, odpowie na wątpliwości. A zwłaszcza na te dotyczące jego losów pośmiertnych, bo Włodzimierz słyszał niejednemu raz, że samobójcy nie znajdują spokoju po śmierci, zostają skazani na wieczne potępienie, na zapomnienie przez Boga. Bardzo pragnął, aby było inaczej, zamierzał nawet poprosić o wyjaśnienia księdza, lecz bał się odpowiedzi i wciąż zwlekał z wizytą.

Zdawało mu się, że jego ojciec pozbawiony bożego miłosierdzia, nie pochowany w poświęconej ziemi, krąży samotnie po lesie, daremnie oczekując spokoju, wciąż na nowo przeżywając swój dramat, z powodu którego odebrał sobie życie.

W połowie października Jakub Dorniłowicz postanowił poprosić o rękę Kirę. W interesach osiągał sukcesy, powiększał każdego dnia fortunę, jednak wieczorami, kiedy

odchodzili znajomi, przychodziła doń samotność, przychodził strach o zdrowie.

Dorniłowicz, nim na dobre osiadł w Dębowej Łące, walczył przez długie lata o niepodległość. Brał udział w najróżniejszych demonstracjach i wiecach, agitował, pisał odezwy kompromitujące Rosjan. Potem przeszedł piekło pierwszej wojny światowej, walczył po stronie Austrii przeciw Rosji. Został ranny. Dostał się do niewoli, z której uciekł, zabijając trzech młodych Rosjan.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wrócił do Warszawy, zatrzymał się u krewnych. Potem wyjechał, aby rozpocząć nowe życie, znaleźć odpowiednią kobietę, założyć rodzinę.

Kira przypadła mu do gustu. Była samodzielna, pracowita i zaradna, nie ulegała przeciwnościom losu. To że jest wdową i ma dwoje dzieci, zupełnie mu nie przeszkadzało. Nie mógł za wiele wymagać, bo już nie był młodzieniaszkiem. Czuł się słabiej, często bolało go serce, utykał na jedną nogę. Czas wydawał się najwyższy po temu, by się ustatkować.

Nocami układał w myślach słowa, którymi poprosi Kirę o rękę. Jednak rano, kiedy wybierał się spełnić swoje zamiary, odwaga nagle go opuszczała. Wracał zły na siebie, rzucał się w wir najróżniejszych spraw, byleby tylko zapomnieć o niepowodzeniu.

Ale w końcu zrealizował swój zamiar. Wstał bardzo wcześnie. W łazience, skupiony na goleniu, podśpiewywał sentymentalne piosenki. Potem natarł skórę wodą kolońską, zakupioną specjalnie na tę okazję w stolicy. Zjadł w ciszy i spokoju śniadanie, wciąż przygotowując się do chwili, która wkrótce miała zaistnieć. Zakończywszy posiłek włożył białą, starannie odprasowaną koszulę, ciemny prążkowany garnitur z jedwabiu: rzecz nadzwyczaj elegancką i bardzo dopasowaną. Uśmiechnął się do siebie, kiedy wspomniawszy starego krawca z ulicy Krótkiej, który przez parę miesięcy biedził się nad swoim dziełem.

Dzień był bardzo ładny, pogodny. Rzeczywistość ciepło się doń uśmiechała w postaci słońca na bezchmurnym niebie. Kwiaciarka spojrzawszy wyrozumiale, gdy się zatrzymał przy jej straganie i poprosił o bukiet róż. „To szczęśliwy poranek dla pana” – oznajmiła. „Jeśli Bóg da” – odparł. Szedł wolno czystymi, przestronnymi ulicami, zastanawiając się nad tym, ile w ludziach musiało być wiary, a także nadziei, skoro w krótkim czasie wzniesli tak piękne miasto. „Taki w przyszłości będzie cały kraj”, pomyślał.

Kira, ubrana w białą długą suknię, przyjęła go uprzejmie, lecz opuściła zmieszana

oczy, gdy podał jej za pleców kwiaty. Od razu pojęła z czym przychodzi i bała się momentu, w którym zniszczy kwitnącą łąkę jakubowych marzeń, urazi męskie ambicje, straci współnika.

– Jeśli przyszedł pan mnie prosić o rękę– powiedziała– to odpowiem odmownie...

Zamarł, zbladł, przykurczył się w sobie, starając się ze wszystkich sił zapanować nad zamieszaniem. Jednak powieka drżała mu nerwowo, a dłonie gorączkowo błędziły przy kieszeniach.

– Człowiekowi ciężko samemu – rzekł pod dłuższej chwili, spoglądając Kirze w oczy.

– Wszystkim ludziom jest ciężko– uśmiechnęła się lekko.– A ja przyzwyczałam się do samotności, dlatego nie chcę jej zmieniać. Nie chcę, aby było inaczej. Zostańmy przyjaciółmi.

– Tak – odparł machinalnie.

Przeprosił ją, odwrócił się, zamknął za sobą drzwi, myśląc przy tym, że wraz z nimi zamyka swoje nadzieje. Wracając do domu, nie odpowiadając na pozdrowienia znajomych, wciąż powtarzał po cichu słowa, które wymówiła ona, które wymówił on.

Rozmowa pomiędzy nimi potoczyła się całkowicie inaczej, niż sobie zaplanował. Powinien jej wytłumaczyć jak bardzo zależy mu na dzieciach, na rodzinie. Wówczas na pewno przyjęłaby go przychylniej, nie odtrąciła, a przynajmniej nie pozbawiła szans.

Trawiła go wewnętrzna gorączka. Wrócił wzburzony, krążył po pokojach, wciąż od nowa rozpamiętując sytuację. Wreszcie usiadł w fotelu, znieruchomiał, odpłynął w sobie znane tylko przestrzenie i zmęczony trudnym dniem usnął, śniąc o własnym ślubie z Kirą. Byli szczęśliwi, dzieci rozradowane, kościół wypełniony po brzegi przyjaciółmi.

Kiedy się przebudził, bezskutecznie starając się chociaż przez moment zatrzymać radość przyniesioną przez majak, stał przed nim służący z informacją, że przyszli jacyś ludzie. Kazał wprowadzić ich do pokoju gościnnego. Przyczesał włosy, otrzepał ubranie i poszedł zobaczyć w czym rzecz.

Goście siedzieli na kanapie, przytuleni do siebie, brudni, obszarpani i zapewne głodni. Przypatrywał im się ze zdziwieniem, nie mogąc w żaden sposób zrozumieć powodu ich wizyty. Pomyślał, że przychodzą żebrać o pieniądze.

– Nie potrafię wam pomóc...

Mężczyzna podniósł głowę.

– Nazywam się Piotr Dorniłowicz – powiedział. – To moja córka, Maria. Jesteśmy pana rodziną. Przyjechaliśmy z Rosji...

„Mówi prawdę”, pomyślał Jakub. „Ojciec miał brata, który został wywieziony na daleką Syberię, a potem ślad po nim zaginął”.

– Musicie odpocząć – odparł wzburzony. – Porozmawiamy jutro, jutro wszystko mi opowiecie.

Zawołał służącego, sam pomógł wnieść rzeczy przybyszy, pokazał im pokój, później siedział do białego świtu, przywołując przed oczy obrazy z dawnych lat, ledwo uchwytnie twarze, niknące słowa... Przecież nigdy ich nie widział. Żyli z dala od siebie, oddzieleni kiedyś, oddzieleni przypadkiem, zaplątani w gąszczu własnych szczęść i niepowodzeń. Jednak co moment wracał w myślach do Kiry.

Rozgoryczenie i ból narastały, gdy wspominał, jakie miał do tej pory życie: oto tułacza i wygnańca, wiecznego buntownika. A wszystko dla ojczyzny, dla przyszłych pokoleń. Tyle bólu, tyle dni i nocy spędzonych w okopach, niekiedy w głodzie. I teraz, gdy sądził, że los dał mu szansę, był prawie tego pewien, los z niego zakpił. Próbował powiedzieć sobie, że są inne kobiety, niemniej piękne, niemniej zdolne i pracowite niż Kira. Cóż stąd, odpowiadał wewnętrzny głos, to nie zmieni tego, co zaistniało.

Chwilami zdawało mu się, że już umarł, że wszystko jest wyłącznie pozorem, wraz z nim samym, igraszką niezbadanych sił natury, o których on nic nie wie i wiedzieć nie chce, bo nic mu niepotrzebne. Czas płynął nieubłaganie do przodu, a on, rozgorączkowany emocjami, nie potrafił uciec od swoich rozmyślań nawet w sen.

Kiedy Dorniłowicz zamknął za sobą drzwi, Kira podeszła do lustra, przyjrzała się w nim po raz pierwszy od wielu tygodni... Odtrąciła mężczyznę, gdyż tak jej kazał postąpić instynkt, wewnętrzny głos. Wieczorami, chociaż tego nie chciała, towarzyszył jej Tadeusz, chodził za nią krok w krok, przeprasząc za swoją przedwczesną śmierć. Widziała przed sobą jego twarz, jego oczy, słyszała jego głos. Rozumiała, że od miłości tak wielkiej, nawet tragicznie przerwanej, nie ucieknie do końca swoich dni.

„Bo ludzie”, myślała, „wciąż się zmieniają, są niczym rzeka, inni każdego dnia, i

wreszcie na zawsze gdzieś nikną, ale przecież uczucia pozostają...”Nie mogła tylko przed sobą ukryć, że nocami jej ciało rozpalają namiętności, że szuka przy sobie męża, znajdując puste miejsce. „Kiedyś to minie”, sądziła, „kiedyś, gdy będę stara”.

Jednak Jakub Dorniłowicz schlebił jej. Wciąż podobała się mężczyznom. Tylko nie sądziła, że zauroczy Jakuba do takiego bólu, do takich wzruszeń. Cóż, był uczciwym człowiekiem. Pragnął ułożyć sobie przyszłość i ją, Kirę, widział jako współtowarzyszkę.

Nad ranem zachorowała Julia. Służąca przybiegła krzycząc, że dziewczynka jest rozpalona, majacząca, gadająca przez malignę. Kira pobiegła do małej czym prędzej, zamierając z przerażenia, kiedy ujrzała, co się z nią dzieje. Nagle wyczuła w domu śmierć, usłyszała jej ciche kroki, jej zimny oddech. Usłyszała, jak wolno przybliżyła się do łóżeczka Julii, pragnąc zimną dłonią dotknąć jej czoła. Natychmiast pobiegła po lekarza, który mieszkał o parę domów dalej.

Zbudziła Mieczysława Korycza, kiedy leżał wtulony głową w pierś kochanki, jednej z wielu, które mignęły cieniem przez jego trzydziestoletnie życie.

Korycz słuchał w milczeniu słów przybyłej, założył na siebie ubranie, nie krępując się najzupełniej jej obecnością. Wziął ciężką ciemną walizkę z przyborami i poszedł za Kirą.

Na miejscu przyłożył do piersi Julii zimną słuchawkę, wysłuchał rytmu serca, zrobił zastrzyk, wypisał receptę, objaśniając przy tym, jakie lekarstwa zapisuje i jak należy je podawać dziewczynce. „To zapalenie płuc”– powiedział.– „Nic poważnego, jeśli zastosuje się pani do moich rad”.

Zaprosiła go na kawę. Pił ją powoli, w widoczny sposób delektując się jej smakiem, przyglądał się uważnie Kirze, jakby w niej coś oceniał lub badał. Ona zaś, pomimo opowieści o dzieciach i o pracy, wciąż była zakłopotana.

- Nie chciałam naruszyć pana prywatności– rzekła.
- Nic pani nie naruszyła – odparł. – To tylko kochanka.
- Ach, tak...– zarumieniła się.

Umilkła. Słowa Korycza rozdrażniły ją, odebrały poczucie bezpieczeństwa, do którego przywykła. „Przyzwoity mężczyzna”, analizowała, „nie powinien tak się wyrażać o kobiecie, zwłaszcza w obecności drugiej, do tego prawie sobie nie znanej”.

Korycz uśmiechnął się, jakby odgadł jej myśli, nic jednak nie powiedział. Podziękował za gościnę, pożegnał się i zniknął, zostawiając ją samą, zdenerwowaną rozwojem wydarzeń. „Cóż to za dziwny i bezceremonialny człowiek”, rozmyślała, przygotowując się do snu.

Jakub Dorniłowicz był nieprzekonany, że przybyli to jego rodzina. Im dłużej rozważał nad nocnym wydarzeniem, tym bardziej upewniał się w przeświadczeniu, że ci ludzie go oszukują. Jednak rano starszy mężczyzna, Piotr Dorniłowicz, wyprzedzając jego wątpliwości, udowodnił swoje racje. Przedstawił dokumenty nie budzące najmniejszych wątpliwości. Potem opowiedział o swoich dziejach.

Władze rosyjskie, za działalność spiskową, na parę lat odebrały mu wolność – jak wszyscy bowiem z Dorniłowiczów walczył o odzyskanie niepodległości– i osadziły w jednym z łagrów na dalekiej Syberii. Po trzech latach znalazł sposobność do ucieczki, gdy przenoszono go do innego obozu. ścigany przez carskie służby umknął im, następnie osiadł w jednym z miast północnej Ukrainy. Tam dorobił się majątku, ożenił, doczekał dzieci. I wciąż marzył o wolnej Polsce. Czasy jednak robiły się niespokojne, a on nie chciał już tak ryzykować jak niegdyś, gdyż nie był sam, miał syna i córkę.

W Rosji wybuchła rewolucja. Rozwścieczeni biedą ludzie, podburzeni i omamieni przez komunistów, ruszyli tłumem, aby zburzyć stary porządek i stworzyć nowy. „Wymordowali carską rodzinę. Najpierw rozstrzelali dzieci, później ich matkę, wreszcie, aby dopełnić sprawiedliwości, ojca. Tak rozpoczęli budowę nowego świata”– mówił Piotr– „w którym raz na zawsze miały zapanować rządy robotników”. Pod ciosami siekier padały cerkwie, ginęli duchowni, ugodzeni kulą w tył głowy. W mgnieniu oka ludzie z nizin społecznych stawali się elitą, a arystokraci nędzarzami. Władzę nad robotniczym ruchem przejęli politycy gotowi na wszystko, byleby zrealizować swój wieczny sen o szczęściu ludzkości. Lecz na drodze do tego szczęścia, twierdzili, trzeba wypłenić stary porządek. Trzeba powiedzieć dotychczasowym niewolnikom, ogłupionym przez panów, prawdę. Należy im powiedzieć, że nigdy nie było i nie będzie Boga, że go stworzono wraz z religią po to, by trzymać w ryzach zniewolone masy. Dlatego trzeba rozprawić się z duchowieństwem, zniszczyć dotychczasową kulturę, zbudować nową, w której ludzie na zawsze będą sobie równi.

Którejś nocy czerwoni, zapatrzeni w swoje wizje, przyszli do domu Piotra. Roztrzaskali meble, załatwili swoje potrzeby na dywany, wynieśli ze śmiechem biały francuski fortepian, ulubiony instrument Klary, żony Piotra. Tańczyli na nim skoczne



tańce, przytupywali w brudnych, zabłoconych buciorach, pili samogon, wreszcie znużeni całonocną libacją, przepelnieni poczuciem ważności swojej misji, kazali się ustawić całej rodzinie Dorniłowiczów. Oglądali ze zdziwieniem i niedowierzaniem czarne, spracowane ręce Piotra, wcześniej sądząc, że będą białe jak śnieg. Kiwali ze zrozumieniem głowami, gdy dłonie pozostałej rodziny spełniły ich oczekiwania.

Piotra przywiązano do słupa, wysmagano różgami, aby zrozumiał swój grzech i powrócił do takiego życia, jakie przynależy osobie o takich palcach jak on. Potem dowódca rewolucjonistów kazał mu wybierać pomiędzy ścierwem, tutaj wskazał na dzieci, mówiąc przy tym, iż nie zabije ich obojga tylko dlatego, że kiedyś ich ojciec poznał smak prawdziwej roboty. Malutka Maria patrzyła szeroko otwartymi oczyma i płakała, zaciskała pięściki, tuliła się do matki. „Niech żyje dziewczynka” – rzekł czerwony oficer. „Chłopcy są niebezpieczniejsi” – dodał. Zygmunt umarł w tej chwili wraz z matką.

Żołnierze przez wiele godzin uctowali w domu Piotra, opijając koniec jeszcze jednego z wrogów ludu. Któryś z nich wyszedł pod osłoną nocy, odnalazł bezwolną Marię, przytuloną do martwej matki, i zgwałcił.

Piotr słyszał słabe, mdłe popiskiwanie córki.

Nad ranem Sowietci wleli weń samogon, odwiązali od słupa i zostawili na ziemi czerwonej od krwi, odjeżdżając z wesołymi pokrzykiwaniami w dalszą drogę.

Piotr oprzytomniał blisko południa. Doczołgał się do zakrwawionej córki. Znalazł w sobie siły na tyle, aby wnieść Marię do domu i ponownie zemdleć.

Szarzało, kiedy znów odzyskał zmysły. Wyszedł na dwór, wykopał z trudem płytki dół, w którym pochował żonę oraz synka. Później wrócił do Marii i już nie odstępował dziewczynki na krok. Po dwóch dniach, gdy mała przestała gorączkować, ruszyli oboje w drogę, mającą zaprowadzić ich do Polski. Wieczorami, kiedy przystawali, aby odpocząć, Piotr modlił się gorączkowo do Boga, aby pomógł mu w trudnej godzinie, aby ocalił dziecko, jeśli jemu będzie sądzone zginąć.

Klara i Zygmunt ocknęli się zaraz po odejściu bliskich. Zobaczyli swoje zakrwawione ciała, złożone w ziemi, krążyli nad nimi jak czarne wrony, próbując bezskutecznie przedrzeć się przez zasłony, oddzielające ich od świata żywych. Zawieszeni pośród mgieł i cieni czuli nieustanny ból rozłąki, ból niespełnienia dni, które powinny zaistnieć...

Jakub Dorniłowicz przyjął rodzinę. Samotny dom, wypełniony smutkiem, ożył. Maria

przemierzała ogromne pokoje w sobie tylko wiadomych celach. Nie zachowywała się jak normalne dziecko, ciekawe świata i ludzi. Jakub próbował nawiązać z nią kontakt, lecz nie potrafił. Patrzyła nań dużymi, wiecznie przestraszonymi oczyma i przystępowała z nóżki na nóżkę, jakby prosząc, aby zostawił ją w spokoju.

Piotr, dzięki pomocy Jakuba, znalazł pracę w starym antykwariacie, położonym w centrum miasta, przy ulicy Juliusza Słowackiego. Zarabiał niewiele, ale był zadowolony. Kiedy wracał, poświęcał resztę czasu córce. Wychodził z nią na spacerunki nad rzekę albo szedł do miasta, w którym, za odłożone pieniądze, kupował barwne ubranka i buciki.

Patrzył na dziecko przestraszony jego ucieczką przed światem. Sam również nie potrafił przed nim uciec. Często szedł do kościoła, próbował w cieniu ław odnaleźć spokój, pojednać się z Bogiem, odpowiedzieć sobie na pytania, tkwiące w jego umyśle niczym choroba.

Z Jakubem rozmawiał rzadko. Spotykali się przy obiadach i kolacjach, wymieniali zdawkowe uwagi o polityce, o nowym rządzie, o strajkach chłopów, o parcelacji ziemi, o losie arystokracji. Obaj sądzili, że jest za dużo krzywdy, że przywódcy zanadto myślą o własnej kieszeni, o władzy, a za mało o losie drugich ludzi. Jakub pojmował, że Piotr ucieka przed przeszłością. Niekiedy pragnął się doń przybliżyć, opowiedzieć mu o swojej samotności. Gdy już zaczynał, wewnętrzny głos nakazywał mu przestać. Dochodził do wniosku, że lęka się niezrozumienia i odrzucenia.

W pierwszych dniach grudnia, gdy wiatr zaczął zawiewać coraz zimniejszymi podmuchami, a lodowaty deszcz chłostał codziennie po twarzy, rzeka przyniosła do miasta ciała pięciu mężczyzn bez głów. Topielców odnalazł jeden z żydowskich chłopców, zawiadomił rodziców, ci policję. Przeprowadzono wnikliwe śledztwo, rozesłano po kraju fotografie martwych, szukając nadaremnie jakichkolwiek o nich informacji. Na komendę przybywali różnego rodzaju jasnowidzący i wróżbiarze, oferując swoją pomoc w rozwiązaniu niewiadomego. Jeden z nich twierdził, że zabici są szlachcicami, zamordowanymi przez chłopów, pragnących zemsty za wieloletnią krzywdę. Inny opowiadał o rytualnym mordzie. Jeszcze inny o partyjnych porachunkach komunistów.

Zagadka pozostała nierozwiązana. Pięciu mężczyzn pogrzebano ukradkiem przy cmentarnym murze. Poza grabarzami nikt nie uczestniczył w smutnej ceremonii.

W styczniu Włodzimierz po raz pierwszy, za zgodą matki, odwiedził Szymona. Szedł

wraz z nim ulicami przyprószonymi pierwszym noworocznym śniegiem. Przyglądał się ciekawie ruchliwym Żydom, spieszącym w najróżniejsze strony, ich biednym domom i sklepom. Doszedł do wniosku, że jest to inny świat niż jego, po drugiej stronie rzeki, lecz nie aż tak bardzo.

Rodzice Szymona przyjęli go ostrożnie, jednak uprzejmie. Poproszono Włodzimierza do pokoju, poczęstowano herbatą i ciastkami. Posadzono go przy stole, obserwując, badając. On także przypatrywał się matce i ojcu Szymona, przypatrywał się meblom, firanom, zniszczonym, lecz czystym podłogom, wysprzątanym kątom.

– Cieszę się, że nas odwiedziłeś – powiedział gospodarz

Przyszła siostra Szymona, młodsza odeń o rok Estera, śliczna czarnowłosa dziewczynka o błyszczących niczym gwiazdy oczach i figlarnie zadartym nosku. Witając się z Włodzimierzem wyciągnęła nieśmiało dłoń, a on zapamiętał ów gest na zawsze, po czym na polecenie matki wyszła do sklepu.

Rodzice Szymona ostrożnie wypytywali Włodzimierza, który odpowiadał szczerze, a umilkł dopiero wówczas, gdy rozmowa zбочyła na temat jego ojca. Po dłuższej chwili, nabrzmiałej wyczuwalnym dla wszystkich wstydem i cierpieniem, powiedział, że nie żyje.

Nie potrafił nad sobą zapanować, rozplakał się. Nastąpiła kłopotliwa cisza. Rodzice Szymona spoglądali po sobie, zaskoczeni niespodziewaną reakcją chłopca. Wreszcie stary Rabinowicz przysiadł się do Włodzimierza, przytulił go i delikatnie pogłaskał po głowie.

– Każdy przeżywa dzisiaj jakieś tragedie – powiedział. – Takie przyszły czasy.

Włodzimierz wracał do domu już wieczorem. śnieg lśnił bładą, lekko niebieskawą poświatą, a księżyc płynął wolno po zimnym bezchmurnym niebie. Był bardzo zły na siebie za słabość, którą okazał. Co ci ludzie teraz sobie o nim pomyślą? Zapewne zabronią Szymonowi bawić się z nim i nigdy nie zaproszą go w odwiedziny.

Może się myli? Może wcale nie wypadł tak źle. Zachowywał się przyzwoicie. Nie nabrudził przy stole. Roztropnie odpowiadał na pytania...

Pomyślał o Esterze. Nigdy nie widział równie ślicznej dziewczynki. Wydawała się jakby z innego świata. Z chęcią uklęknąłby przed nią na kolana i prosił o wybaczenie złych rzeczy, które kiedykolwiek uczynił. Pragnął przy niej być, zawsze jej bronić. Ona

była jak księżniczka, zamknięta w ponurym zamczysku przez złego czarnoksiężnika, a on jak rycerz, z dala, na przekór wszelkim trudom, spieszący jej na ratunek...

Bo on, Włodzimierz, kiedyś przecież dorośnie. Zostanie wtedy słynnym podróżnikiem. Odkryje nieznane lądy. Wymyśli rzeczy, o których jeszcze nie słyszano. Dostanie za to dużo pieniędzy. Później odda je mamie, aby nie musiała ciężko pracować. Rozda je ludziom ubogim, aby nigdy nie cierpieli głodu. Pojedzie do samego Rzymu, spotka papieża i poprosi go, aby zmówił modlitwę za spokój duszy jego ojca...

Im bardziej marzył o tych odległych czasach, tym wydawały mu się bliższe... prawie tuż, tuż...

Kira tej nocy położyła się wcześniej, zmęczona czuwaniem przy chorej Julii. Dziecko czuło się i wyglądało znacznie lepiej, lecz kryzys jeszcze nie minął, choroba mogła powrócić ze zdwojoną siłą. Dziewczynka wygadywała w majakach niestworzone rzeczy, wciąż trzymała matkę za dłoń, nie pozwalając jej odejść nawet na krok.

Kira jednak odeszła, bo przyszedł Mieczysław Korycz dowiedzieć się o zdrowie małej. „W rzeczywistości, pomyślała, ma inne zamiary”. Nie powiedział o nich wprost, ale patrzył na nią pożądliwie. Opowiadał o swoich planach, pragnąc ją najwidoczniej oczarować swoją osobą. Był przystojny i mógł się podobać kobietom. Jednak Kirze zdawało się, że wewnątrz siebie jest człowiekiem małym, interesownym, a nawet podłym. Zbyła więc go czym prędzej, wymawiając się złym samopoczuciem i zmęczeniem.

Dojrzała w jego spojrzeniu tłumioną złość, kiedy żegnał się uprzejmie, podnosząc do ust jej dłoń.

Wracał do domu obiecując sobie, że wcześniej czy później ujarzmi Kirę. Dostawał dreszczy na myśl o jej ciele, wyzutym z fałd ubrania. Marzył o nim, wyobrażając sobie chwilę, kiedy je posiadzie.

W pierwszych dniach grudnia przyzwyczajony do dobrobytu i nudy, które zapewniały mu pieniądze przesyłane systematycznie przez rodziców, zapragnął zmienić swoje życie. Przekonany o bezsensie ludzkiej egzystencji, o daremności wszelkich wysiłków, uznał, że winę za taki stan rzeczy ponosi dotychczasowy system polityczny, a przede wszystkim bogate ziemiaństwo i Kościół rzymskokatolicki. Uznał się za komunistę, za człowieka powołanego do stworzenia nowego porządku i obalenia starego. Napisał do rodziców

długi list, w którym informował ich, że swoim postępowaniem i wykorzystywaniem biedaków przyprawiają go o mdłości. Zabronił im przesyłania pieniędzy. Nakazał, aby o nim zapomnieli, bo przestaje się uważać za ich syna, a zostaje służącym najświętszej sprawy czasów współczesnych – rewolucji.

Wkrótce zdołał pozyskać grupę młodych ludzi, którym jego poglądy zdawały się tchnieniem ożywczego wiatru. Spotykali się w jego mieszkaniu. Wypijali kufle piwa, obalając gniewnymi słowy państwa i ich rządy. Zaprzeczali istnieniu Boga. Wszystko we współczesnym świecie było złe i niepotrzebne. Małżeństwo służyło interesom kleru. Księża zyskiwali w ten sposób kontrolę nad wiernymi: sterowali ich zachowaniami, wyłudzały od nich pieniądze, a podczas spowiedzi zyskiwali dostęp do najbardziej strzeżonych sekretów i poznawali najgorsze z ludzkich tajemnic. Dzięki temu panowali nad ludzkimi sercami.

Jednak Mieczysław nie zamierzał być niewolnikiem. Pragnął wolności i wyzwolenia od wszelkich zasad i reguł, narzuconych przez ustrój i przez osoby sprawujące władzę. Pragnął odrzucić społeczne normy, dlatego ponad wszystko cenił niezależność ludzkich wyborów, a zwłaszcza wolne związki pomiędzy mężczyznami i kobietami.

W listopadzie, w miesiącu ciągłych deszczy, kałuż zalegających na ulicach, ponurych szarych świtów i bezbarwnych wieczorów, przyjechał do Dębowej Łąki ksiądz Franciszek Korecki, aby objąć posadę proboszcza. Był już stary, przekroczył osiemdziesiątkę, ale wciąż sprawny i inteligentny.

Tuż po przyjeździe odprawił mszę świętą, a nazajutrz z wikarym ruszył w spacer po mieście, zapoznając się w miarę możliwości ze wszystkimi parafianami. Uczynił na ludziach dobre wrażenie, ponieważ słuchał ze zrozumieniem najróżniejszych opinii. I miał w sobie coś takiego, że z chęcią zwierzano mu się z najboleśniejzych spraw.

Po powrocie na plebanie siedł natychmiast do modlitewnego pokoju, klękał przed ołtarzem lub kładł się na posadzkę, i tak spędzał długie godziny, zawierając się Bogu.

W mieście wiedziano o nim niewiele, tyle tylko, że przybył z Galicji, z niewielkiej wsi i że był samotny.

Ksiądz Franciszek pochodził z bogatej szlacheckiej rodziny, która władała wieloma połaciami urodzajnej ziemi i czerpała ogromne zyski z folwarcznej pracy chłopów, z handlu zbożem i mąką, a także rybami, w które obfitowały okoliczne stawy i jeziora. Lata

zaborów przyniosły biedę, nędzę, głód, zarazę i śmierć. Koreccy rozbiegli się po świecie. Jedni zginęli w powstaniach, drudzy wyjechali za granicę.

Franciszek, po ukończeniu studiów teologicznych w Krakowie, rozpoczął pracę duszpasterską. Wysłano go do małej wsi, zanurzonej w nie kończących się lasach, odciętej od świata i jakiegokolwiek cywilizacji. Kiedy tam przybył i zsiadł z wozu, który już nie mógł dalej jechać, i brnął po kolana w błocie, wysłuchując po drodze nabożnych pozdrowień chłopów, zgromadzonych wzdłuż drogi i klęczących w nabożnym skupieniu, by powitać nowego księdza, poczuł, że ogarnia go zwierzęcy strach.

Zobaczył bowiem drewniane chaty, tak biedne, że zadrżało w nim serce, zobaczył wpatrzone w siebie oczy pozbawione światła, mroczne, przysłonięte niewiedzą wieków. Zobaczył zwierzęta śpiące w pomieszczeniach wraz z ludźmi, zobaczył ojców gwałcących córki, zobaczył ludzi współżyjących z końmi, ze świniami, zobaczył kobiety zabijane za czary, zobaczył nieboszczyków wyjmowanych z trumien, którym wbijano w piersi kolki, aby pozbawić ich na zawsze mocy wstawania po nocach i wysysania krwi z żył żyjących, zobaczył kobiety, bite do nieprzytomności przez mężów, ponieważ tak nakazywał obyczaj.

Ujrzał wszystkie ludzkie niegodziwości, po czym upadła w nim wiara, chociaż modlił się o nią godzinami. Zarazem czuł coraz większą niechęć do parafian. Brzydził się ich ciemnotą i brudem, brzydził się także sobą, swoją bezradnością i tym, że zamiast kochać i współczuć, jak nakazywał Jezus, postępuje odwrotnie. Patrzył bezradnie jak wójt bezwzględnie ściąga z chłopów należne podatki, tak duże, iż odbierały im ostatnią kromkę od ust. Patrzył, bo pamiętał, że ludzka władza pochodzi od Boga, lecz już tego nie rozumiał. Ale jeśli by nawet nie pochodziła od Stwórcy, jak zaczynał już niekiedy myśleć, to i tak niczemu się nie sprzeciwiał, bo wtedy usunięto by go natychmiast z parafii, a na jego miejsce wyznaczono innego księdza.

Wtedy Franciszek Korecki zanurzony w swojej samotności, w tym, co codziennie oglądały jego oczy, zaczął wieczorami pić.

Pływały dni i noce. Dzieci rodziły się, starcy umierali, pory roku następowały po sobie, wciąż w tym samym nieodmiennym cyklu. Nim się spostrzegł, zdziwiony takim obrotem sprawy, miał już pięćdziesiąt lat i dużo więcej w sobie pokory niż za młodości. Wieczne koło życia nauczyło go dystansu do siebie i do innych. Ujrzał, jak wszystkie wielkie sprawy zamieniają się w małe, a małe nabierają z czasem znaczenia. Zrozumiał, że po człowieku zostaje tylko pamięć w sercach innych ludzi. Prowadził zatem swoją

drobną , nieznaczącą egzystencję, ciesząc się z rzeczy najmniejszych, ciesząc się z uśmiechu dzieci, ze ślubów, w których dane mu było uczestniczyć, ze śpiewu wiejskich ptaków, z dreszczów, dzwoniących po dachach i rynnach domów, z kwitnących drzew i kwiatów, z białych całunów śniegu.

Przyszła wojna. Ziemię zdeptały buty rosyjskie, potem niemieckie i austriackie. Wojska przelewały się jedne za drugimi niczym lawa i zostawiały za sobą swąd spalenizny, kobiety oplakujące poległych mężów i dzieci bez rodziców– zabłąkane na wieczność w wojennej zawierusze, zwierzęta bez gospodarzy... wychudłe szerniałe psy, wyjące wieczorami do bladego księżyca, pola pokryte śladami pocisków , podziurawione domy, ludzi z utraconą wiarą...

Ksiądz Franciszek przygarbiony już wiekiem i posiwiąły, patrzył z przygnębieniem na nieszczęście, na piekło zgotowane jednym przez drugich. Wierzył, że po epoce śmierci nastąpi epoka życia. Upatrywał w tym podobieństwa do przeplatania się pór roku, kiedy po okresie stagnacji następuje okres rozkwitu. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, dlaczego Stwórca tak zaplanował porządek świata, dlaczego w swojej mądrości i dobroci zezwolił na to, aby istniały rzeczy tak złe i okrutne jak wojny, dlaczego człowieka stworzył wielkim i zarazem małym. Nie śmiał jednak nawet o to Go zapytywać, bo kimże w końcu był, aby ważyć się na zadawanie pytań samemu Bogu. Jedyne co mógł uczynić, w tym świecie przeniknionym oddechem zła, to wykonywać skrupulatnie własne obowiązki, dbać o swoich parafian, cieszyć się z każdego zachodu i wschodu słońca, z każdych urodzin dziecka.

Długie życie księdza Franciszka już prawie dobiegało końca, gdy przełożeni, kierowani nieodgadnionym przeznaczeniem, zdecydowali się przenieść go na nowe miejsce.

Odjechał z miasteczka, w którym spędził tyle dni i nocy, w którym znał wszystkie twarze, wszystkie zakamarki, w którym rozpoznawał wszystkie dróżki, w którym spędził swoją młodość, a potem wiek średni, wreszcie starość– więc odjechał z tego miasteczka wieczorem i znów, podobnie jak wtedy, gdy do niego przybył, wylegli na drogę chłopcy, aby go pożegnać. Ale nie odmawiali modlitw i nie pozdrawiali go religijnymi słowami, bo ich gardła dławili łzy i pamięć minionych lat.

Na drogę wyszła mała pięcioletnia dziewczynka i podała proboszczowi polny kwiatek, który bezwiednie przycisnął do serca. Wóz jechał powoli, zostawiając coraz bardziej za sobą domy, pogrążając się w mroku. Potem wjechał do lasu, a ksiądz Franciszek zasnął.

W czasie gdy jego pobyt we wsi dobiegał końca, Polska odzyskała niepodległość. Po krótkim okresie euforii i spontanicznym rozbrajaniu żołnierzy państw zaborczych, przyszedł moment na stworzenie nowego państwa, na nadanie mu takich zarysów i takiej postaci, aby każdy obywatel był z nich zadowolony. Ale sny o nowym królestwie spełniały się powoli, gdyż każdy pragnął mieć swój udział w jego tworzeniu i każdy dorzucał swoje pięć groszy do tygła namiętności, przekonany, że ma rację. W mgnieniu oka powstały rozliczne partie. Jedne walczyły o zachowanie przywilejów arystokracji, drugie upominały się o prawa dla chłopów, pragnąc wydobyć ich z wielowiekowego poniżenia i zacofania, obdarować ziemią a dzieci posłać do szkół, trzecie, idąc w ślady rosyjskich komunistów, głosiły obalenie starego porządku i stworzenie na jego ruinach nowego, w którym władza na zawsze należałaby do robotników i chłopów.

Pomysły i koncepcje furczały w powietrzu niczym osy, skłócały Polaków, opowiadających się za jednymi, bądź też za drugimi. Z dnia na dzień powstawały nowe partie, usiłujące zaistnieć na politycznej scenie. Ze wschodu dolatywały groźne odgłosy rewolucji rosyjskiej. Nie pozwalały bogatym ludziom spokojnie spać w nocy i rozogniały nabrzmiałe rany w duszach biedaków, którzy wszczynali co rusz nowe rewolty, domagając się ziemi, większych pensji, bezpłatnej opieki lekarskiej, bezpłatnej oświaty, prawa do tworzenia związków zawodowych, prawa do godnego życia.

Kira nie zwracała najmniejszej uwagi na zapamiętałe dyskusje i na nowości dochodzące ze stolicy, na wychwalanie tych, bądź też innych polityków. Wracała do domu wieczorami bardzo zmęczona, przyjmowała z grzeczności Jakuba Dorniłowicza, gdyż nie chciała go do siebie zrazić. Słuchała, ziewając, jego długich monologów o Piłsudskim i Dmowskim. Udawała, że jest nimi zainteresowana i marzyła tylko o tym, aby pójść jak najprędzej spać.

Tymczasem Mieczysław Korycz jak zły duch krążył wieczorami wokół jej domu. Przystawał w cieniu murów, spoglądał na jasne okna, trawiony wciąż pożądaniem, bezsilny, gdyż Kira już dwa razy wyprosiła go na zewnątrz, nie przyjmując się zbyt konwenansami. Potem rozpalony namiętnościami szedł do gospody, gdzie rzucał się w wir politycznych dyskusji. Szydził z kościoła i papieża, zwalczał dotychczasowe porządki i przynosił światu pokój i sprawiedliwość, wreszcie, zmęczony kuflami piwa i własnym oratorstwem, wędrował skrycie do pokoju Irminy, córki właściciela gospody, aby w jej ramionach utulić swoje żale.

Dwudziestoletnia Irmina wierzyła bezgranicznie w jego miłość i zapewnienia, że



wkrótce zabierze ją do stolicy, potem razem pójdą do pięknego i wielkiego kościoła. „W życiu nie widziałas takiego kościoła” – mówił. – „Nie widziałas takich złocen i takich baldachimów, tak wysokich kopuł i tak pięknie ubranego księdza”. Kiedy zdziwiona spostrzegła, że proponuje jej coś, z czym walczy i co uważa za staromodne fanaberie, skrzyczał ją, że jest głupia, że nic nie pojmuje, że nie dostrzega jego wielkiego poświęcenia, bo wszak wyłącznie dla niej odstępuje od swoich zasad i przekonań.

W rzeczywistości Irmina już go znużyła. Dosyć miał jej służalczego oddania, jej wiecznej gotowości do największych poświęceń i poniżeń, których jej nie szczędził, gdyż zawsze gardził ludźmi darzącymi go prawdziwym uczuciem.

Całował ją i pieścił, zmuszał do rzeczy, przeciw którym się buntowała, wyrażając swój bunt w cichych płaczach wtedy, gdy już go nie było. Wyobrażał sobie wówczas, że w ramionach tuli arogancką i złośliwą Kirę, pewną siebie i przedsiębiorczą.

Nad ranem, śmierdzący alkoholem i zmęczony, wracał do domu, rzucał się na łóżko, odsypiał parę godzin, następnie ćwiczył przed lustrem przemówienia, aby godnie się zaprezentować na partyjnym zebraniu w Warszawie, na które wybrali go współtowarzysze. Wyrzucał z siebie słowa przepełnione bólem i poczuciem sprawiedliwości, pełne potępień bogaczy, żerujących na pracy robotników. Opowiadał o zniewoleniu kobiet, o nierównościach społecznych.

W połowie stycznia przyjechała do niego matka. Starsza, zasuszona w sobie kobieta, pełna obaw o jedyne dziecko, które staczało się coraz niżej i coraz większą hańbę przynosiło rodzinie. Nim się udała do syna, poszła do kościoła, ażeby w skrytości wyjednać u Boga przebaczenie za jego grzechy, za odstępstwo od wiary i od bożych przykazań. Było jeszcze rano, gdy przekroczyła kościelne progi i klęczała samotnie przed ołtarzem, rozpamiętując minione lata i swoje pragnienia oraz oczekiwania, zdziwiona, że życie potoczyło się własnym torem i wcale nie tak, jak tego pragnęła. Nie miała jednak o to do nikogo pretensji, gdyż zawsze wierzyła w wolną wolę. Zjawiała się w Dębowej Łące w dwa tygodnie po śmierci męża, który odszedł ze świata nie zobaczywszy syna, bo syn, gardzący ojcem za jego poglądy i dostatnie życie, pomimo prośb i wezwań nie przyjechał.

Zamyślona wyszła ze świątyni i szła cichymi ulicami. Weszła do odrapanej kamienicy. Zastukała do mosiężnych drzwi, ozdobionych wizytówką z nazwiskiem jej syna. Weszła do środka. Ujrzała przed sobą zaniedbanego i wychudzonego mężczyznę, cuchnącego alkoholem, zmieszanego niespodziewaną wizytą. Strapiona zamknęła za sobą drzwi, popatrzyła spłoszonym spojrzeniem po stosach brudnej bielizny porozrzucanej po

zaniedbanych meblach . Poczula się bezradna i zagubiona, bo nagle zrozumiała, że wszystkie słowa, które przygotowała, słowa mówiące o przeszłości, o tym jak bardzo pragnęła dziecka i jak bardzo pragnęła je kochać, widzieć jego pierwsze kroki, widzieć jak dorasta dzień po dniu, jak przeistacza się w człowieka dorosłego, darzonego szacunkiem przez ogół– tracą znaczenie. Coś czego pojąć nie potrafiła, postawiło barierę pomiędzy nią a mężczyzną siedzącym na kanapie ze spuszczoną głową: byli dla siebie obcy. I naraz Mieczysław zaczął mówić. Mówił straszne rzeczy. Mówił o tym, że źle go wychowała, że nauczyła go kłamstwa, pogardy dla biednych, naiwnej wiary w Boga i w dobro oraz zło. Wstała i wyszła bez słowa, zostawiając syna sam na sam z jego gniewem i nienawiścią. Przemierzała te same uliczki co rano ze świadomością, że nic już nie zmieni. A potem odjechała, pewna, że za swojego życia Mieczysława nie zobaczy.

Tej samej nocy, gdy jechała do Dębowej Łąki, Piotr Dorniłowicz błądził samotnie po olbrzymich pokojach domu Jakuba, walcząc ze wspomnieniami, zarzucając sobie winę za śmierć żony i synka, a również za milczenie Marii. Dziewczynka bowiem wciąż nie mówiła, tylko patrzyła na rozmówcę wielkimi szarymi oczyma tak, jak gdyby była duchem zupełnie gdzieś indziej, w innym miejscu i czasie. Zazwyczaj tuliła do piersi małą szmacianą lalkę, którą znalazła na podwórzu i której nie pozwalała nikomu zabrać. Wieczorem, kiedy zasypiała, Piotr zawsze przy niej siedział, bezskutecznie próbując nawiązać z nią kontakt.

Później gdy mała uciekała w bezmiar snu, szedł do siebie i modlił się, aby Bóg przywrócił dziecku spokój i zdrowie. W dni wolne szedł do kościoła, a gdy z niego wychodził, wędrował natychmiast do lasu, przemierzał sosnowe zagajniki, siadywał nad leśnymi strumieniami, godzinami wpatrując się w lustro wody.

W szkole rówieśnicy odrzucili Marię. Wyśmiewali ją i nazywali nawiedzoną, popychali na przerwach, szarpali za warkocze, ciągnęli za sukienkę. Zachowywała się tak, jakby było jej to najzupełniej obojętne. Na lekcjach, pytana przez nauczyciela, nie wstawała i wciąż milczała, uciekając we własny wewnętrzny świat.

Dyrektorka wezwała Piotra i oznajmiła mu, używając delikatnych słów, że Maria nie nadaje się do nauki, natomiast na pewno potrzebuje lekarza. Potem pytała o przyczyny jej zachowania i Piotr wbrew sobie, przerażony słowami starszej kobiety, nagle opowiedział jej całą historię, powstrzymując łzy. Obiecała mu pomóc.

Od tej chwili Marią zajęła się służąca, dobra i młoda dziewczyna, którą wynajął Jakub. Miała na imię Stefa. Pochodziła z biednej mazurskiej wsi. Przyjechała do miasta,

aby zarobić trochę pieniędzy, poznać świat, ludzi, i uciec od nędzy.

Julia szybko doszła do siebie po zapaleniu płuc, ale Kira wciąż była niespokojna o jej zdrowie, ponieważ przyśnił się jej sen, który często się powtarzał i nie wróżył nic dobrego. Szła w nim ciemną ulicą, mijała ruiny domów i czegoś szukała, lecz nie wiedziała czego. Wreszcie weszła do olbrzymiego przestronnego gmachu i ujrzała przy oknie Julię, wpatrzoną w dal. Krzyczała, aby zwrócić uwagę dziewczynki, jednak ona zdawała się nie słyszeć. I wtedy młoda kobieta, śliczna, o czarnych włosach, spływających aż do stóp, zbliżała się powoli do Julii... Kira wiedziała, że to śmierć. Próbowwała biec córce na ratunek, lecz na daremnie, wciąż pozostawała w miejscu. Tamta zaś była coraz bliżej i wyciągała ku małej rękę, aby ją pochwycić.

Kira zbudziła się, poszła natychmiast do Julii, by zobaczyć, czy nie dzieje się z nią nic złego. Mała spała beztrzesko, uśmiechając się do swoich marzeń.

W lutym ksiądz Franciszek Korecki postanowił założyć w Dębowej Łące bibliotekę. Pomysł zaprzętnął go do tego stopnia, że poświęcił mu wszystkie siły i wolny czas. Wciągnął w swoje plany Jakuba Dorniłowicza, Kirę i kilku bogatych ludzi, którzy zaoferowali się przeznaczyć pieniądze na budowę gmachu i zakup książek. Ksiądz pragnął, aby biblioteka stanowiła prawdziwy skarbiec kultury polskiej i światowej, zgromadziła dzieła najwybitniejszych poetów i pisarzy. Franciszek Korecki przemierzał domy, prosząc wiernych o wsparcie, bądź o przekazanie zbędnego księgozbioru, wyjeżdżał też za granice miasta w tych samych celach.

Kira, zauroczona pomysłem proboszcza, postanowiła założyć w miasteczku teatr. Wyjechała do stolicy, po czym po paru dniach przywiozła ze sobą aktorów i reżysera. Wspólnie pracowali nad pierwszym przedstawieniem, którym miały być „śluby Panieńskie” Aleksandra Fredry. Kira w wolnych chwilach szła natychmiast do teatru, pogrążając się całkowicie w świecie sztucznych dramatów, póz i wystudiowanych gestów. Aktorzy wydawali się jej nadzwyczajnymi ludźmi, przepełnionymi iskrą bożą, godnymi szacunku i sławy, bo właśnie oni powodowali, że szara rzeczywistość nabierała blasku.

Kira zagoniona pomiędzy marzeniami a rzeczywistością, zaczęła zaniedbywać dzieci. Tylko wieczorami znajdowała czas na to, aby zejść do ich pokojów i pocałować je w czoła. Julia nie przejmowała się brakiem kontaktu z matką. Jej głowę wypełniały wizje przyszłości, w której zamierzała wstąpić do klasztoru i poświęcić się Jezusowi, dostąpić objawienia i z bożą pomocą zostać świętą. Była skupiona na przestrzeganiu rygorów, które sobie nałożyła, skupiona na codziennej modlitwie, na przestrzeganiu dziesięciu

przykazań

Włodzimierz natomiast boleśnie odczuwał brak Kiry i czas wspólnie spędzany z Szymonem wcale nie niweczył poczucia osamotnienia. Poza tym Szymon z powodów znanych wyłącznie sobie, spotykał się z nim rzadziej niż kiedyś, prędzej wracał do domu i unikał rozmów. Wreszcie oznajmił Włodzimierzowi, że ojciec zabronił mu z nim przebywać.

W tym czasie Beniamin Rabinowicz odszedł do właściwej sobie postawy tolerancji wobec innych ludzi. Za sprawą różnych osób i różnych rzeczy, za sprawą wszystkich lat, które przeżył, doszedł był do wniosku, że Żydzi powinni czynnie walczyć o odzyskanie swojego państwa. Znał rozmaite zdania na ten temat, lecz odrzucał je, pozostając przy swoim. Obca mu się stała pobożność starych Żydów, pozwalająca pokornie im znosić niewolę i wygnanie, obce mu się stały płomienne przemówienia postępowców. Uważał, że wszyscy Żydzi, niezależnie od tego gdzie się urodzili i w co wierzyli, powinni się zjednoczyć, aby wspólnymi siłami odzyskać ziemię utraconą. A zatem powinni popierać jeden drugiego i unikać bratania się z gojami, gdyż prowadziło to do przyjmowania obcej kultury, a w konsekwencji do zaniku własnej.

Beniamin w styczniu założył partię syjonistyczną, grupującą w swoich szeregach ludzi zamożnych i chytrych, przepelnionych nienawiścią do tego, co polskie.

Spotykali się w zadymionej karczmie, rozmawiali wśród oparów dymu tytoniowego i smrodu alkoholu. Tam za każdym razem przyrzekali sobie walczyć z odmiennymi poglądami, ze wzajemnym przenikaniem się kultur, z pewnymi siebie i zarozumiałymi Polakami.

„Europa przypomina teraz kocioł” – mówił Rabinowicz. – „Z jednej strony mamy Rosję, w której obalono stary porządek i wprowadzono nowy, głosząc powszechną sprawiedliwość, której, bądźmy szczerzy, tam nie widać. Z drugiej strony mamy państwa kapitalistyczne, ogarnięte konfliktami narodowościowymi i społecznymi, przeniknione ogromnymi różnicami w poziomie życia ludzi bogatych i biednych. Tutaj musimy szukać swojej szansy na powrót do Jerozolimy i na stworzenie w niej własnego kraju. Ale podstawy ojczyzny twórzmy już teraz. Kształćmy swoje dzieci tak, aby były światłe, ale uczmy je prawdy, uczmy je, że Polacy są i będą naszymi wrogami. Pracujmy nad tym, by nasi ludzie zajmowali ważne stanowiska w rządzie, w sądownictwie i w wojsku. Jeśli nam się to uda, wówczas zwyciężymy. Naturalnie musimy tak postępować w każdym kraju, do którego rzuciły nas losy”.

Wieczorami Rabinowicz odwiedzał rabina: Jeszucę Kałmana, którego szanował, bo szanowali go wszyscy Żydzi, i pragnął pozyskać jego akceptację. Jednak Kałman, mężczyzna już siedemdziesięcioletni, mówił niewiele, przeważnie tylko słuchał, gładząc przy tym długą brodę, całkiem już siwą. Nowe czasy były dla niego niezrozumiałe i niezrozumiałe dla niego było zapatrzenie się ludzi w siebie, w pieniądze, w odwieczne wyszukiwanie wrogów i w przekonanie, że zawsze ma się rację. „Ja wiem” – mówił – „że liczni z nich oskarżają nas o zamordowanie Jezusa, lecz są równie głupi jak ci z nas, którzy widzą w nich wyłącznie wrogów. Ludzi nie powinno się dzielić ze względu na narodowość, język, czy też kolor skóry. Ludzi powinno się osądzać tylko ze względu na ich postępowanie, bo są albo dobrzy, albo źli”. „To nieprawda” – odpowiadał Rabinowicz. – „To wyłącznie piękne słowa, to marzenia o tym, jak powinno być, tymczasem jest zupełnie inaczej. świat przypomina okręt płynący w kierunku, którego nie znamy. Załoga tego okrętu to marynarze miotani różnymi sprzecznościami, walczący o awanse, o pieniądze, o pozycję społeczną i o wpływy. Niech rabi popatrzy na Polaków. W okresie zaborów trzymali się razem i walczyli o niepodległość. Wolność w mgnieniu oka przewróciła im w głowach. Przypominają teraz sforę psów walczących o kość”. „Tak” – odparł Kałman – „Ale przecież ciężko w przeciągu roku dorosnąć, prawda?” „Może i prawda. Jednak powinniśmy patrzeć wyłącznie na siebie, dbać o swoje kobiety i dzieci”. „Już ci mówiłem, Beniaminie, że nie pojmuję współczesnych czasów.”

W lutym doszło w Dębowej Łące do rozruchów. Najpierw ktoś na murach kościoła napisał słowa obrażające Polaków, później ktoś inny obwinił o to Żydów. Polskie dzieci wzburzone rozmowami rodziców, napadły na żydowskich rówieśników, pobiły ich i okradły. W nocy ktoś powybił szyby w polskich sklepach, a jeden z nich podpalił.

W mieście zawrzało.

Skrywane latami nienawiści ujawniały się błyskawicznie, wybuchły z siłą wulkanu i zatrwały trującym dymem dusze, wybudowały pomiędzy zgodnymi do tej pory społecznościami mur. Znajomi przestali się pozdrawiać, przechodzili widząc siebie na drugi koniec ulicy. Polacy i Żydzi odgradzili się od siebie znową milczenia, nienawiści i pogardy..

Włodzimierz nie rozumiał, dlaczego Szymon go unika, odwraca na jego widok twarz, opuszcza zakłopotany oczy i nie wie, gdzie się podziać. W szkole nie siedzieli już razem. Szymon przesiadł się na ostatnią ławkę, a po zakończeniu lekcji natychmiast wychodził do domu, bo polscy koledzy wyzywali go od parchów.

Włodzimierz czuł się bardzo opuszczony i nieszczęśliwy. Odwiedzał częściej mogiłę ojca, przy której długo płakał, a potem milczał, zasłuchany w szum lasu.

Przychodził o zmroku, jadł kolację, zamieniał parę słów z Julią, której jego sprawy zupełnie nie obchodziły. Próbował rozmawiać ze służbą, ale u niej również nie znajdował zrozumienia. Późnym wieczorem Kira wracała z teatru, słuchała zmęczona jego słów, przytuliła go do siebie, prowadziła do sypialni. Tam, wtulony w jej ramiona, znajdował wreszcie spokój, przestawał rozmyślać o Szymonie i zasypiał.

Wkrótce zainteresowała go chemia. Nie były to jakieś szczegółowe zainteresowania, a raczej marzenia o tym, aby stworzyć napój, dzięki któremu stanie się niewidzialny i lżejszy od powietrza. Kupował w aptekach i sklepach chemicznych różne substancje, znosił je do swojej pracowni, urządzonej za zgodą matki w piwnicy, łączył je w rozmaite związki, przekonany, że osiągnie sukces.

Ksiądz Korecki wzburzony zamieszkami, przerwał prace nad biblioteką i odwiedził domy zamożniejszych obywateli, tłumacząc im zło wzajemnej nienawiści, ale nie znalazł wśród nich zrozumienia. Przytakiwali głowami słuchając jego słów o starszych braciach w wierze, o potrzebie wzajemnej miłości, ale gdy tylko zostawiał ich samych i wychodził z poczuciem dobrze spełnionej misji, naigrywali się z jego litościwego serca, przypominali sobie wszystkie niegodziwe postęпки Żydów, ich obłudę, współpracę z zaborcami, udział w dostawach broni, kupowanie za bezcen obszarńicznych ziem, aby je następnie odsprzedać chłopom z okazałym zyskiem, przypominali lichwę, przypominali handel, w którym Żydzi niepodzielnie królowali, przypominali banki, znajdujące się w ich posiadaniu. Przypominali te wszystkie sprawy, gromadząc w swoich sercach coraz więcej zaciętości.

Jedynie Kira wysłuchała spokojnie monologu księdza i zgodnie ze swoimi zasadami odpowiedziała mu, że ją te awantury nie obchodzą, dopóki nie zagrażają jej, bądź też jej dzieciom.

Jaskub Dorniłowicz, wciąż przytłoczony nieszczęściem, ucieszył się z wizyty księdza i pojął jego zamiary, lecz nie omieszkał wyrazić swojego zdziwienia tym, że nie przystają do postępowania większości księży. Proboszcz uśmiechnął się i odpowiedział, że duchowni to także ludzie, że trudno oczekiwać, żeby różnili się od społeczeństwa, w którym przyszło im żyć. „Lecz w każdym społeczeństwie” – kontynuował – „są zadatki na lepsze, te zadatki trzeba dostrzegać, umiejętnie je podtrzymywać, pielęgnować, a z czasem pozwolić im rozkwitnąć.”

W połowie stycznia przyjechał do miasta Salomon Goldman, bogaty Żyd z Wielkopolski. Ulicami Dębowej Łąki sunęło wolno dwanaście wozów wypełnionych po brzegi kosztownościami, cennymi księgami, przyprawami, i trunkami. Goldman siedział w pierwszym wozie, wodził dumnie oczyma po tłumie, zgromadzonym wzdłuż jezdni. Badawczo przyglądał się twarzom, spoglądał z zainteresowaniem na domy i przeliczał w myśli pieniądze, które zarobi.

Zamieszkał u swoich krewnych o tym samym nazwisku i już następnego dnia przystąpił do czynności zmierzających do wybudowania kamienicy w centrum, niedaleko domu Kiry. Odwiedził urząd powiatowy, udał się do dyrektora banku, aby omówić warunki skredytowania budowy zakładów szwalniczych, które zamierzał postawić nad rzeką, kilometr od Dębowej Łąki. Oprócz tego planował wybudować olbrzymi młyn, przemiający sto ton mąki na dobę, i rzeźnię.

W mieście pojawiło się nagle mnóstwo nowych twarzy, mnóstwo przejezdnych, ludzi znikąd, ludzi bez pracy, którzy przyjechali zachęteni publicznymi ogłoszeniami Goldmana. Goldman wybudował dla nich baraki, zorganizował wyżywienie, zadbał o opiekę sanitarną.

W tych dniach Dębowa Łąka rozkwitła. W centrum miasta odbywały się cotygodniowe jarmarki, podczas których żydowscy kupcy, oferowali najróżniejsze towary: owoce, ubrania, alkohole. Wzdłuż straganów spacerowali okoliczni chłopci, często angażując się w handel wymienny. Przyjeżdżali na targi mieszkańcy pobliskich miast.

Prawie niezauważenie Dębowa Łąka zmieniła nazwę na Dębołękę i wszyscy, jakby zaczarowani, zaczęli tej nazwy używać. Jedyne Kira i parę innych osób, które pierwsze przywędrowały do miasta, nadal używali starego terminu, przeplatając go zresztą coraz częściej z nowym.

W początku lutego, za zgodą matki, Julia zaczęła uczęszczać do Zgromadzenia Dzieci Najświętszej Panienki, prowadzonego przez księdza Koreckiego, na którym uczyła się wielu rzeczy, zdaniem proboszcza koniecznych do tego, aby być uczciwym i dobrym Polakiem. Uczyła się, jak pomagać rodzicom, jak troszczyć się o pozostałe rodzeństwo, jak pomagać starszym i dlaczego. I jak postępować, aby Pan Bóg był z niej zadowolony.

Włodzimierz nie poszedł w ślady siostry, bo wciąż zajmowała go chemia. Ale znalazł sobie nowe zajęcie, które zainteresowało go nie mniej niż eksperymenty chemiczne.

Obserwował gwiazdy, złote, dalekie i nieodgadnione, którymi pałało ciemne niebo w pogodnej nocy. W starych i mądrych książkach przeczytał o Małym i Wielkim Wozie, o Wenus, potem odnalazł je na nieboskłonie. Przemierzając wzrokiem odległe przestrzenie natrafił na całe skupiska migoczących punkcików, ponadawał im własne nazwy i obdarzył własnymi cechami. Zagłębiając się w lekturze i w poznawaniu wszechświata odkrył jego niewyobrażalny ogrom, zadziwił się jego uporządkowaniem i precyzyjnym torem wędrówek poszczególnych planet.

Którejś nocy Kira zobaczyła Włodzimierza przy oknie, pogrążonego bez reszty we własnych myślach i przeraziła się tym nagłym oddaleniem od rzeczywistości własnego dziecka, tą dziwną fascynacją czymś nieznanym i niepojętym, tą ucieczką, jak sądziła, przed prawdziwym życiem i przed jego kłopotami. Patrzyła zatroskana na syna, bo pamiętała o tragedii męża, o jego wiecznym zadumaniu, o jego niemożności odnalezienia się w świecie realnym. Żył, myślała, wśród pozorów, którym nadał wymiar prawdy. Żył w swoim własnym teatrze, stworzonym przez siebie na własny użytek i dla swojej własnej przyjemności. A wszystkie role, które przyszło mu zagrać, okupywał prawdziwym cierpieniem. Kira z każdym dniem odkrywała coraz większe podobieństwo pomiędzy Włodzimierzem a jego ojcem, i zarazem przeczuwała jakieś tajemne przeznaczenie chłopca, naznaczone bólem. Przeznaczenie, któremu nigdy nie będzie w stanie zapobiec. Tej nocy, gdy ujrzała Włodzimierza obserwującego niebo, nazwała go w myśli pieszczotliwie Łowcą Gwiazd, i nazywała już tak zawsze, aż do samej śmierci.

Włodzimierz, pozbawiony towarzystwa Szymona, polubił samotność, odkrył jej zalety i przestał tęsknić za towarzystwem innych chłopców.

Pewnego dnia, gdy siedział nad rzeką i wpatrywał się w jej toń, zastanawiając się nad tym, dokąd płynie, w oddali zauważył pięciu mężczyzn, którzy wolno się ku niemu przybliżali. Było coś tajemniczego w ich ruchach i w ich zachowaniu, więc ogarnął go niepokój. Łąkę zasnuła lekka mgła. Widział poprzez nią coraz gorzej. Mężczyźni przeszli obok w odległości zaledwie pięciu metrów, lecz nawet na niego nie spojrzeli. W jednej chwili uderzyła weń fala lodowatego chłodu. Zatrząśł się, bezwiednie robiąc znak krzyża.

Był pewny, że zobaczył pięciu topielców. Wstrząśnięty do głębi swoją przygodą, nie powiedział nikomu o niej słowa. Jeszcze tej samej nocy śnił straszne sny, w których zmarli coś do niego mówili i o coś go prosili, jednak nie potrafił ich zrozumieć. Wreszcie jeden z nich dotknął go zzieleniałą ręką, a potem złapał za dłoń, ciągnąc za sobą.

Włodzimierz przebudził się.



W niedzielę długo się modlił w kościele, prosząc Boga o spokój dla dusz topielców, ale nie był pewny, czy został wysłuchany.

Przedstawienie „ślubów Panieńskich” odniosło duży sukces. Po spektaklu widzowie z ożywieniem dyskutowali o grze aktorów, plotkowali o ich życiu i chwalili Kirę za pomysł, który przyniósł tak znakomite efekty. Kira – zaczepiana przez znajomych, żądnych z nią rozmowy – spoglądała co chwila na piękny wystrój budynku, na marmury, na złocenia, na kręte schody prowadzące na balkon, zatrzymywała spojrzenie na połączonych żyrandolach, obserwowała grę światła na srebrzystej posadzce. Spoglądała na odświeżnie ubranych ludzi, na mężczyzn promieniujących wewnętrznym zadowoleniem i pewnością siebie, na kobiety rozkwitłe niczym kwiaty. Przyglądała się twarzom, śledziła gestykulację, przysłuchując się równocześnie niedbale słowom swojego rozmówcy i co rusz mu potakując.

Tego wieczoru pojęła, jak bardzo człowiek pragnie uciec od swojej rzeczywistości.

Po przedstawieniu wydała przyjęcie, na które przyszło wiele osób, w tym również kilku wpływowych Żydów, wśród których Kira, trzeźwa i rzeczowa, trzymająca się z dala od polityki, cieszyła się dużym szacunkiem. Jakub Dorniłowicz przyprowadził Piotra i Marię. Przedstawił ich znajomym, delikatnie nadmieniając, że uciekli z Rosji. Piotr, który odzwyczaił się od życia towarzyskiego, czuł się źle i obco pośród zebranych. Panie zainteresowały się Marią. Wypytywały dziewczynkę o to, jak sobie radzi w nowym miejscu, czy ma dużo przyjaciół, czy lubi laleczki i czy kocha swojego tatę. Dziecko jednak milczało, wciąż zagubione w przeszłości.

Zjawił się także Salomon Goldman. Rozmawiał uprzejmie z zebranymi, pogratulował Kirze sukcesu, wręczył jej w prezencie piękną bombonierkę, sprowadzoną aż ze Szwajcarii. Później przyłączył się do mężczyzn dyskutujących z ogniem w oczach o polityce, o tym, kiedy zostaną rozpisane wybory do sejmu, jaka partia w nich zwycięży, który z polityków ma szansę zostać premierem i który z nich najlepiej wypadnie na tym stanowisku. Padały znane nazwiska, co rusz przeplatane z nowymi. Mówiono wiele o naczelniku Piłsudskim, snuto rozważania, czy zdecyduje się odebrać Rosjanom polskie ziemie, zagrabione podczas zaborów.

Około dwudziestej przyszedł Mieczysław Korycz w towarzystwie młodej i pięknej kobiety, którą przedstawił jako krewną z Warszawy i wkrótce ją opuścił, ponieważ wypatrzył Kirę. Przyjęła go chłodno, zbyła pogardliwie zarozumiałe słowa i bardzo dwuznaczne, oznajmiła sucho, że to nietakt pozostawiać swoją partnerkę na oczach

wielu ludzi. Korycz uśmiechnął się lekko, skinął głową i odszedł. Potem przysiadł się do mężczyzn, nadal zawzięcie dyskutujących, gdyż dostrzegł pomiędzy nimi adwokata Pawła Tymicza, który prowadził mu niegdyś sprawę w sądzie, człowieka w wieku około sześćdziesięciu lat, szczupłego, suchego, o twarzy ostrej i nieprzeniknionej. Pozostałych mężczyzn, skupionych przy stole, nie znał. A był wśród nich Rabinowicz, uparcie powracający w swych wypowiedziach do idei nowego świata. Beniamin w zawiłych myślach, w dwuznacznych słowach ukrywał swoje poglądy, swoją awersję do Polaków, do całej Europy, która, jego zdaniem, wciąż prześladowała Żydów.

Adwokat zapoznał Korycza ze swoimi przyjaciółmi. Lekarz przywitał się z nimi uprzejmie. Przez moment słuchał wypowiedzi Beniamina, pojął z jakim człowiekiem ma do czynienia i sam przystąpił do ataku, krytykując wszystko i wszystkich, zwłaszcza sytuację w Polsce. „Wszystko tu jest złe i niegodziwe”, mówił, „a politycy nieuczciwi i przekupni”. „Prawdziwe pieski” – tak się wyraził – „na smyczy bogaczy, czyli obszarników i księży”. Płonął gniewem i coraz bardziej tracił poczucie rzeczywistości i dobrego smaku. Rabinowicz słuchał go niechętnie, ale gniewne słowa i w nim roznieciły emocje, pociągnęły za sobą, powoli gubił się w ich nawale. Pojmował, że Korycz głosi znane powszechnie prawdy, bezsprzeczne i nie podlegające dyskusji, jednak zarazem czuł zawarty w nich fałsz, wewnętrzną niespójność, której nie potrafił zinterpretować. Korycz tymczasem porwany swoją wizją począł przedstawiać świat w przyszłości, świat wolny od wojen i od zawiści, świat bez nędzy.

Nie zauważył, że słuchacze wycofują się jeden po drugim zmęczeni jego bezustannym gadaniem, przyzwyczajeni najwidoczniej do podobnych tyrad. Wkrótce on i Rabinowicz zostali sami.

„Więc nie wierzy pan w narody, państwa, w ich prawo do samostanowienia?” – zapytał ostrożnie Beniamin. „Nie wierzę – odparł. – To wszystko stan przejściowy, który kiedyś minie...” „Kiedy minie?” „To zależy...” „Od czego zależy?” „Od tego, kiedy w wyzyskiwanych i tłamszonych masach przebudzi się świadomość” „A problemy polsko-żydowskie?” „To sztuczne problemy, celowo stwarzane i podtrzymywane przez klikę burżujów rządzącą po jednej i po drugiej stronie, aby odwrócić uwagę biedaków od problemów zasadniczych...”

Pograżyli się w dyskusji. Wymieniali poglądy, przedstawiali swoje racje. Rabinowicz przekonywał się coraz bardziej do rozumowania Korycza, wreszcie je zaakceptował. „Mamy różne cele”, myślał, „lecz podobne drogi.”

Tymczasem Kira rozmawiała z Piotrem Dorniłowiczem, który opowiedział jej szczerze o swoich kłopotach z dzieckiem, wytłumaczył skąd się wzięły i wyjawiał prawdę o swoich rosyjskich doświadczeniach.

– W nic już nie wierzę– mówił.– Zwątpiłem w dobro i w celowość życia. Przestałem na cokolwiek liczyć. Modłę się jeszcze do Boga, chodzę jeszcze do kościoła, ale jest to, proszę mi wybaczyć, wycie mordowanego zwierzęcia.

– Rozumiem– odrzekła.– Ja również doświadczyłam potwornych rzeczy, lecz się nie poddałam. Proszę pamiętać o córeczce. Przecież dziecko potrzebuje pańskiej siły i pańskiego wsparcia.

– Maria uciekła w głąb siebie, schowała się w swoich myślach, nakryła się czapką niewidką, której nie jestem w stanie zdjąć...

– Potrzeba cierpliwości... Niech pan przestanie myśleć o przeszłości. Nic nie zmienimy w tym, co się stało, możemy się tylko z tym pogodzić.

Piotr patrzył na Kirę ze zrozumieniem. Imponowały mu jej odwaga, otwartość i wewnętrzna siła. Poza tym, pomimo średniego wieku, wciąż pozostawała kobietą niezwykle atrakcyjną.

– Lubię samotność– powiedziała, jakby odgadując jego myśli.– Nie zamierzam nic zmieniać w swoim życiu.

– Są chwile, kiedy ciężko ją znieść...

– Niech pan pamięta, że mam dzieci!

Skinęła mu głową i poszła się przywitać z księdzem Koreckim, opowiadającym coś Jakubowi Dorniłowiczowi, który nie mógł przeboleć, że na przyjęciu obecni są Żydzi i usiłował przekonać proboszcza, że gospodyni popełniła błąd, zapraszając ich do swojego domu. Rozglądał się wokół, pokazywał twarze, coraz mniejsze znaczenie przykładając do pozorów. Potem wziął z tacy, niesionej przez przechodzącego obok lokaja, kolejny kielich wypełniony francuskim szampanem, wypił szybko jego zawartość, poszukał wzrokiem Kiry, ale kiedy ją odnalazł, czym prędzej umknął oczyma w przeciwną stronę.

– Nie powinien pan tyle pić, panie Jakubie– powiedział proboszcz.

Przytaknął, nie odpowiadając nawet jednym słowem na uwagę. Dojrzał idącą w ich

stronę Kirę i zawisł na niej spojrzeniem. Kiedy się zbliżyła, popatrzyła nań karcącym wzrokiem, wzięła pod rękę księdza i odeszła z nim na stronę.

Dorniłowicz pobladał. Cóż takiego uczynił, że był dla niej jak śmieć? Jakie popełnił błędy i jakie grzechy, że los tak sobie z nim okrutnie poczyna, posługując się tą złą i okrutną kobietą? Dlaczego świat obdarza jednych szczęściem a drugich nie?

Wypił następny kielich. Wolnym, niepewnym krokiem podszedł do mężczyzn, wśród których dostrzegł Salomona Goldmana. Stał przy nich wytrzymując spojrzenia, którymi go obdarzyli.

- Jak prace nad biblioteką?– zapytała w tym samym czasie Kira proboszcza.
- Dziękuję, dobrze– rzekł.– Niedługo zaproszę panią na otwarcie.
- Będę zaszczycona– uśmiechnęła się.

Przez moment stali w milczeniu. Kira przyglądała się badawczo twarzy Koreckiego, ale on, pochłonięty własnymi myślami, nawet tego nie dostrzegł. Ona natomiast analizowała każdą zmarszczkę i bruzdę, widząc za nimi życie usiane trudnościami i pełne poświęceń.

- Chciałam zadać księdzu osobiste pytanie– rzekła cicho.– Czy mogę?
- Proszę bardzo– odparł łagodnie.
- Czy jest Bóg?

Drgnął. Zaraz potem uśmiechnął się lekko, pokiwał ze zrozumieniem głową. Jakże wiele razy słyszał takie pytania w ciągu lat swojej posługi duszpasterskiej, zawsze wywołujące w nim wspomnienia dni, gdy odpowiadał na nie bez najmniejszej wątpliwości, przekonany o nieomyślności Kościoła i prawdzie objawienia, a potem wspomnienie czasów, kiedy sam zaczął je zadawać, zagubiony w pułapkach życia.

- Pytam, bo to ważne– stwierdziła Kira.

Poprowadził ją za dłoń do wyjścia, wyszli na dwór. Niebo było granatowe, czyste, roziskrzane gwiazdami. Kira przypomniała sobie od razu Włodzimierza.

Ksiądz milczał.

– Nigdy nie mogłem tego objąć rozumem– powiedział wreszcie.– Dlatego wierzę...

– Może to tylko przypadek. Taka sama igraszka jak nasz los?

– I pani to mówi? Pani, taka realistka?

– Cóż w tym niezwykłego?

– Niech pani spojrzy na ten ogrom... na tę nieskończoność...

– Nie czyni to na mnie dobrego wrażenia. Jeśli już, to przeraża. Wracajmy, robi się chłodno.

Kira zamknęła drzwi, zdenerwowana na siebie za niepotrzebną dyskusję. Powinna była wiedzieć, że nie ma odpowiedzi na pewne rzeczy. Jeśli już coś istnieje, to tylko wiara, która przychodzi nie wiadomo skąd i albo jest, albo jej nie ma.

– Tak, ten kraj będzie potężny– mówił w międzyczasie Goldman.– I to miasto będzie potężne. Ludzie będą w nim przyzwyczajeni żyć, a wszystko dzięki mnie i mi podobnym!

– Ma pan na myśli Żydów?– zapytał zaczepnie Dorniłowicz.

Goldman poczerwieniał, zaciągnął się głęboko kubańskim cygarem, potem równie wolno wypuścił z ust dym i spojrzał uważnie na pytającego.

– Nie, szanowny panie– powiedział dobitnie.– Myślałem o ludziach przedsiębiorczych...

– Ale sam pan jesteś Żydem?

– Owszem, jestem i cóż z tego? Równie dobrze mógłbym być Eskimosem...

– Sądzę, że powinniście się stąd wynieść!

– Pan mi ubliża!

Kira widząc zbiegowisko i słysząc podniesione głosy, natychmiast udała się w to miejsce. Pochwyciła zmieszanego Dorniłowicza za ramię i odciągnęła go na bok. Tłumaczył jej niepewnie przyczyny swojego postępowania, ale ona nie przyjmowała ich do wiadomości. Powiedziała, że nie podejrzewała go o tak niskie instynkty i o taką podłość. Wyszedł zmieszany, nie mówiąc nawet słowa. Kira powróciła do towarzystwa, przeprosiła Goldmana za zachowanie Jakuba, prosząc jednocześnie, aby czym prędzej

zapomniał o niemiłym zajściu.

Dorniłowicz ciężko odchorował przykry wieczór. Przez dwa dni nie wychodził z domu, zastanawiając się, co powinien w powstałej sytuacji zrobić. Najpierw przychodziły mu do głowy myśli o zemście. Zamierzał nawet wezwać Goldmana na pojedynek, a następnie zerwać kontakty towarzyskie z Kirą. Potem kiedy z krwi wywietrzał mu alkohol, zaczął żałować swojego postępu. Na trzeci dzień przeprosił Kirę, która zaznaczyła, że może nie lubić Żydów, ale to jego prywatna sprawa, dlatego niech te uczucia zachowa dla siebie i nie zdradza ich publicznie, a zwłaszcza u niej w domu.

Dorniłowicz podczas rozmowy, wpatrzony w nią jak wierny pies we właściciela, pojął, że jest tej kobiecie zupełnie obojętny i obojętnym na zawsze dla niej pozostanie. Jeszcze w tym samym tygodniu wyjechał do rodziny w Warszawie, aby tam oświadczyć się znajomej. Oświadczyzny zostały przyjęte.

Pod koniec lutego Krystyna Borgacka przyjechała do Dębołęki. Była to kobieta wysoka, przewyższająca wzrostem Jakuba, mężczyznę słusznego wzrostu, tęgawa, o zaczerwienionych policzkach i przeszywająco ostrych, niebieskich oczach. Natychmiast po przyjeździe i po zapoznaniu się z Piotrem i Marią oraz ze służbą, obejrzała bardzo dokładnie każdy pokój, zwracając uwagę na najmniejszą rzecz. Mówiła przy tym Jakubowi co należy zmienić, na jaki kolor pomalować ściany, gdzie poustawiać meble. Słuchał tego na wpół obecny, będąc myślami nadal przy Kirze i już żałując swojego kroku i swojej decyzji, z której nie mógł się wycofać bez utraty honoru.

Zaraz na początku marca odbył się wystawny ślub naręczonych. Jakub ściągnął na niego znaną warszawską kapelę i zaprosił gości z całej Polski. A pragnąc zatrzeć niemiłe wrażenie u Kiry po pamiętnym wieczorze, kiedy to obraził Salomona Goldmana, przemógł się, odrzucił uprzedzenia, i wysłał mu zaproszenie.

Zdziwiony Goldman po namyśle pojawił się w kościele, wręczył pannie młodej, kiedy małżonkowie wychodzili ze świątyni, piękny bukiet kwiatów. Ucisnął nieporadnie Jakuba, życząc mu szczęścia na nowej drodze życia. W ogóle uroczystość zaślubin przebiegła bardzo dobrze. Przyszło na nią mnóstwo ludzi. Ksiądz Korecki wygłosił piękne kazanie, w którym mówił o wzajemnych obowiązkach małżonków wobec siebie i o ich wspólnej już dalszej drodze życia.

W nocy Jakub Dorniłowicz wtulony w tęgie ramiona Krystyny pojął aż za dobrze swój błąd. Zrozumiał, że nigdy nic go z tą kobietą oprócz ślubu nie połączy, że będzie musiał

do końca swoich dni znosić jej obecność, marząc o innej. Przez swój wybór, rozważał, nic nie zmieniłem na lepsze.

Krystyna po miesiącu wspólnego życia zaszła w ciążę.

Przemierzała w tym czasie wielki dom Jakuba jak prawdziwa królowa, pokrzykując gromko na służących, przeklinając ich za najmniejszy błąd, sprawdzając, czy na półkach nie ma przypadkiem śladu kurzu. Szczególną niechęcią obdarzyła Stefę. Wyzywała ją od wiejskich dziewczuch, rugała za nieporadność, uprzykrzała jej każdy dzień i każdą noc, jakby znajdując w tym jakąś szczególną radość. Podobnie zachowywała się wobec Tadeusza i Marii, ale swoje uprzedzenia dawała im odczuć mniej wyraźniej, gdyż bała się reakcji Jakuba. Natomiast kiedy zostawała sam na sam z dziewczynką, potrafiła ją gniewnie uszczypnąć, popchnąć, a nawet uderzyć. Dziecko nie skarżyło się, nie krzychało, tylko usuwało na bok, starając się uniknąć ponownego spotkania.

Dzięki staraniom Kiry napięte stosunki między Polakami i Żydami szybko minęły, bo obie społeczności darzyły ją szacunkiem i służyły niemal jak wyroczeni. Co prawda nadal patrzono na siebie niechętnie i wymieniano wzajemne krzywdy, ale co światlejsi członkowie obu wspólnot zachęcali do pojednania i wzajemnej współpracy.

Włodzimierz po raz pierwszy od wielu dni odważył się odwiedzić Szymona. Przeszedł drewniany most na rzece, wędrował samotnie uliczkami, mijał patrzących ciekawie nań Żydów, a przed domem Rabinowicza, na ulicy Mokrej, spotkał małą Esterę, która widząc go uśmiechnęła się lekko, spłoszyła się i ukryła za rogiem. Szymona jednak nie było w domu, więc Włodzimierz po paru minutach bezskutecznego wyczekiwania wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Kiedy szedł z powrotem, badawczo przyglądając się otoczeniu, zainteresował go duży kopiec mrówek, który coś przypominał. Przypatrywał mu się kilka minut nim odkrył, że jest podobny do piramidy. Obserwował ciekawie drobne stworzonka, krzątające się na wszystkie strony.

W tę samą godzinę Beniamin Rabinowicz i Mieczysław Korycz siedzieli w przydrożnej karczynie „Pod Słoneczkiem”, tłocznej od rozgadanych ludzi, przesyconej ostrym zapachem potu, zanurzonej w nikotynowym dymie. Wypijając jeden kufel piwa po drugim uzgodnili swoje poglądy, i opowiedzieli się za wspólnym dalszym działaniem. A im więcej pili, tym bardziej im się wydawało, że jeden drugiego dobrze rozumie, że przeszkody, jakiegokolwiek by były, zostaną przez nich pokonane. „Potem”, myślał Rabinowicz, „gdy nasze zwycięstwo stanie się faktem, nasze drogi się rozejdą i wtedy nie będę już go potrzebował, nie będę też potrzebował jego przyjaciół.” „Później”, dumal

Korycz, „gdy sprawiedliwość ludowa zwycięży, wyślę tego Żydka do wszystkich diabłów.”

– Wypijmy za pomyślność naszych zamierzeń– wzniosł dłoń do góry.– Wypijmy za naszą wspólną przyszłość.

Pod koniec marca fabryka Salomona Goldmana została oddana do użytku. Setki kobiet rozpoczęły prace przy maszynach tkackich, śledząc od rana do wieczora barwne niteczki, wdychając ciężkie powietrze pełne kurzu i drobnych pukli przędzy. Pod koniec miesiąca każda z robotnic pobierała pensję, kupowała niezbędne do domu rzeczy, odkładała drobny grosz na czarną godzinę i zastanawiała się, jak przeżyć do następnej wypłaty, po czym szła do kościoła, aby prosić Boga o zmiłowanie i pomoc.

Tymczasem Salomon Goldman sprowadził do Dęboleki pierwszy samochód marki Ford, czarne błyszczące arcydzieło najnowszych czasów, oglądane z zapartym tchem przez wszystkich mężczyzn. Właściciel z wielką przyjemnością podnosił maskę, pokazywał silnik, objaśniał zasady jego działania, a nawet pozwalał się przejechać autem, dumny z każdego okrzyku zachwytu i zarazem zazdrości.

Następny samochód sprowadziła Kira, usuwając tym samym trochę w cień Goldmana, równocześnie wydała sporo pieniędzy na kupno dworku wraz z trzydziestoma hektarami ziemi, sprzedanymi przez właściciela z powodu wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Kira wraz z dziećmi spędzała tam soboty i niedziele, spacerując, obserwując przyrodę i zajmując się wieloma drobnymi czynnościami, których wymagał taki majątek. Wkrótce zatrudniła zarządcę, wyjaśniła mu szczegółowo, czego odeń oczekuje i ograniczyła się tylko do okresowego sprawdzania, czy jej polecenia są wykonywane tak, jak należy.

Zima zbliżała się nieuchronnie do końca, już zwiastowanego roztopami, krą niesioną wodami rzeki, lżejszym powietrzem. Wiosna, upragniona przez wszystkich, przyniosła wybory do rady miejskiej i powiatowej. Z tych też powodów w mieście odbywało się coraz więcej wieców, zebrań towarzyskich, poświęconych sprawom politycznym, ale również i ogólnym. Powszechnie twierdzono, że największe szanse mają partie prawicowe i narodowe, obawiano się sukcesu socjalistów i komunistów, popieranym przez coraz liczniejsze warstwy biedaków.

Z początkiem wiosny dotarła do Dęboleki pierwsza linia kolejowa, przybliżając ją do odległego świata.



Wraz z pierwszymi podmuchami ciepłego powietrza Włodzimierz polubił samotne spacerowanie do lasu. Po powrocie do domu ze szkoły jadł pośpiesznie obiad, zakładał stare spodnie, ciepły znoszony sweter z owczej wełny, szalik na szyję, po czym wychodził na dwór, aby wędrować sobie tylko znanymi ścieżkami, odkrywając dzień po dniu. Zauważył w tym okresie jak świat zmienia się z każdą chwilą. W mieście stały jeszcze na ulicach kałuże, a domy wydawały się szare i ponure, nadal zmrożone oddechem zimy. Jednak wśród drzew królowała już zieleń. Przy drodze, pośród trawy, zakwitły żółtobiałe główki stokrotek, dalej przy źródle, które odkrył pewnego dnia, zauważył ciemnofioletowe kwiaty fiołków i sasanek.

Źródło dawało początek strumykowi, płynącemu bystro pomiędzy świerkami, sosnami i jodłami. Włodzimierz przedzierał się przez gęste drzewa zgodnie z biegiem potoku. Po kilku kilometrach marszu, zmęczony i oblepiony pajęczynami, dotarł do małego jeziora, ukrytego na dnie doliny, bujnie porośniętej zielenią krzewów i zacienionej lasem. Wędrując wzdłuż brzegów znalazł przywalony pień starej sosny. Wdrapał się na niego z wysiłkiem i usiadł, opierając się wygodnie o gruby korzeń. Woda była czysta, tak że widział w niej wyraźnie małe ryby. Po drugiej stronie zbiornika dostrzegł kilka małych kaczek, wpływających wolno pomiędzy trzciny.

Siedział tak długo, i nie czuł najmniejszej potrzeby, aby z tego miejsca odejść, wrócić do domu, szukać towarzystwa innych chłopców. Tutaj było dobrze, cicho i spokojnie.

Jakub Dorniłowicz przestał się cieszyć swoim małżeństwem. W ciemne bezsenne noce, kiedy wracał w myślach do frontowych walk, kiedy starał się przypomnieć sobie twarz dowódcy, Józefa Piłsudskiego, i jego twardy, męski głos, jego ruchy, mimikę, zachowanie, wtedy słyszał obok siebie coraz bardziej mu nienawistny oddech Krystyny. Czuł zapach jej tłustego, spoconego ciała, wtedy też zaciskał pięści, złorzecząc sobie za własną nierozwagę, za moment słabości, której już nie można było cofnąć.

Wstawał po cichu, starając się nie obudzić żony. Zakładał szlafrok przesiąknięty zapachem nikotyny i szedł do pokoju obok, aby tam nadal, przy filiżance herbaty, myśleć o dniach i nocach walki o wolność i niepodległość ojczyzny.

Marszałek Piłsudski, którego pokochał miłością prostego żołnierza od samego początku swojej wojennej tułaczki, jawił mu się jako biblijny prorok, prawy zawsze i sprawiedliwy, dążący wytrwale do celu, wyznaczonego mu przez samego Boga. Tym celem była Polska sprawiedliwa, wrażliwa na krzywdę innych narodów.

Wpatrując się w ciemną ciecz Jakub Dorniłowicz zdawał sobie sprawę z tego, jak wygląda rzeczywistość, jak jego dawne marzenia rozplywają się niczym mgła w twardych faktach codzienności. Ale nie przestawał wciąż liczyć na zmiany, na to, że wszystkich karierowiczów spragnionych władzy i ciepłej posadki zastąpią ludzie uczciwi.

Piotr Dorniłowicz siedzący o parę pokoiów dalej, przy łóżku śpiącej córeczki, nie miał już takich złudzeń. Swoje własne życie uważał za niepotrzebne i zbędne. Nie potrafił pojąć, dlaczego dane mu było doświadczyć ogromnych cierpień. Nie widział w tym żadnej celowości, widział jedynie ślepy przypadek. Cóż nawet z tego, że pomny na nauki wyniesione z domu, modlił się żarliwie do Boga, prosząc go o jakąkolwiek pomoc nie dla siebie, ale dla Marii, która nic złego jeszcze nie uczyniła, a już doświadczyła tak wielu cierpień... Stwórca pozostawał niemy. Los prostych ludzi najwidoczniej w ogóle go nie interesował.

„W końcu”, myślał sobie Piotr Dorniłowicz, „cóż to dla niego taka mała Ziemia, planeta zagubiona w bezmiarze kosmosu. To tyle co nic. Jakiś nieistotny pyłek. Mróweczka, którą jednym ruchem można strzepnąć z kolana.

I ten straszny czas. Czym są lata naszej planety wobec lat kosmosu, a czymże nasze marne dni. Wszystko jedną iskierka. Za młodości miesiące mijają wolno, wloką się w nieskończoność jeden za drugim... I nagle, w mgnieniu oka, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, mamy młodość poza sobą...

Tak, Szekspir miał rację, gdy stwierdził, że życie jest nędznym aktorem i rację miał także Kohelet, uznając wszystko za marność. Moje losy przypominają kawałek drewna niesiony prądem rzeki, miotany bezwolnie to tu, to tam. Mało kogo obchodzi ta miotanina, ten niepowstrzymany pęd, mało kogo...”

Piotr pogłaskał po głowie córkę.

Była taka śliczna i niewinna, a już życie pochwyciło ją swoimi szponami, niczego jej nie oszczędzając. Co będzie dalej? Czy zazna chociaż trochę szczęścia? Czy potrafi zapomnieć o przeszłości? Kogo spotka na swojej dalszej drodze?

Czuł się bezsilny, gdy o tym myślał, bo tak naprawdę na nic nie miał wpływu, mógł jedynie czekać, starając się przy tym w miarę swoich możliwości zapewnić Marii godne warunki utrzymania i dać jej chociaż odrobinę ciepła, która w nim została.

Jednak dziewczynka pomimo wizyt u lekarza– Piotr wybrał się nawet z nią do

Warszawy– nie przejawiała nadal najmniejszej ochoty do kontaktu z innymi ludźmi, łącznie z ojcem. Piotr nieraz wpatrując się uporczywie w jej oczy próbował dotrzeć tam, gdzie schroniła się jej dusza, ale zawsze ponosił klęskę.

Ponownie poczuł wzbierający w piersi ból. Znów ujrzał w wyobraźni tamtą noc, usłyszał krzyki Zygmunta i Klary, biegnące ku niemu przez wszystkie minione dni i noce, przez kilometry dzielące go od miejsca ich śmierci. Zapewne nigdy nie będzie mu już dane tam wrócić, pomodlić się nad grobami i wbić w ziemię chociażby dwa proste krzyże.

Ocknął się. Zostawił Marię, delikatnie przykrywając ją kocem, po czym ciężkim krokiem stuletniego starca poczłapał do kuchni, aby dolać sobie herbaty do filiżanki. Po drodze spotkał Jakuba, który nie potrafił usnąć i swoim zwyczajem krążył bez celu po domu, usiłując uciec od natrętnych myśli, nieustannie przychodzących mu do głowy. Uśmiechnęli się do siebie niepewnie, skrepowani tym spotkaniem, które każdemu z nich było nie na rękę, gdyż każdy pragnął na próżno spokoju. Weszli razem do kuchni. Srebrny zegar tykał miarowo i głucho na ścianie. Piotr przez moment był nawet przekonany, że to jego serce tak głośno uderza, ale zaraz spostrzegł swoją pomyłkę. Usiedli przy starym dębowym stole o pięknie rzeźbionych nogach, pokrytym białym obrusem, pamiętającym niejedno wydarzenie z bogatej historii rodu Dorniłowiczów. Długą chwilę milczeli obaj, wciąż na próżno próbując odnaleźć w sobie odpowiednie słowa. światło z korytarza wpadało bladą poświatą do środka i drżącym cieniem tańczyło na połyskliwym kredensie, stojącym przy przeciwległej ścianie. Jakub naraz wstał, podszedł do drzwi, zapalił światło, a potem ruszył ku kredensowi i wydobyl z jego górnej części butelkę i dwa kielichy, a potem ponownie usiadł przy krewnym.

– To nalewka wiśniowa– rzekł bezbarwnym głosem.– Wypijmy. Może to odpędzi nasze lęki...

Piotr patrzył zamyślony, jak krwisty napój spływa bulgocząc z butli do okazałych kieliszków. Spojrzał uważnie na twarz bratanka i zauważył pod jego oczyma sine wory, dostrzegł jego drżące ręce i pomyślał, że ten człowiek, podobnie jak on, jest przepełniony rozpaczą.

– W tym tygodniu pojedę do Warszawy– oznajmił Jakub, nie patrząc mu w oczy.

– Do Warszawy?

– Tak. Spotykają się tam moi przyjaciele z wojska. Kto wie, może włączyć się czynnie do polityki. Socjaliści potrzebują teraz poparcia.

– Myślisz o socjalistach spod chorągwi Piłsudskiego?

– Oczywiście, a już najbardziej o nim, to prawdziwy patriota. Tylko on może zbudować taką Polskę, jakiej zawsze pragnąłem...

Piotr pokiwał ze zrozumieniem głową, ale wewnątrz siebie zdziwił się, że tak mu przeszło zainteresowanie podobnymi sprawami. Zapewne to z powodu mojego wieku – przeszło mu przez myśl. Jestem od niego o tyle starszy. Już nie wierzę w polityczne ułudy. Tracę nawet wiarę w Boga, tracę wiarę w dekalog, w sens świata, w dobrą naturę człowieka. Jestem chyba bardzo chory i nieszczęśliwy.

– Życzę ci powodzenia – rzekł głośno.

Przez chwilę korciło go, aby opowiedzieć Jakubowi szczerze o poczynaniach Krystyny, o jej brutalności wobec służby, wobec Marii. O brzydkich słowach, którymi w przyływie gniewu posługiwała się jak ostatnia ladacznica. Powstrzymał się. Nie chciał przysparzać bratankowi dodatkowych cierpień i komplikować mu życia. Pożegnał się, i spojrzał jeszcze na butelkę, zastanawiając się przez moment nad chwilami, które Jakub przy niej tej nocy spędzi i nad tym, czy nie stanowi to ratunku dla niego samego.

Wrócił do sypialni. Usiadł przy śpiącej córce i patrzył na nią o niczym nie myśląc. Potem przyszły mu do głowy najróżniejsze obrazy. Ujrzał wyraźnie twarz Klary taką samą jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Przypomniał sobie ławeczkę pod bujnie rozkwitłą pachnącą lipą, przy której usiedli. Był wtedy już pogodny rozświetlony słońcem czerwiec. W powietrzu fruwały złociste pszczoły, a wysoko nad koronami drzew migwały białymi brzuchami jaskółki. Szeroką parkową aleją spacerowali roześmiani ludzie. Kobiety przystrojone w różnokolorowe stroje, lekkie, zgrabne, były podobne wiosennym kwiatom, mężczyźni zaś zadbani, pełni wiary w przyszłość.

Klara miała na sobie jasną sukienkę, haftowaną wzorami polnych kwiatów. Mówił do niej rzeczy banalne, przynajmniej tak w tej chwili o tym sądził, „lecz wtedy”, myślał, „na pewno brzmiały inaczej.” Jej słowa, nawet najprostsze, zdawały mu się czymś nieuchwytnie pięknym. Opowiadała o swoich zainteresowaniach, o tym, że lubi poezję Mickiewicza i Słowackiego, ale jednak woli mickiewiczowską, ponieważ więcej w niej prawdy i pasji. Mówiła, że ma kota o białym futerku, nieznośnie leniwego, gdyż

zaniedbuje polowań na myszy. Opowiadała o Reksie, czarnowłosym wilczurze, ulubieńcu rodziny. Opowiadała o szkole, o domu, o rodzicach, o koleżankach.

Starał się przypomnieć sobie te opowieści, lecz przychodziło mu to z trudem. Pamiętał za to dobrze swoje oświadczyzny. Poprosił o rękę Klary tego samego miesiąca, w gwiaździstą noc, kiedy stali na moście, wsłuchani w szum rzeki, i wpatrzeni w granatowe niebo.

Pobrali się w październiku, gdy jesień zabarwiła już korony drzew istną mozaiką kolorów. A w kilka miesięcy później położyła jego dłoń na swoim brzuchu i poczuł nieśmiałe ruchy dziecka, przypominające łagodne płasanie ryby w wodzie. Potem poszedł do Kościoła, aby podziękować Bogu za ten niepojęty dar życia.

Minęła zima. Był marzec. Rzeka niosła swoim nurtem pociemniałe kry lodu. Na polnych drogach topniały śnieżne zasy, pozostawiając po sobie błoto i kałuże. Powoli, ukojony rodzinnym cichym życiem, zapomniał o latach poniewierki, o godzinach spędzonych na polu walki bez chleba i wody, o długiej drodze do lagru, znajdującego się wśród nie kończących się lasów tajgi.

W czerwcu przysła na świat Maria.

Najbardziej pamiętał chwile, gdy leżała w kołysce, gaworząc do siebie, wyciągając do niego tłuste drobne rączki i uśmiechając się tak niewinnie, jak potrafi uśmiechać się małe dziecko, mające nieograniczone zaufanie do świata.

Przetarł dłonią oczy.

– Wyzdrowiejesz córeczko – powiedział naraz, powstrzymując łzy. – Bóg nie pozwoli, abyś cierpiała. Będiesz taka jak inne dzieci. Będziesz chodziła do szkoły, uczyła się w niej o ludziach, o przyrodzie, a mama i twój braciszek, którzy na pewno są w niebie u pana Boga, będą nad tobą czuwali.

Nie potrafił mówić dalej. Przez moment czuł się jak mały bezradny chłopiec. Zdawało mu się, że przedziera się przez odwieczną knieję, z której nie ma wyjścia, w której na wieczność panuje mrok. Potem pomyślał o Marii, o tym, że ojcu jest trudno wychowywać samotnie dziewczynkę, pomimo wielkiej miłości, jaką nosi w sobie do dziecka.

Może powinien znaleźć jakąś dobrą i uczciwą kobietę, związać się z nią na resztę swoich dni i zapewnić Marii w ten sposób namiastkę prawdziwego domu. Ale nie, to

niemożliwe. Jest przecież już za stary, skończył pięćdziesiąt lat, zbliża się do sześćdziesięciu. Poza tym nie potrafi zapomnieć o Klarze. A kto też wie, czy trafiłby na odpowiednią kobietę. Może znalazłby podobną do Krystyny, która zamiast obdarzyć dziecko uczuciem, znienawidziłaby je i zatrula mu życie. Jest przecież tyle złych osób na świecie.

Położył się na tapczanie nie zdejmując ubrania i przykrył kocem...

Wciąż myślał o przeszłości, lecz coraz trudniej było mu skupić myśli. Czuł, jak ciężą mu mięśnie, nogi, ręce. Przestrzeń poczęła zanikać, a pustka wypełniła umysł, usnął.

Śnił mu się piękny sad, wypełniony owocującymi drzewami. Rosły tam pomarańcze i cytrusy, winogrona i orzechy. Płynął niebieski strumyk. Usiadł pod rozłożystą koroną i naraz spostrzegł Klarę. Szła przez bujną zieloną trawę wprost ku niemu, piękna i tak delikatna, iż zdawało się, że za chwilę oderwie się od ziemi. Miała długie, ciemne włosy, spływające falami aż do stóp.

Usiadła obok.

Przypatrywał jej się zdumiony, bo pamiętał, że nie żyje. Ale dostrzegł na jej szyi niebieską żyłkę, pulsującą rytmicznie w takt uderzeń serca i pomyślał, że śnił mu się tylko straszny sen, który właśnie dobiegł końca. Ujął Klarę za dłoń i przytulił ją do policzka. „Sądziłem, że już cię nie zobaczę” – mówił drżącym głosem – „zdawało mi się, że zabili cię źli ludzie, że zabili naszego synka, ale to nieprawda. Wiem, że dzieci bawią się pośród drzew. Wkrótce przyjdą do nas. Pójdziemy wtedy do domu...”

Klara milczała. Patrzyła tylko nań tak, jakby pomiędzy nimi wyrosła jakaś przeszkoda, której żadne z nich nie przekroczy. Nagle poczuł chłód płynący od jej ręki. „Pokażę ci nasz dom” – powiedziała głuchym głosem.

Ruszył za nią wolnym krokiem. Słoneczne drzewa uciekały w tył, a ich miejsce zajmowały czarne, postrzępione pnie, otoczone chwastami i pokrzywami. Wydawało mu się, że poznaje teren, że zna go aż nazbyt dobrze. Klara stanęła nad rowem. „Naprawdę śnisz” – rzekła – „a my naprawdę umarliśmy. Nie ma już mnie i nie ma naszego synka. Jesteśmy cieniami...”

Umilkła. Powoli weszła do jamy. Piotr starał się ją powstrzymać, ale nie potrafił wykonać najmniejszego ruchu. Pragnął zawołać, aby nie odchodziła, jednak ściśnięte gardło odmówiło mu posłuszeństwa.

Rozbudził się w jednej chwili, rozdygotany, rozgrzany, z uczuciem, że serce rozrywa mu pierś. Klara przyśniła mu się po raz pierwszy. Czuł, że żona pragnie go przed czymś ostrzec. Starał się przywołać sen, szczególnie moment, kiedy siedzieli przy sobie. Klara wydawała się taka prawdziwa i bliska...

Zamknął powieki, lecz majak już nie wrócił

Nazajutrz rano, wciąż pochłonięty tajemniczym snem, jadł niedbale śniadanie, podane na srebrnej tacy przez Stefę, i nawet nie zwracał uwagi na Marię, jak zwykle cichą i spokojną. Służąca przyniosła mleczną zupę z kluskami, świeże, wprost od piekarza, bułki, posmarowane masłem i przełożone szynką oraz parówki wraz z musztarda i chrzanem.,

– Chodzisz jak ciężka krowa – powiedziała z gniewem Krystyna, obserwując ruchy Stefy.

Zakłopotany zachowaniem żony Jakub chrząknął i wytarł serwetką usta, a potem ręce. Jednak nie zdobył się na przerwanie milczenia. Maria spojrzała prędko na ojca, jakby prosząc go o to, aby przyszedł dziewczynie z pomocą. Ale on tego nie dostrzegł, nadal skupiony na swoim nocnym doświadczeniu.

– Przepraszam wielmożną panią – rzekła cicho służąca.

– Jeśli to się będzie powtarzało – warknęła napastliwie Krystyna – wyrzucimy cię na zbity pysk. Wynoś się już...

– Tak jest, proszę wielmożnej pani...

Stefa stanęła prawie na baczność, odwróciła się wstrzymując oddech i łyzy, wolno wyszła z jadalni, po czym prędko pobiegła do kuchni, ażeby zdjąć z siebie fartuch i odłożyć go na miejsce. Później poszła do swego pokoju znajdującego się przy wejściu do domu, aby tam wypłakać w poduszkę swoją krzywdę.

Była bardzo młoda, miała dopiero szesnaście lat, lecz wyglądała na znacznie więcej. Jakubowi, bojąc się, że ją ze względu na młody wiek odeśle, przyznała się do dwudziestu. Wysoka, ciężka w sobie i grubokoścista, o twarzy tęgiej, nieco zaczerwienionej i dobrych, ale pustych oczach, sprawiała wrażenie osoby powolnej i niepewnej siebie, szukającej kogoś, kto by ją pewną ręką przeprowadził przez życie.

Jej rodzice dzierżawili od bogatego chłopca dwie morgi byle jakiej ziemi, na wiosnę

bujnie porastającej chwastami, z której na próżno starali się utrzymać jedenaścioro dzieci. Pięcioro z nich umarło, nim przekroczyło dziesiąty rok życia. Ojciec każdy grosz przepijał w karczmie, a gdy nie miał grosza, pożyczał go od żydowskich lichwiarzy na poczet przyszłych zbiorów. Matka, kobieta sucha i anemiczna, lecz pracowita, utrzymywała gospodarstwo.

Któregoś dnia umarła tak cicho jak żyła, nie wytrzymując ciągłej poniewierki. W nocy– Stefa na własne oczy widziała, jak szła w trumiennej sukni– przychodziła do małego Stasia, ażeby go nakarmić. W kilka miesięcy później piorun uderzył w chatę, która w mgnieniu oka zajęła się ogniem. Prawie wszyscy mieszkańcy wsi przybiegli obserwować, jak gniew boży niszczy marny dorobek sąsiadów. Nikt nie pośpieszył z pomocą ludziom, wyjąłym pośród murów z bólu i ze strachu. Stefa uratowała się jako jedyna z rodziny, ale wiedziała, że na wsi nic dobrego już ją nie spotka. Dlatego poszła w świat. Umiała tyle, ile się nauczyła od matki. Nie potrafiła ani czytać, ani pisać. Była bardzo pobożna, lecz zawsze sądziła, iż zło ma większą władzę niż dobro.

Pewnej nocy, nieprzytomna ze strachu, wyjrzała przez okno. W oddali, nad koroną drzew, dostrzegła rój błędnych ogni i od razu pojęła, że to dusze jej bliskich, którym widocznie nie dane było zaznać po śmierci spokoju. Zrozumiała, że któreś z jej rodziców popełniło kiedyś straszliwy grzech. Potem spojrzała w górę i zadrżała z lęku, gdyż dostrzegła chmurę, w której rozpoznała szatana, wpatrującego się wprost w nią. Natychmiast pobiegła z powrotem do łóżka, skryła się pod kocem, nie śmiejąc spod niego wyjrzeć. Słyszała, jak w izbie coś stuknęło, słyszała, jak pełzło oślizgłym ruchem po podłodze i najwidoczniej jej szukało. Odmawiała modlitwę za modlitwą, prosząc Boga, aby nie karał jej za winy matki i ojca. Zasnęła dopiero nad ranem, gdy świt rozpędził mrok.

W pierwszych dniach maja Kira wraz z dziećmi wybrała się na spacer nad rzekę. Był bardzo pogodny i słoneczny dzień. Ubrała białe pantofelki, założyła kremową sukienkę, w takim samym kolorze kapelusz. Podobnie wystroiła córkę, Włodzimierzowi zaś poleciła założyć jasny letni garnitur. Wzięła też na wszelki wypadek parasol, gdyż padały wówczas krótkie, przelotne deszcze.

Sama prowadziła samochód, rozkoszując się świeżym powietrzem, wpadającym przez drżące od jazdy szyby .

Tego dnia po raz pierwszy dostrzegła, że w Dębolece wyrosła prawie z dnia na dzień dzielnica biednych domów, pełna pokątnych suterren i ulic, którymi spływały



nieczystości, na których bawiły się brudne i zaniedbane dzieci, a dziewczęta i kobiety opierały się o brudne i podrapane ściany, natrętnie zaczepiając przechodzących obok mężczyzn.

Wyjechała stamtąd czym prędzej, jednak nie potrafiła już o tym zapomnieć i wciąż widziała przed oczyma ten inny świat. Straciła bezpowrotnie humor, lecz starała się nie okazywać tego dzieciom.

– Mamusiu, co robiły tamte panie i dlaczego były tak ubrane?– zapytała Julia.

– Są biedne, córeczko, dlatego. A co tam robiły, tego nie wiem...

– Ale my jesteśmy bogaci?

– Tak...

Julia już o nic więcej nie pytała. Odpowiedź matki widocznie zaspokoila jej ciekawość. „Nie wie jeszcze”, pomyślała Kira, „że nic nie trwa wiecznie, że o wszystko trzeba walczyć. Nie pamięta już, jak obszarpani i brudni uciekaliśmy przed Rosjanami.”

Przyjechali nad rzekę. Włodzimierz rozłożył na trawie, tuż przy brzegu, koce i leżaki. Zaraz też się oddalił, aby obserwować żaby i koniki polne. Julia zbierała kwiaty, a Kira położyła się i przymknęła oczy, ciesząc się spokojem i bliskością zadowolonych dzieci. Zdawało jej się, że chwila zamienia się w wieczność, że czas stanął w miejscu, że nie ma ani, przeszłości, ani przyszłości. Czula, jak lekkie podmuchy wiatru pełzną po jej policzku. Usłyszała cichy, pogodny szum rzeki, cykające wokół koniki polne, z dala dobiegł ją rechot żab i kukanie kukulki.

Pomyślała, że człowiek niewiele potrzebuje do szczęścia.

Włodzimierz szedł wzdłuż brzegu rzeki, rzucając kamyki w jej nurt. Naraz zauważył w gęstej trawie ciemny kształt. Pośród liliowych kwiatów szamotał się ciemny ptak. Włodzimierz delikatnie pochwycił go w dłonie. Przez parę sekund stał w miejscu, zaskoczony gwałtownym biciem jego serca. „Boi się”, pomyślał. Przytulił delikatnie ptaszka do piersi. Pobiegł do Kiry.

– Mamo! – zawołał – znalazłem jaskółeczkę.

Podniosła głowę i spojrzała na jego dłonie.

– To nie jest jaskółka – odparła.– One mają biały brzusek i są mniejsze. To język. Ma chyba przetrącone skrzydełko. Zabierzemy go do domu. Może wyzdrowieje.

Kiedy wrócili, doszła do wniosku, że źle zrobili. Niewiele wiedziała o ptakach. Pamiętała tylko, że języki przylatują w maju, a odlatują w lipcu gdzieś daleko, w świat, o którym również nie miała pojęcia. Jerzyk, bardzo przestraszony, podskakiwał po całym pokoju, rozkładał skrzydła, usiłując wzlecieć, lecz na próżno. Wreszcie zmęczony zaszył się w ciemnym kącie, tuż przy szafie.

– Znajdę mu pudełeczko – powiedziała Julia. – On jest taki biedny.

Jednak ptak nie chciał zostać w pudełku. Uciekł z niego natychmiast i ponowił próby latania.

–Skrzydółka rozkłada ładnie – zauważyła Kira.– To dobry znak. Sądzę, że przezwycięży słabość.

Nie przezwyciężył. Ponownie wpełzł pod szafę i pod nią już przenocował. Nazajutrz Kira doszła do wniosku, że trzeba go nakarmić muchami. Julia i Włodzimierz łapali wszędzie tłuste owady, ale język ich nie jadł. Wypił tylko trochę wody.

Wtedy wpadła na pomysł, aby otworzyć mu dziobek i wrzucać weń muchę po musze. Doświadczenie powiodło się. Jerzyk połknął siedem much, ożywił się nieco i ponowił próby latania. Dzieci i Kira ucieszyli się, pewni, że niedługo wyzdrowieje.

Włodzimierz tej nocy śnił o ptakach, przemierzających bezkresne podniebne przestworza. Całym swoim jestestwem odczuwał ich wolność, ich niezależność i ich szczęście. Kiedy się obudził, uradował się, że język wkrótce dołączy do swojej rodziny. „Jak się macie”– powie na pewno do swoich rodziców i do krewnych.– „Już jestem. Już mogę latać. Zobaczcie, jak ładnie macham skrzydełkami...”

Ale języka nigdzie nie było. Po kilkugodzinnych poszukiwaniach znaleźli go pod łóżkiem. Kiedy je ostrożnie odsunęli i kiedy go spod niego wyciągnęli, był już bardzo słaby, nie próbował nawet podskakiwać. Rozpostarł jednak skrzydełka, a nawet otworzył dziobek, jakby prosił o jedzenie i picie. Dziobnął parę razy w spodek pełny mleka oraz połknął muchę, którą przyniosła Julia. Zdawało się, że jest mu lepiej. Dziewczynka delikatnie położyła go na aksamitnej szmatce i wtedy opadła mu główka, przekrzywiła się na bok.

– On umiera – powiedziała Kira.

Włodzimierz widział wyraźnie krótki moment pomiędzy życiem a śmiercią. Jeżyk miał nadal otwarte oczy, lecz coś w nich zniknęło. Już się nie poruszył.

– To koniec – oznajmiła Kira.– Cóż, chcieliśmy mu pomóc. Tak to bywa. Trzeba się z tym pogodzić. Tyle ptaków ginie.

Julia trochę płakała, ale po kilku godzinach zapomniała o zdarzeniu z jeżykiem. Natomiast na Włodzimierzu uczyniło ono straszne wrażenie. Nie potrafił o niczym innym myśleć. Patrzył bezradnie, jak matka wkłada nieruchomego ptaka do pudełka i następnie wychodzi do ogrodu, aby zakopać go pod drzewem. Poszedł wraz z nią, przerażony potęgą śmierci i tym, że nikt nie potrafił się jej przeciwstawić, nawet matka. Patrzył, jak zakopuje stworzenie w ziemi i uzmysłowił sobie, że tak samo zakopuje się ludzi.

– Mamo – zapytał – z tym jeżykiem jest teraz tak, jakby go nigdy nie było... Czy z ludźmi jest podobnie, kiedy umierają?

– Cóż, świat się toczy własnym torem – odparła – niezależnie od tego, czy na nim jesteśmy, czy też nie. Proszę cię jednak, abyś się tym nie interesował.

Nie posłuchał matki. Wyobrażał sobie ptaka, jak leży w ziemi, nabrzmiewa wilgocią, chłonie w siebie zapach drzewnych korzeni, czernieje pełzającymi po nim robakami i zmienia się w proch, w nic, w wieczność. Czy podobnie było z jego ojcem? Czy podobnie będzie z nim samym? Czy nie ma na to żadnej rady? I jak to będzie, gdy on, Włodzimierz, będzie umierał? Czy odejdzie z tego świata tak samo niedostrzegalnie jak jeżyk? Naraz zdał sobie sprawę z tego, że najpierw– przed nim– musi umrzeć jego matka. Wyobraził sobie ten dzień, tę godzinę i poczuł łzy wzbierające w oczach.

– Ale odchodzimy do Boga? – zapytał matkę.

– Tak, właśnie tak – odparła, nie patrząc mu w oczy.

Tego dnia postanowił, że pozna potęgę śmierci, że będzie podążał jej ścieżkami, aż na którejś z nich ją spotka, przeniknie jej tajemnice, rozwiąże wszelkie zagadki, usunie ból i strach, które niesie ze sobą ludziom.

W maju, przy ulicy Juliusza Słowackiego, w obszernej kamienicy, otwarto za sprawą księdza Franciszka Koreckiego pierwszą publiczną bibliotekę w Dębolicach.

Przebudowano mroczne komnaty, łącząc je w jedną dużą salę, wniesiono regały, sprowadzone przez proboszcza aż z Warszawy i zatrudniono dwie siostry z pobliskiego klasztoru sióstr Faustynek, siostrę Elżbietę i siostrę Dominikę, za zgodą matki przełożonej. Księgozbiór biblioteczny liczył sobie dziesięć tysięcy pozycji, w tym książki rzadkie i cenne, podarowane przez zamożniejszych parafian.

Ksiądz Franciszek w tych dniach najczęściej pracował w parafialnym ogrodzie, nie przywiązując najmniejszego znaczenia do swojego podeszłego wieku. Z zapalem porządkował krzewy, obcinał gałęzie, podlewał kwiaty, wrywał pokrzywy i inne chwasty, obserwował pszczoły, motyle i ptaki, wciąż nie mogąc się nadziwić ich różnorodności, najróżniejszym odmianom i wielkiej niezgłębionej mądrości Stwórcy, która sprawiła, że wszystko to było odpowiednio dobrane, zorganizowane i przemyślane. Na przykład kielichy kwiatów były zbudowane tak, aby pszczoły mogły pobrać z nich nektar. Drzewa z kolei dawały miejsce na ptasie gniazda, krzewy chroniły drobne owady.

Ksiądz Franciszek chodził ogrodowymi drózkami, przystawał przy drzewach, gładził je po splekanej korze, zastanawiał się nad ich wiekiem, patrzył błękitnymi oczyma na białe pierzaste obłoki, cicho sunące po niebie. Słuchał szumu ślimaków, pełzających cicho po ziemi. Brał je do dłoni, przyglądał się brązowym skorupkom, potem siadał na ławce, zbitej z paru sosnowych desek, przymykał oczy i oddawał się rozważaniom.

Pewnego dnia, gdy wrócił do domu nieco wcześniej, zastał gospodynię, panią Halinę Stefańską, bardzo zdenerwowaną.

Była to kobieta lat około pięćdziesięciu. Przysadzista, wzrostu mniej niż średniego, o ciemnych oczach i starannie zaczesanych do tyłu czarnych włosach, ale już siwiejących, najczęściej przykrytych jedwabną chustką. Charakter miała przykry i dokuczliwy, lubiła przygadać, lecz niekiedy potrafiła okazać niespodziewaną wrażliwość. Rozpłakać się z byle powodu i na byle co obrazić. Nie miała rodziny, żyła samotnie, pozostając w stanie panińskim. Często wyjeżdżała do pobliskiego miasta, gdzie przysiadowała długie godziny przy grobie swoich rodziców.

– Przyjechał do nas kleryk na praktykę – oznajmiła sucho.– Siedzi w kancelarii i czeka na proboszcza...

– Zaraz tam pójde – mruknął zmieszany niespodziewaną wiadomością.

Kleryk okazał się bardzo młodym człowiekiem. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu,

jasnowłosa, bardzo przystojny, o osobliwych oczach, mających w sobie czar leśnych ustronii. Przyjechał z Krakowa, tuż po studiach i tuż po krótkim stażowaniu w jednej z miejscowych parafii, w której zbałamucił parę niewiast, wywołał kilka skandali i zmusił władze kościelne do odesłania go w ciche i spokojne miejsce, aby tam się poprawił, przemyślał swoje niegodne postępowanie i wrócił po jakimś czasie, gdy pamięć jego wyczynów przyblednie, do pradowej stolicy Polski. W Krakowie zostawił doprowadzonych do ostateczności swymi wyczynami rodziców.

– Rafał Aranowski – przedstawił się i zaraz też dodał:– Ksiądz Rafał Aranowski.

– A witamy, witamy– wyciągnął dłoń Franciszek Korecki. – Jestem tutejszym proboszczem...

I zaczął wypytywać go o Kraków, o ciasne miejskie ulice, które pamiętał tak dobrze, jakby dopiero wczoraj po nich spacerował. O znajomych, z których większość już nie żyła. Więc pytał o wszystko, nawet o kolor dywanów w pomieszczeniach uczelni, o krzesła i stoły, a Aranowski odpowiadał szczegółowo, zaskoczony tą ciekawością starego człowieka wobec świata odeszłego w mrok.

– Tak wiele lat minęło – powiedział ksiądz Korecki– tylko ja o tym nie pamiętam.

Posmutniał i stracił ochotę do dalszej rozmowy. Ale dyskretnie przyglądał się eleganckiemu białemu garniturovi, który nowoprzybyły miał na sobie. Zauważył nienagannie śnieżny kołnierzyk koszuli, dostrzegł starannie wypastowane buty i pomyślał, że być może ten człowiek rozminął się z powołaniem.

Rafał Aranowski rozpakował rzeczy. Poukładał je na półkach szafy. Na jej górze położył walizkę i legł nieprzytomny na łożu, aby zebrać roztrzępane myśli i ochłoniąć po trudach podróży. Oddychał ciężko, chłonąc wzrokiem zielony gąszcz zarośli za oknem.

W niedzielę odprawił swoją pierwszą mszę świętą, podczas której wygłosił kazanie o słabości woli ludzkiej, opierając je na Ewangelii według świętego Jana, na jej fragmencie, w którym Piotr Apostoł trzykrotnie zapiera się Jezusa. Mówił tak pięknie i wzniosłe, używał takich porównań i wodził tak płomiennymi oczyma po wiernych, że zamarli z wrażenia.

Tego dnia rozkochał w sobie wiele młodych kobiet, oczarowanych widokiem pięknego księdza. Wpędził je w matnię zawitych przypuszczeń i dociekań. Zmusił do krążenia wokół parafii. Pozbawił spokoju w gorącej nocy. Zostawił na łasce ich własnej

wyobraźni, dającej plony niespodziewane nawet dla nich samych. Naraz znajdowały w sobie ogromy uczucia i odwagę zdolną sprostać najsurowszym zakazom i najczulszym słowom rodziców.

Osiemnastoletnia Katarzyna, córka jednego z robotników zatrudnionych w młynie Salomona Goldmana, wiedzona gorączką zmysłów, niezdolna oprzeć się głosowi rozsądku, krzyczącego do niej z głębi jej jestestwa, zaczęła któregoś wieczoru Rafała Aranowski, kiedy wychodził z parafii, aby pospacerować po ogrodzie. W jednej chwili zburzyła jego spokój, i rozbudziła w nim swoim widokiem niepowstrzymane pożądanie, gdyż ubrana była w piękną różową suknię, do której przypięła białą różę, a jej długie kasztanowe włosy niczym świetlane promienie spływały ku stopom. Już wcześniej, w przeciągu niewyobrażalnie dla siebie długich nocy i dni, przemyślała wszystkie słowa, które mu powie, kiedy się spotkają. Lecz w tej chwili, gdy stał przed nią, patrząc na nią przenikliwie swoimi niesamowitymi oczyma, straciła wszelki wątek i poddała się przypadkowi.

Rafał Aranowski zauważył jej drzenie, odgadł jego przyczyny. Rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nie ma świadków niemej sceny, po czym ostrożnie pociągnął Katarzynę za sobą, usprawiedliwiając się z zawczasu Bogu z grzechu, który zamierzał popełnić. Prowadził ją daleką i nieprzytomną, zagubioną w gąszczu słodkich oczekiwań i przeczuciach konsekwencji, które spadną na jej głowę, gdy prawda wyjdzie na jaw.

Skuliła się w sobie jak ptak, gdy weszła do pokoju kleryka, pojmując, że w tym momencie kończy się jej dzieciństwo i młodość zarazem, a zaczyna wiek dojrzały, od którego już nigdy nie ucieknie i nigdy nie powróci do świata, właśnie się przed nią zamykającego.

Wyszła nad ranem, gdy śladu już nie zostało z czarownego wieczoru, a błądy i brzydki świt pełzł po dworze. Wyszła przez okno, czując wciąż w kroczu ostry ból i wciąż pamiętając ciepłe dłonie mężczyzny, ugniatające jej ciało, jakby pragnęły wycisnąć zeń złocisty nektar.

Nigdy więcej nie odwiedziła Rafała Aranowskiego w jego nienasyconym legowisku, ale po niej pojawiły się inne, które przynosiły mu tymczasowe zaspokojenie, obdarzały swoim towarzystwem, ciepłem, aby wreszcie którejs nocy, na jego prośbę, zniknąć raz na zawsze i zaszyć się w swoim kącie samotności.

Tymczasem młody ksiądz nosił w sobie pragnienia, które na próżno pragnął

zwalczyć, wciąż polecając się Bogu, wciąż leżąc godzinami w kościele przed ołtarzem, wciąż uciekając przed samym sobą w sen lub w pijackie otępienie, podczas którego zamykał się na klucz, aby nikt go w takim stanie nie oglądał i sączył z brązowych butelek mszalne wino, pogrążając się coraz bardziej w przepaści swoich żądz.

A jego żądze miały oblicze młodziutkiej dziewczynki o jasnej twarzy i ogromnych oczach, kryjących w sobie niewinność dziecka i zmysłowość dojrzałej kobiety, a twarz tę i drobną postać otulały długie włosy, brązowe i złociste niczym kasztany w blasku promieni słonecznych opadających na ziemię, do smukłych nóg o aksamitnej skórze, delikatnej jak płatki róży.

Rafał Aranowski, przepuszczając przez palce wszystkie dni tygodnia, zanurzając się w kobiecych ciałach, czekał niecierpliwie, drżąc jak w febrze, na niedzielę, aby podczas mszy ujrzeć obiekt swoich niepokojów i utopić wzrok w ubóstwionej przez siebie małej madonnie, a potem pozwolić swojej wyobraźni popłynąć do intymnych miejsc jej ciała, nasycić się ich zapachem, wyobrazić sobie chwile, kiedy są przy sobie, kiedy ona jest przy nim, pozwalając mu, aby poznawał jej sekrety.

Mała Maria Dorniłowicz nie wiedziała, że istnieją ludzie, dla których granice pomiędzy złem a dobrem są płynne i dla których najważniejsze jest zaspokojenie własnych potrzeb. Poza tym świat dziewczynki zatrzymał się w chwili, gdy spalono jej dom, odebrano jej dzieciństwo, zabito matkę i brata, a ją samą zgwałcono. Tkwiła nieprzerwanie w tym dniu, w krzykach, jakie ze sobą przyniósł, nie mając najmniejszego pojęcia, że dawno dobiegł końca, że przyszły po nim następne.

Maria przychodziła wraz z ojcem co tydzień do kościoła, wraz z nim klękała przed ołtarzem, pamiętając jak przez mgłę momenty z przeszłości... wciąż ubrana na biało, nierealna i zamknięta w sobie, ale śliczna, bezradna i nad wyraz dziecinna, budziła współczucie pośród dorosłych, z których nikt się nie domyślał, co dane było przejść temu dziecku.

Rafał Aranowski, z dnia na dzień pogrążający się coraz bardziej w swoich pragnieniach, pytał kogo mógł o Marię i jej ojca, aż wreszcie zebrał liczne informacje i jak jastrząb zaczął krążyć wokół nic nie podejrzewającej ofiary. Czasami położył dłoń na czole dziewczynki, gdy szedł w kościele ze srebrną tacą, przyjmując ze wstydem, którego nie potrafił powstrzymać, datki od ludzi, innym razem przytulił ją na chwilę i uśmiechnął się porozumiewawczo i dobrotliwie do ojca Marii, a nawet zamieniał z nim parę słów, pytając ze współczuciem o zdrowie jego córki.

Ksiądz Franciszek nie zauważył, że zło zaczęło krążyć wokół jego parafii, szukając sposobności, aby za jednym zamachem zburzyć dotychczasowy spokój i pod znakiem zapytania postawić jego niczym nieograniczoną wiarę w dobro człowieka i w boskie miłosierdzie. Z postępowania młodego kleroika był zadowolony. Uważał, że dobrze prowadzi mszę świętą. Przestał więc zwracać sobie głowę myślą, że Aranowski rozminął się z powołaniem. Ludzie mówili o nim z życzliwością. Nawet sama Halina Stefańska chwaliła go za nabożność i gorliwe zaangażowanie w sprawy wiary. Nikt nie przypuszczał, że jest to tylko fasada, za którą stara się ukryć swoje prawdziwe oblicze. Nikt też nie dostrzegł młodych kobiet, w popłochu wykradających się przez zakrytą okno, gdy mrok przechodził w świtanie...

W połowie maja Mieczysław Korycz, ubrany w popielaty surdut i tegoż samego koloru kamizelkę, starannie ogolony i pachnący leśnym zapachem wody kolońskiej, wracał pociągiem z Warszawy, w której poznał liderów ruchu komunistycznego, zyskał sobie ich przychylność, co nie przyszło łatwo, gdyż z początku patrzyli podejrzliwie na jego wyższe wykształcenie i tak zwane dobre maniery oraz wyszukany język. Wydawał się jednak bardzo zaangażowany i miał jasną wizję świata wolnego od burżuazji a rządzonego przez klasę robotniczą. Właśnie gdy wracał, czytając z namaszczeniem w przedziale drugiej klasy manifest komunistyczny Marksa, w stolicy członkowie partii sprawdzali, czy nie jest nasłanym przez władze szpiclem.

Mieczysław Korycz, zmęczony drobnymi literami, w takt jazdy skaczącymi przed oczyma, przymykał oczy i wtedy widział wielkomiejski świat Warszawy, widział eleganckie wystawy sklepów, strojne damy, wchodzące do nich niedbale z wyszukaniem wdziękiem, aby zakupić towary dnia powszedniego, widział teatry i kina wypełnione elegancką publicznością, widział barwne przyjęcia i bale, podczas których odbywały się festiwale mody, a plotki i błahe słowa krążyły tam niczym ptaszki. Widział drobnych żydowskich kupców w spiekocie wielkomiejskich jarmarków załatwiających pokątne interesy, widział bogaczy, ubranych elegancko, siedzących w wytwornych restauracjach lub niedbale wykładających swoje racje podczas spotkań towarzyskich, gdy ich żony, znudzone wciąż tymi samymi obrazami, tęsknie uciekały w świat marzeń, aby tam spotkać to, czego oczekiwały w podświadomych tęsknotach. Widział rozważnych polityków, wciąż skupionych na wielkich sprawach, starannie dobierających słowa, aby nie powiedzieć za dużo albo za mało, zawieszonych pomiędzy kłamstwem i prawdą, wiecznie lawirujących na granicy spełnienia i oczekiwania, na granicy mroku i światła.

Widział to i cieszył się, że jemu przeznaczone jest zadać cios temu światu, przepuścić



go przez czyszczącą maszynkę, która niczym ogrodnik w biblijnej przypowieści, oddzieli ziarno od plew. Ale w tym nowym świecie, który zamierzał stworzyć, i o którym tak pięknie mówili doświadczeni towarzysze, nie będzie byle kim, jego zasługi zostaną docenione, ludzie na zawsze zapamiętają jego imię, może zapamięta je nawet historia i utrwali na zawsze dla potomności.

Mieczysław Korycz ocknął się i spojrzął na zegarek, po czym zaczął pakować walizkę, bo pociąg dojeżdżał do Dęboleki. Wyszedł z przedziału, zapalił papierosa, obserwując bezmyślnie uciekające za oknem rozjaśnione światłami przydrożne domy.

Kiedy dojechał, już ciemniało. Zobaczył na ławce biedaka, brudnego i cuchnącego mdłym odorem lichej wódki, wbrew sobie, zły na swoją reakcję, odwrócił ze wstrętem głowę.

Nazajutrz zwołał zebranie, zaprosił na nie również Beniamina Rabinowicza, który przyszedł punktualnie, z zainteresowaniem przyglądając się pochmurnym twarzom zebranych i wsłuchał w płynące jednostajnie, przypominające łagodny szum rzeki słowa Korycza.

Doktor opowiadał o Warszawie. Z zapalem przedstawił sylwetki wielkomiejskich działaczy ruchu robotniczego, określił ich palny i oczekiwania. Mówił o zadaniach, które przed sobą postawili i przed innymi, tu się uśmiechnął, towarzyszami z Dęboleki.

Należy, mówił, uświadomić robotnikom – bardzo lubił słowo: uświadomić – kto jest prawdziwym sprawcą ich nędzy, braku środków do życia, chorób dzieci, przedwczesnych zgonów, wiecznego przygnębienia, braku jakiegokolwiek nadziei na przyszłość, a potem pokazać, że ratunek tkwi w nich samych, w ich sile, w przymierzu z nowym ładem, który powstawał właśnie na wschodzie i który zagrażał ustalonemu porządkowi świata.

– Człowiek będzie decydował sam o sobie – mówił Korycz – nie będzie równych i równiejszych, nie będzie prawa dla biednych i prawa dla bogatych, zapanuje powszechna sprawiedliwość, lecz nim ona nastąpi, my musimy o nią walczyć i nie możemy się wahać przed niczym, powtarzam, przed niczym, aby do niej doprowadzić. Dlatego będziemy namawiali robotników do walki o krótszy dzień pracy, o utworzenie związków zawodowych, o podniesienie płac. Wykorzystamy do swoich celów każdy zatarg obojętnie w jakiej fabryce, każdy nieszczęśliwy wypadek, wykorzystamy wszystko, co wykorzystać można, albowiem walczymy o władzę dla robotników, których rzecz jasna reprezentujemy.

„Ze zła nie wyrośnie dobro”, pomyślał Rabinowicz, ale nie powiedział tych tych słów głośno. Począł, aż zebranie dobiegło do końca i został, aby porozmawiać jeszcze z Koryczem.

– Wierzysz w to wszystko?– zapytał, gdy doktor wyciągnął się na łóżku, nie zdejmując z nóg butów.

– A ty?

– W Rosji dzieją się różne rzeczy...

– Jeśli nawet, to dobrze. Rewolucje zawsze wymagają krwi!

– I nic nie dają oprócz cierpienia i bólu...

Korycz przez chwilę milczał. Był zmęczony, nie miał ochoty na dyskusję, jego zdaniem, bezprzedmiotową. Uważał, że Rabinowicz to przemądrzały filozof, wciąż zadający pytania o rzeczy oczywiste, i wciąż szukający wątpliwości tam, gdzie ich nie ma. Nie lubił takich ludzi, gardził nimi nawet, gardził ich brakiem zdecydowania, ich wiecznymi wątpliwościami. „Krzyknę mu zaraz w twarz”, myślał, „że jest parszywym mięczakiem, że niech się wynosi do wszystkich diabłów”. Ale nie uczynił tego, bo nadal wierzył, że pod jego wpływem Rabinowicz zapomni o wszelkich wątpliwościach.

– Nasza rewolucja będzie inna – odparł.– Porzuć rozterki, bo donikąd nie prowadzą. Nasi przeciwnicy na pewno ich nie mają. Polityka i władza to nie zabawki dla grzecznych dzieci.

– Dobranoc– odpowiedział Rabinowicz.

Odwrócił się obojętnie, nie dając po sobie poznać wewnętrznego gniewu i czym prędzej wyszedł, myśląc nieustannie o tym, co powinien uczynić dalej. Wychodząc był pewny, że lekarz nim gardzi, że widzi w nim taniego sługusa, którego można przekupić za przysłowiowe trzydzieści srebrników. Postanowił zatem, że powstrzyma się od namawiania ludzi do udziału w robotniczych protestach, ale poczeka na rozwój sytuacji, ujrzy czy realizują się koryczowe plany i wtedy podejmie decyzję.

Jednak był przygnębiony, że piękne idee walki o wolność rozmięka na drobne, że się zastanawia, że nie ma pewności, i angażuje się w coś, w co nie do końca wierzy, zadając się przy okazji z człowiekiem tak aroganckim jak lekarz.

W jednej chwili przejął go smutek. Życie wydawało się miałkie i tak niewiele warte, on sam podobny był małemu śmiesznemu pajacykowi, usiłującemu na brudnej i cuchnącej scenie odegrać swój niewiele znaczący epizod, i przy tym, co gorsze, usprawiedliwić swoje postępowanie. „Mam już blisko czterdzieści lat”, dumął, „czas toczy się niczym lawina. Dnie i noce przewalają się w mgnieniu oka. Dokąd zmierzam?”

Było mu coraz smutniej. Często miewał takie chwile zwątpienia, gdy przestawał wierzyć w siebie, kiedy dusił się w sobie, usiłując na próżno uciec przed własnymi myślami, kiedy wszystko w nim drżało, szukało próżno zrozumienia.

I naraz, gdy szedł pustą już ulicą, spoglądając bezmyślnie w ciemne kałuże, odbijające czerń nieba, zdał sobie sprawę ze swej samotności, z daremnych prób rozwiązania czegoś, czego nigdy rozwiązać się nie da, bo świat toczy się własnym rytmem, wypełniając przeznaczenie, którego ludzie nie znają.

Pokiwał ze zwątpieniem głową i usiadł na przydrożnej ławie, nie zwracając najmniejszej uwagi na drobne krople deszczu, i pogrążył się w swoich zwątpieniach i żalach, na próżno usiłując sobie wytłumaczyć ich bezzasadność. „Tak, człowiek, jeśli pragnie osiągnąć cel, powinien być bezwzględny, powinien wykorzystywać ludzkie słabości, rozterki, chwile zwątpień i nie zawahać się nawet przed rozlewem krwi”. Jednak wzdrygał się przed tym, nie potrafił...

Pogrążony w rozmyślaniach, zadrżał od chłodu, który owiał jego twarz, dlatego nie zauważył ciemnej postaci, która na chwilę przed nim przystanąła i wyciągnęła ku niemu dłoń, ale zaraz je cofnęła i niczym duch znikła w ciemności, niosąc za sobą milczenie przerażonych kotów i złowrogi blask ich wystraszonych czerwonych oczu, widzących więcej, niż widzą zagubieni ludzie. Postać zaś dalej szła ulicami, przypatrując się spóźnionym przechodniom, którzy czując jej obecność, kreślili na piersi znak krzyża, przywołując na usta słowa modlitwy i pragnąc się ustrzec przed cieniami nocy.

Jeden Włodzimierz, dostrzegający rzeczy ukryte przed innymi, zrozumiał, że śmierć krąży ulicami miasta, odnajdując krok po kroku ludzi, których żywot tego wieczora dobiegał końca. Widział, jak usiłuje się ku nim przybliżyć. Jak wciąż krąży wokół nich niczym hiena, wyczekując okazji.

Rabinowicz wciąż trwał nieruchomo na ławce, gdy minęła go cicha, skromnie ubrana postać, chyłkiem przymykająca ku temu samemu mieszkaniu, z którego niedawno wyszedł, nieświadoma tego, że tuż przed nią przeszła w tym miejscu śmierć.

Irmina szła lekko, rozradowana nowiną, która dotknęła ją radośnie, rozbudziła w niej dalekie oczekiwania i nadzieje, ulotne wizje przyszłości. W tej przyszłości widziała mały domek, otulony zielenią chłodnego ogrodu i sylwetkę dziecka o ciemnych dobrych oczach, dziecka, które w tej chwili nosiła pod sercem i które było jej największym skarbem, niepojętym darem od Boga, jej największą radością.

Nie bała się przyszłości. Spodziewała się, że ojciec i matka wybaczą jej i pogodzą się z zaistniałą sytuacją. „Prawda, mogła zajść w ciążę po ślubie, tyle razy obiecywanym jej przez Korycza, jednak stało się inaczej”, rozważała, wspinając się z bijącym sercem po brudnych schodach, zalegających tygodniowym kurzem, które prowadziły do mieszkania Korycza, po schodach będących jej przepustką do lepszego losu. Zapukała cicho i weszła do środka, nie czekając na odpowiedź. W jednej chwili objęła spojrzeniem porozrzucane na podłodze rzeczy, ślady spopielenego błota na dywanie, poczuła nieznośny ciężki zapach powietrza, w którym zabrakło tlenu, dlatego podeszła do okna, otwierając je na oścież i zapamiętując bez najmniejszej przyczyny kształt drzewa, rosnącego po drugiej stronie ulicy. Potem spojrzała na Korycza, pogrążonego w otchłaniach snu, wstrząsanego co chwila nerwowymi drgawkami,

Uśmiechnęła się podchodząc doń, aby go wyrwać z letargu. Przez moment spoglądał na nią, jakby nie pojmował, gdzie jest i co się z nim dzieje. Później wzrok mu przejaśniał i nabrał ostrości. Westchnął ciężko, spojrzał na nią z niechęcią, bo nie w smak była mu ta nocna wizyta Irminy do której nic już nie czuł. Przyglądał się z lekceważeniem jej prostej kremowej sukience, jej ciemnym włosom, bezwładną falą spływającym po delikatnych ramionach, i czarnym oczom kryjącym w sobie nieme jeszcze zwierzenia. Żałował utraconego majaku, w którym przytulał do siebie i całował bezwonną Kirę.

Postanowił oznajmić Irminie, że zrywa z nią raz na zawsze, na całą wieczność, podczas której nie życzy sobie ani jej widzieć, ani o niej słyszeć. Ale słowa – jak zawsze kiedy przy nim była – nie przechodziły mu przez gardło, bo bał się tego, co nastąpi. Irmina bowiem miała naturę gwałtowną, tak jak potrafiła kochać, nie przywiązując wagi do niczego, tak też potrafiła gorąco nienawidzić...

– Dlaczego przychodzisz tak późno? – spytał.

– Bo coś się stało – odparła.

– Co takiego?

– Jestem w ciąży, z tobą jestem w ciąży, będziemy mieli dziecko– powiedziała, uśmiechając się do siebie i nie patrząc mu w oczy.

Poczuł nagle, jak tonie. Zrobił mu się gorąco, na skronie wystąpił gorący pot. „Jak to? Kiedy?... Przecież zawsze uważałem... To niemożliwe, aby mówiła prawdę”.

A ona, po chwili ciszy, gdy zbierała w sobie słowa, mówiła dalej, nadal na niego nie patrząc, odlatując zupełnie w świat swojej wyobraźni, który nie miał nic wspólnego ze światem siedzącego obok mężczyzny, chociaż tak się jej zdawało. Mówiła, że teraz uczynią to, o czym od dawna marzyli, że już na zawsze będą razem, na wszystkie dni i noce, na chwile marzeń i czarów, na chwile zwątpień i bólu, zawsze i wszędzie przy sobie.

– To nie mój bękart – powiedział naraz, przywracając ją w mgnieniu oka do rzeczywistości.– Gadałem ci różne piękne słówka, ale nie traktowałem ich poważnie... Chyba to rozumiesz? Wynoś się stąd i nigdy więcej nie wracaj...

Słuchała z szeroko otwartymi oczyma, zastygła, naraz nieobecna. Rzeczywistość docierała do niej powoli, jakby przedzierała się przez siedem grubych zasłon, ze świata żywych do świata umarłych, z rajów do piekła.

– Wynoś się – powtórzył.

Wyszła cicho, nic już nie mówiąc, zostawiając go w radosnym nastroju, że tak dobrze bez najmniejszych problemów poradził sobie z zaistniałą sytuacją. Kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi, natychmiast podszedł do kredensu, wyciągnął zeń butelkę wina, i wprost z niej pociągnął kilka łyków.

Tymczasem Irmina zawisała na krawędzi zdarzeń i światów. Nie rozumiała, co się z nią dzieje, dokąd idzie, czego chce i pragnie. Błądziła po ciemnych i pustych ulicach, kilka razy zaszła pod własny dom, lecz nie śmiała wejść do środka. Całe jej życie, niczym kolorowe obrazki z książki, przelatywało jej przed oczyma. Potem widziała straszliwą przyszłość, gdy zada cios matce i ojcu, zniesławi ich nazwisko, narazi ich na kpiny, szyderczy śmiech i potępienie.

A przy niej wciąż szła ciemna postać i prowadziła ją, nic jeszcze nie podejrzewającą, nad stromy brzeg rzeki, aby tam wypełnić przeznaczenie. Irmina, ogarnięta chłodem północy, usiadła nad ciemnym nurtem, słuchając bezmyślnie szumu toni i walcząc resztką sił z głosem, który nakazywał zostawić jej wszystko, co dane jej było przeżyć.

Ale pustka otaczała ją coraz bardziej. świat był wrogi. Nie mogła pogodzić się z tym, że zawiódł ją człowiek, któremu zaufała, którego imię przywoływała na usta każdej minuty. I myślała, że rzeczywistość już nigdy nie będzie taką, jakiej oczekiwała. Była jak wzburzone morze. Pragnęła spokoju, pragnęła uciec w spokój. Młodość i nieuświadomiona chęć istnienia wciąż jeszcze walczyły, chcąc przetrwać czarną godzinę.

Tymczasem śmierć, niewidoczna dla oczu Irminy, przysiadła tuż przed nią, przyglądając się zmaganiom dziewczyny ze sobą. Jednak czas zbliżał się nieodwołalnie do końca i wieczna łowczyni dusz знаła dobrze zakończenie, bo знаła przeszłość i przyszłość, to co jest i to, czego zarazem nie ma.

Lecz kiedy spoglądała pustymi oczodołami na zapłakaną twarz Irminy, usłyszała, a raczej wyczuła cudownymi zmysłami, w które wyposażył je Stwórca, tchnienie drugiej istoty, wiedzionej w tę głuchą noc uczuciem litości i miłosierdzia, przecuciem tragedii...

Włodzimierz przybiegł za późno...

Zobaczył tylko głowę Irminy, na zawsze ginącą w rzecznej toni, wciągana przez wodne wiry w odmęty zapomnienia i niebytu. Krzyknął przeraźliwie z głębokiego bólu, widząc w wyobraźni, jak w ciele dziewczyny szukają schronienia oślizgłe węgorze i tłuste raki, jak oddzielają od kości mięso, jak rzeczny muł przykrywa powoli, jednak na zawsze, ból, który tylko jemu z przyczyn zupełnie nieznanych, dane było odczuć w majową, deszczową noc.

A potem ujrzał śmierć, czarną i cichą, przyglądającą mu się beznamietnie, z ledwo zauważalnym wyczekiwaniem lub może obawą, lub może ciekawością, bo przecież wiedziała, że Stwórca nałożył na nią płaszcz ciszy i niewidzenia, który czynił ją niedostrzegalną dla oczu śmiertelników. Więc spoglądała ze zdumieniem na Włodzimierza, obserwując ciekawie grę mięśni jego twarzy, widoczne w oczach przygnębienie.

Wstała i szła ku niemu. Stała przed nim wyniosła i nieodgadniona.

– Nie boję się... – szepnął Włodzimierz, wpatrując się w puste oczodoły, śledząc wzrokiem białe kości dłoni, wyłaniające się z mroku.

śmierć otoczyła gęsta mgła. Rozpłynęła się wraz z nią. Wtedy cisza ożyła. Włodzimierz usłyszał odgłosy nocy: śpiew nocnych ptaków, cykanie świerszczy, szum rzeki. Zobaczył złote światło gwiazd i odetchnął pełną piersią, wycierając palcami

płynące po policzkach łzy. Potem wrócił do domu, pojmując już, że dane mu jest postrzegać to, co zostało ukryte przed innymi ludźmi. Rozumiał też, że trudno to nazwać szczęściem.

Nikogo nie obeszło zniknięcie Irminy. Cierpieli tylko jej rodzice, którzy przez następny miesiąc postarzeliz czasem wielu lat i przeczuwali, że już jej nie ma. Jednak nie przestawali żywić nadziei i szukali jej śladów po całym świecie. Wreszcie, po wielu tygodniach, wzniesli na cmentarzu mogiłę, postawili na niej krzyż i przybili do niego tabliczkę.

Włodzimierz, znający prawdę, milczał.

Tymczasem w mieście wydarzyło się wiele rzeczy, które skupiły na sobie uwagę społeczności. Salomon Goldman zakupił w Warszawie znaczne udziały w jednym z większych i znanych banków, przeprowadził kilka bardzo udanych transakcji finansowych na rynku niemieckim. Z Italii ściągnął do swojego pałacu wiekowe meble, i – jak twierdzili znawcy – kosztowne. Zaczął też wydawać cotygodniowe przyjęcia, naśladując świadomie poczynania ostatniego króla polskiego, słynącego z wydawania podobnych bankietów. Na goldmanowskich wieczorach bywali goście z całego kraju.

Salomon Goldman, wciąż czynny i energiczny, pochłonięty życiem towarzyskim i sprawami zawodowymi, żył w gorączkowym ukropie, zadowolony z własnych dokonań i podbojów miłosnych, których nie szczędził mu los. Wiezorami wędrował do klubu towarzyskiego, położonego w centrum miasta. Tam spędzał długie godziny pośród przyjaciół, z którymi rozgrywał nie kończące się partie brydza lub szachów, lub też dyskutował o polityce, o finansach, o kobietach, o starych żydowskich zwyczajach, nieubłaganie, jego zdaniem, zmierzających ku zatraceniu.

Mówił nie za dużo, raczej słuchał, patrząc rozmówcy prosto w oczy, od czasu do czasu potakując, wypuszczając przez nos mdły dym z cygara, i zastanawiając się w głębi ducha nad tym, co uczynić następnego dnia, gdzie pojechać, z kim porozmawiać, jakie sprawdzić dokumenty.

Bo życie nauczyło Salomona Goldmana, że nikomu nie należy ufać, każdemu trzeba patrzeć na dłonie i nikomu nie można pożyczać pieniędzy, zwłaszcza większej sumy, nawet najlepszemu przyjacielowi, nawet rodzonemu bratu. W ludziach bowiem tkwią prawdziwe demony, budzące się, gdy poczują zapach bogactwa. I nie sztuka, Salomon wiedział to z doświadczenia, oddać niewielki grosz, o którym człowiek po dniu

zapomina, ale prawdziwy wyczyn zwrócić w terminie pieniądze iście królewskie.

Toteż na wszelki wypadek odmawiał każdemu, nawet najbliższemu.

Nie przynosiło to mu sympatii i popularności, wprost przeciwnie. Obmawiano go poza jego plecami. Przyrównywano do biblijnych bogaczy. Cieszono się z każdego potknięcia i wrócono jak najgorszą przyszłość. Ale wszystko to po cichu, bo głośno mówiono co innego... ściskano skwapliwie spoconą prawicę bogacza, prawiono mu nieustannie komplementy, po cichu zaś pisano nań paszkwile do urzędu skarbowego, oskarżające go o nieuczciwe zarabianie pieniędzy, o zaległe podatki, i o tysiące innych rzeczy, równie wstrętnych.

Lecz Salomon Goldman był sprytny. Prowadził rzetelnie księgi handlowe, zapisywał skrupulatnie wszystkie przepływy pieniędzy. Szanował swój czas i cudzy i śmiał się głośno z nieudolnych wysiłków swoich wrogów. Poza tym starał się spełniać wszelkie nakazy religijne, których wśród Żydów było co niemiara, bo sądził, że z kim jak z kim, ale z Bogiem żartować nie należy.

Dlatego przekazywał pokaźne datki na wspólnotę, na bożnicę, prosząc przy tym rabina, aby nikt nie wiedział o jego szczodrości, gdyż nie pragnie za to poklasku.

W fabryce, prosperującej bardzo dobrze, której wytwory eksportowano do wielu krajów, rządził surowo, płacił niewiele robotnikom, stojącym przy maszynach tkackich od rana do wieczora. Uważał, że powinni być mu wdzięczni za to, że w ogóle mają jakąś pracę, która przynosi im dochód i pozwala przyzwoicie żyć. Od czasu do czasu zwracał uwagę na jakąś młodą robotnicę, której uroda przyspieszała mu bicie serca i ostrożnie omotywał ją siecią przebiegłych intryg, zmyślnych obietnic, aby wreszcie któregoś dnia ujrzeć ją u siebie i na parę nocy przerwać swój krąg samotności, a potem odprawić ją równie delikatnie i ostrożnie, podwyższając jej przy okazji pensję, co zmęczonym szarymi dniami kobietom skutecznie zamykało usta.

Salomon Goldman w swoim życiu pochował dwie żony, które urodziły mu pięciu synów i trzy córki, dzieci już na swoim, rozpieczętowane po wszystkich miastach Europy, dalekie i nieosiągalne, bliskie tylko we wspomnieniach, na które Goldman, świadomy ich zgubnego wpływu, pozwalał sobie niezmiernie rzadko.

– Salomonie – mówił doń czasami rabin Jeshua Kałman – ty nosisz prawdziwie królewskie imię, ale brakuje ci przynależnej mu mądrości...



– Rabbi, w czym zawiniłem, aby wysłuchiwać takich słów?

– Widzisz, jesteś jeszcze sprawnym mężczyzną, a świat pełen jest samotnych kobiet, oczekujących męskiego wsparcia. Spraw zatem, ażeby chociaż jedna z nich przestała cierpieć... Mógłbyś się przecież ulitować...

– Przeżyłem już dwie – odpowiadał ze śmiechem. – I to wystarczy. Samotność ma swoje zalety!

– Lecz i wady – kiwał głową nieprzekonany rabin. – A jak twoje interesy?

– Z tym – odpowiadał Goldman – w przeciwieństwie do tego pierwszego, nigdy nie miałem kłopotów...

Rabin ponownie kiwał głową i swoim zwyczajem mówił o niespokojnych czasach, o wzajemnej niezyczliwości, o wciąż rosnącej liczbie ludzi biednych, o pokładach nienawiści, zalegających ludzkie serca. „To tygiel”, twierdził ze smutkiem, „prawdziwy wulkan, gorszy nawet od Wezuwiusza. Pewnego dnia wybuchnie z siłą, jakiej sobie dzisiaj nie wyobrażamy. Prośmy Wszehmocnego, aby nie pogrzebał w jego popiołach mądrych i głupich, bogatych i biednych, wszystkich do społu. Ale, ze smutkiem to mówię, ku temu świat zmierza...”

Był już stary i oswoił się ze swoją starością, a także ze zbliżającą się z każdą chwilą śmiercią, jednak wciąż nie mógł się pogodzić z odejściem żony, Sary, która umierając, zabrała ze sobą istotną część jego samego. Tłumaczył sobie, że dobry Bóg w swojej wszechmocy nie pozwoli na wieczne rozstanie małżonków. „Jeśli”, myślał, „uczynił rzeczy tak wspaniałe na niebie i na ziemi, to przecież nie pozwoli, byśmy po wieczność zostali sami.” I modlił się długo, bo w modlitwie znajdował spokój, bo modlitwa powodowała, że Stwórca przybliżał się ku niemu i był tuż, tuż... Toteż pogodził się w końcu także z cierpieniem i nieszczęściem. Ludziom, gdy go obserwowali, wydawał się promieniować pogodnym światłem, właściwym tym, którzy żyją na pograniczu świata duchowego i materialnego. To dobry człowiek, mówili, święty człowiek.

Jednak Rabin zarzucał sobie wiele rzeczy. Pamiętał chwile, kiedy niepotrzebnie unosił się gniewem wobec Sary. Mówił jej złe słowa, podejrzewał o rzeczy, których nigdy nie uczyniła...

Pamiętał o tym wszystkim, gdy spędzał długie godziny przy grobie żony, wsłuchując się w delikatny szum drzew podczas lata i w cichy szelest śniegu podczas zimy.

Rozmyślał wtedy nad kruchością ludzkiego życia i wszystkiego co istnieje, czemu dane jest przemijać, odchodzić w zapomnienie. Jesienią obserwował opadające liście, niesione podmuchami wiatru we wszystkie strony, potem grzebane zaspami białego śniegu, lekkiego całunu zapomnienia, przychodzącej ponownie wiosny, lecz już nie dla każdego. Wybuchłej zielenią, zapachem trawy. i spokojnego, dorosłego lata.

„Cykl się zamyka”, dumał. „Zawsze tak jest, zawsze ten wieczny taniec... A człowiek poza sobą niewielki ma wpływ na obrót rzeczy. Tysiące ludzi odchodzi w jednej sekundzie, świat zaś trwa dalej...”

Wszystko ulegało zmianie. Ogołoczone korony drzew naraz zieleniały, przybierały pąkami, kwiaty rozkwitały, dzieci rosły w oczach, nieuchronnie przeistaczając się w dorosłych. Lecz rabin przypatrując się pogodnym oczom starców, krążących pośród mogił, dostrzegał w nich coś stałego i rozumiał, że to tchnienie Boga.

Lubił, gdy ludzie doń przychodzili, aby opowiedzieć o swoich kłopotach, czasami błahych i śmiesznych, niegodnych synów Izraela, Mojżesza i Abrahama, jednak przecież prawdziwych. Udzielał im odpowiedzi po poszczeniu, po wielu modlitwach, z lękiem w sercu, czy Stwórca zesłał nań światło mądrości...

W tych dniach, gdy dochodził swej drogi, gdy słyszał coraz wyraźniej dalekie wołanie Pana, zmierzające ku niemu z niepojętej wieczności, w tych dniach dręczyła go coraz bardziej troska o jedyne go syna, który przed dziesięcioma laty porzucił wiarę ojców. powędrował w nieznaną, i nigdy nie dał znaku swego istnienia, pozbawiając tym samym na zawsze spokoju swoją matkę, przyczyniając się do jej przedwczesnej śmierci, podczas której, kiedy zamykała na zawsze oczy, widziała w wyobraźni jego drobną twarz malca, śmiejące się oczy, wyciągnięte drobne rączki, słyszała perlisty szczyry śmiech, słyszała niepewne kroki.

„Wielka jest kobieta”, mówił sobie wtedy Jezua Kałman, „wielkie jej macierzyństwo i wielkie cierpienie, gdy dziecko podąża złą drogą”.

Po śmierci Sary umarł również dom. Było w nim pusto i nieprzyjemnie. A przecież gdy rabin przymykał oczy, słyszał znowu szybkie delikatne kroki żony, słyszał jej słowa o tym, jaka za oknem pogoda, co uczyniła sąsiadka, kto wyjeżdża, do kogo przyszła swatka. Potem otwierał powieki, łowiąc jeszcze zamierające echo kroków Sary, których już na zawsze miało nie być.

Pod koniec maja, wieczorem, gdy kończył odmawiać osiemnaście błogosławieństw, odwiedził go po raz pierwszy Salomon Goldman i wręczył czek na dużą sumę, mówiąc, że to na potrzeby gminy. Potem siedzieli przy herbacie, którą rabin poczęstował kupca, rozmawiali o sytuacji Żydów w Dębole, wspominali o Kirze, chwając ją za uczciwość.

Goldman wyszedł z domu rabina szybko, ale później zaglądał tam często. Rozmowy, z początku ostrożne, traktujące o drobiazgach, z czasem poczęły dotyczyć spraw ważnych. Kupiec, nieprzystępny dla innych ludzi, otworzył się przed rabinem. Opowiadał mu o swoich problemach handlowych, o najrozmaitszych kontrahentach, o ich zachowaniach, pazerności. Opowiadał też o swojej największej przypadłości, z którą na próżno walczył, obserwując z przerażeniem skutki jej działalności. Tą przypadłością było posunięcie do granic ostatecznych łakomstwo. Salomon Goldman jadł wszystko, co tylko wpadło mu w rękę, było w miarę smaczne i nadawało się do spożycia. Wieczorami, gdy miewał kłopoty z zaśnięciem, bo czuł w swoim wnętrzu przeraźliwy głód, skręcający mu jelita i żołądek, wstawał i przeszukiwał wszystkie spiżarnie w domu, ogałając je z owoców, jeżyn, kompotów, suszy, mięsa. Potem ocieęzały, przepelniony uczuciem sytości aż po gardło, wracał do swojego pokoju, i natychmiast zasypiał.

Rabin słuchał spokojnie opowieści o obżarstwie. Odpowiadał później, że w ten sposób dają znać o sobie problemy ukryte w sercu człowieka, o których usiłuje zapomnieć. „Za wszystko trzeba w życiu zapłacić”, twierdził, „nawet za to, że jest nam dobrze. Poza tym to smutne, gdy się na nic nie skarżymy. To znaczy, że Zły jest przy nas, bo przecież święty Błogosławiony chce abyśmy nie zapomnieli skąd przychodzimy i dokąd idziemy... Dlatego trzyma prawych krótką ręką i natychmiast daje im znak, gdy zapominają o naukach Tory”.

Goldman kiwał ze zrozumieniem głową, gładząc się po długiej brodzie. Kiedy wychodził, pomyślał, że rabbiemu łatwo opowiadać o tym, co człowiekowi wolno, a czego nie, albowiem żyje z dala od drapieżnego świata interesów, w którym nie ma miłości bliźniego, a jest tylko miłość pieniądza.

Czerwiec kończył się ulewami deszczu, ciągnącymi po niebie, bez końca, czarnymi chmurami, mrocznymi dniami, przynoszącymi od nowa stuk kropel o parapet.

Ludzie posmutnieli, przesiadywali w domach, wychodząc z nich wyłącznie po zakupy, żegnając się ze strachem, gdy drogę przeciął im karawan pogrzebowy, zmierzający wolno na cmentarz, zamieniony przez deszcz w kałuże błota.

Początek lipca nie przyniósł zmian. Ulice przemieniły się w potoki rwącej wody, rzeka wystąpiła z brzegów, zalała piwnice niżej położonych domów. Porwała w swoje nurty kilku wiecznych pijaków, którzy nie zwracając uwagi już na nic, oddawali się wciąż z tą samą ochotą opróżnianiu półlitrówek.

Wielu mieszkańców Dębołęki zachorowało na reumatyzm i grypę. Nocami męczyły ich nieznosne bóle korzonków, wrywające wbrew woli okrzyki cierpienia z ust, a nadpsute niewyleczone z próchnicy zęby ćmiły tępo, nie pozwalając usnąć. Sen, zaklinany na wszystkie sposoby, nie przychodził, a zmęczone ciało daremnie szukało ukojenia.

Tymczasem jednostajny szum wody za parapetem nie ustawał i chłostał uszy wciąż w tym samym jednostajnym tempie.

W pierwszych tygodniach lipca, kiedy deszcz nadal z niepowstrzymaną siłą zabijał w ludziach nadzieję, przemknęło przez miasto wojsko marszałka Piłsudskiego, zmierzające na wschód ku ziemiom litewskim, aby przepędzić z nich czerwone bataliony krwawego Ilicza Włodzimierza Lenina, i przynieść wolność mieszkającym tam Polakom.

W ten jeden dzień, gdy konne szwadrony przymierzały ulice Dębołęki, gdy konie tupwały równomiernie w kałuże, ludzie wylegli z domów, obserwując ze łzami w oczach polską armię powstałą ze zgliszczy i popiołów, z bólu i tęsknoty, z nadziei miliona serc.

Tylko Mieczysław Korycz, przywierając bladą twarz do szyby, nie poddał się nastrojowi chwili. Życzył w ten słotny dzień jak najgorzej dumnym chłopcom, ubranym w mundury z orzełkami. Życzył im, aby ugrzęźli w dalekich lasach Sybiru, przepadli w jego niezliczonych lagrach, zostali zapomniani. Myślał o tym, że jada walczyć z Czerwoną Armią, która Rosjanom i ludziom ciemężonym niosła obietnice wolności. Myślał, że gdyby wiedział o przyjeździe, zgotowałby buńczucznyemu wojskom Piłsudskiego odpowiednie przyjęcie. I zapamiętałiby sobie Dębołękę na zawsze. „Da los”, uśmiechał się pod nosem, „że kiedyś wrócą inaczej, z łapami na karkach, gonieni przez armie Lenina”.

Tymczasem konnica przejechała w szybkim tempie, zostawiając po sobie tę samą nabrzmiałą deszczem ciszę, która panowała w mieście wcześniej, i ludzi zamkniętych w swoich domach, dotkniętych najróżniejszymi chorobami, skazanych na trwanie...

Mieczysław Korycz jedyny nie poddał się nużącemu wpływowi deszczu. Złakniony

rewolucyjnych przemian odetchnął z ulgą po odejściu wojska i wpadł na pomysł stworzenia w mieście burdelu, tajnego przyczółka sił proletariatu, w którym zdecydowane na wszystko towarzyszyki będą zbierać informacje od bogaczy sytych niewieścich ciał, i szantażując ich skandalem, wyciągną pieniądze z ich przepastnych kieszeni, pieniądze na przyszły świat.

Korycz porwany swoją wizją, przedstawił ją przywódcom ruchu, zyskał ich aprobatę, i zabrał się do pracy. Przez podstawioną osobę wykupił duży plac położony na uboczu miasta, zatrudnił architekta, murarzy, i malarzy. Z dumą obserwował prędko wznoszące się mury, ale zawsze z dala, bo nie chciał, by nawet plotka łączyła go z „Rajem”, jak zamierzał nazwać przybytek.

Odwiedził go raz. Pewnej sierpniowej nocy, dwa tygodnie po tym, jak do miasta przyjechała Katarzyna Wasilewska wraz z grupą roześmianych, umalowanych wyzywająco dziewcząt, które bez pytań wykonywały polecenia swojej przywódczyni, kobiety po trzydziestce, zakochanej w jednym z działaczy Komunistycznej Partii Polski, dla którego najpierw porzuciła studia, potem koleżanki i kolegów, a wreszcie rodzinę.

Katarzyna wierzyła w świat bez granic, zjednoczony we wspólnym robotniczym przesłaniu. Wieczorami przemyciała w tramwajach i pociągach broń. Przychodziło to jej łatwo, bo miała spojrzenie anioła i takiż wygląd. Po kilku latach działalności w ruchu uczestniczyła w paru poważniejszych akcjach, gdy podłożone przez nią bomby obróciły w niwecz domy kilku znanych przeciwników komunistycznych idei i pozwoliły zarobić wyrobnikom trumien.

Przyjechała do Dęboleki pełna wiary, że uczyni co w jej mocy, aby położyć kres nędzy biedaków. Kupiła za partyjne pieniądze meble, powiesiła na drzwiach tablicę z napisem: Dom dla ubogich dziewcząt. Ośrodek opieki społecznej.

Nikt nie zadał sobie trudu, by sprawdzić tę informację. Przyjęto ją w dobrej wierze. Zaproszono Katarzynę do paru domów, które odwiedziła, zapamiętując dobrze ich rozkład i wystrój. Wywarła jak najlepsze wrażenie na gospodarzach, bo zdawała się nieśmiała, bo wydawało się, że bardzo liczy na pomoc zamożniejszych obywateli Dęboleki, przekonana o wielkości ich serc.

Kiedy Mieczysław Korycz odwiedził Katarzynę i dziewczęta, zastał „Raj” już wyposażony w meble, w niczym nie przypominający typowego burdelu. wypełniony atlasami, lustrami i czerwienią. Przyzwoity pensjonat, pełen kwiatów i barwnych

dywanów, lśniący czystością, przewiewny i czysty. Katarzyna z błyskiem w oczach pokazywała ukryte aparaty fotograficzne, które miały uwiecznić żądnych doznań mężczyzn

– Zrobimy tu piekło – uśmiechnął się Korycz.

– Tak – odparła. – Przekonają się, jak są obłudni, jak obłudne są ich żony, zakłamanie damy.

– Zrobimy to powoli, ostrożnie – mówił dalej. – Będziemy mieli w garści całe to miasto...

Mówiąc te słowa objął drapieżnym spojrzeniem sylwetkę Katarzyny, głaskał nim jej długie czarne włosy, zanurzył się w jej przejrzystych oczach, pieścił smagłą gładką skórę, pachnącą nieuchwytnym zapachem lasu. Myślał o tym, jaka jest w łóżku, co się z nią dzieje, gdy zapomina o ruchu robotniczym i oddaje się całej żądzy. Uśmiechnęła się lekko, czując jego spojrzenie, lecz nic nie powiedziała.

Gdy wychodził, już świtało. Przemykał chyłkiem wzdłuż murów, przemykał pomiędzy drzewami, rozmyślając nad tym, jaka jest natura kobiety. Zawsze uważał płęć żeńską za gorszą, stworzoną po to, aby zaspokajać męskie kaprysy, prowadzić mężczyznom dom, rodzić im dzieci i je wychowywać. „Kobiety są silne wobec tych, którzy im ulegają”, myślał, „widzą w nich ucłowieczone anioły, istoty wyższej natury... naprawdę zaś kochają tych, którzy nimi gardzą. Paradoks natury? Nie, zwierzę potrzebuje silnego właściciela, a czymże innym jest kobieta, jeśli nie zwierzęciem...”.

„Do diabła”, pokiwał głową Korycz, „jeśliby to słyszeli moi towarzysze. To wcale nie postępowe poglądy. Ale kto wierzy w to, co mówi? Idioci...Paru marzycieli, którym zwidziało się królestwo Jezusa na ziemi i którego nigdy nie doczekają. Życie, miłość, polityka to gra i walka, nic więcej. A Kira? Przyjdzie taki moment, że upokorzę tę dumną kobietę i każę jeść jej z ręki, i będzie jadła. Władza nad drugim człowiekiem jest najpiękniejszą rzeczą pod słońcem, nic piękniejszego nie ma”.

Korycz wszedł do swojego budynku. Spojrzał z obrzydzeniem na brudne schody, na brudne drzwi, prowadzące do jego mieszkania, zaniedbanego od wielu miesięcy, które stanowiło tajny punkt walki o lepszy świat, i położył się czym prędzej spać, i śnił o dniu, kiedy zapanuje niepodzielnie nad cichym o tej porze miastem.

Zbudził się około dwunastej. Uporządkował z obrzydzeniem jako tako mieszkanie.

Wyprał brudne skarpetki, już od tygodnia zalegające za łóżem, wypastował do połysku czarne półbuty. Potem założył garnitur, aksamitny krawat, miękko spływający po białej koszuli, i poszedł do Kiry.

Służąca wpuściła go, chociaż jeszcze nie było gospodyni, bo była przyzwyczajona do jego częstych odwiedzin. „Pani zaraz wróci” – powiedziała, prowadząc go do salonu po białych kafelkach, srebrzyście odbijających słoneczne promienie wpadające przez okno.

Korycz usiadł w głębokim fotelu. Na pobliskim stole zauważył kurier poranny, wziął go do ręki i wglębił się w treść notatki opowiadającej o obradach sejmu. Po chwili, czując, że coś mu przeszkadza w skupieniu uwagi, podniósł oczy i dostrzegł Włodzimierza, stojącego nieruchomo w kącie przy srebrnym lustrze. Chłopiec spoglądał nań wzrokiem nie z tego świata. Korycz wzdrygnął się z nieprzyjemnego wrażenia.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytał.

Włodzimierz nie odpowiedział. Widział przed sobą zmieniające się obrazy, pogrążone w mroku, niewyraźne, które na próżno pragnął zatrzymać. Widział czyjeś ręce wzniesione do góry, zakrwawioną twarz matki, słyszał tupot nóg siostry, biegnącej po pustej wyludnionej ulicy.

Weszła Kira, jak zawsze elegancko ubrana. Miała na sobie ciemną suknię, podkreślającą zgrabną figurę, tego samego koloru kapelusz, obramowany białym płótnem. Podała niedbale dłoń Koryczowi, który z przyjemnością ją pocałował, czując zarazem płynący od niej subtelny i delikatny zapach perfum.

Kira spojrzała z niepokojem na pobladłego Włodzimierza, podeszła do niego zaniepokojona, pocałowała syna w czoło. Chłopiec popatrzył na nią ciężkim wzrokiem. Dostrzegła w jego oczach bezmiar cierpienia i serce w jednej chwili ścisnęło jej żelazne imadło. Włodzimierz uśmiechnął się do niej i wyszedł.

Kira wolno przybliżyła się ku oknu, odsłoniła firankę. Czowała na sobie płonące spojrzenie Korycza.

– Pożądam panią – powiedział cicho.

Wciąż stała przy oknie i myślała o Włodzimierzu, o jego bladej twarzy, o jego niepokojącym zachowaniu przez kilka ostatnich dni.

– Ja pana nie pożądam – odparła. – Mierzają mnie mężczyźni pańskiego pokroju. Co

rusz wraca pan do tematu już raz skończonego. Proszę tego nie robić, to bezcelowe. Przepraszam, ale muszę wyjść...

Nie zauważyła, jak blednie, jak krew odpływa mu z twarzy, jak jego oczy ciemnieją z nienawiści i oburzenia, jak zaciskają się jego dłonie.

Kira na moment przystanąła w progu.

– Rewolucje i rewolucjoniści niczego nie zmieniają– powiedziała.– Przynoszą wyłącznie niepotrzebne cierpienie. Odbierają jednym, a dają drugim...

– Dlaczego pani o tym mówi?

– Dowiedziałam się, na czym polega pana właściwa praca, ta poza leczeniem ludzi, kontrowersyjnym leczeniem...

– Pani wielu rzeczy nie rozumie...

– Rozumiem aż nadto dobrze, panie Korycz...

Wstał, pożegnał ją z wymuszoną grzecznością. Wyszedł dręczony jeszcze większym pożądaniem i większą nienawiścią.

Kira nadal zaniepokojona dziwnym zachowaniem syna, poszła do jego pokoju. Włodzimierz leżał na tapczanie, przymknął powieki, jednak nie spał.

– Synku, co się stało?– zapytała, miękko dotykając dłonią jego twarzy.

Wtedy jej zdradził, że widzi rzeczy, których inni ludzie nie dostrzegają, że czasami zauważa śmierć krążącą po ulicach, że wyczuwa czyjąś chorobę, że przeczuwa rzeczy, które dopiero się wydarzą.

Patrzyła nań przestraszona. Nie zastanawiała się, czy kłamie, czy mówi prawdę, bała się jego inności, tej samej inności, która była w jego ojcu. Wzrok jej zatrzymał się na twarzy syna, przypomniała sobie w jednej sekundzie wydarzenia, które oznajmiały, że Włodzimierz od zawsze należy do innej rzeczywistości. Od urodzenia był nadwrażliwy, przerażały go ciemności, w nocy budziły mroczne sny, a jego oczy zawsze spoglądały tak, jakby dostrzegały więcej.

– Przez pana Korcza zginęła kobieta – rzekł Włodzimierz.



– O czym ty mówisz?

Wyjawiał swoje przecucia. Opisał dzień, gdy nieodgadnione przeznaczenie kazało wyjść mu z domu. Opowiadał, jak dziewczyna, którą znał tylko z majaków i snów, znikła w rzece. „Ona bardzo cierpiała” – oznajmił. – „Była samotna, opuszczona i nieszczęśliwa, dlatego pragnęła umrzeć. Próbowałem ją powstrzymać...”

– śpij już, synku – poprosiła, gasząc światło.

Tej nocy modliła się za Włodzimierza. Szeptwała żarliwie słowa modlitwy, jednak czuła, że nie została wysłuchana. „To daremne”, szepnęła do siebie, na próżno usiłując dostrzec daleką przyszłość.

Tego samego wieczoru Włodzimierz po raz pierwszy śnił sen, który odtąd nawiedzał go przez wiele nocy, zawsze taki sam, nieodmienny. Siedział w nim pod zielonym rozłożystym drzewem, którego liście pachniały nadzieją i wiosną. Oddychał tym zapachem. Wnikał przez niego w drzewo, oddychał jego spokojem, niczym woda płynął szerokimi rozłożystymi konarami. Był w nieskończoności, a nieskończoność była w nim. Spoglądał na rozjaśnioną kwiatami łąkę, na drogę... I naraz ogarniał go niepokój, bo wstęga drogi ginęła za wzgórzem, i nie widział, co za nim jest... Jednak wyczuwał czające się tam zło... Dostrzegał za murem zieleni płonące czerwienią oczy bestii. A potem zauważał ludzi, tłumy ludzi... dzieci, kobiet i mężczyzn, którzy szli przed siebie, do miejsca, gdzie światło gasło.

Nie mógł ich ostrzec, nie potrafił im pomóc, nie umiał ich zatrzymać. W jednej chwili, przypominającej błysk słońca wychodzącego spoza chmur, dojrzał w tłumie bliską sobie twarz, rozpoznał jej rysy, rozpoznał jej oczy, rozpoznał długie czarne włosy i wiotką sylwetkę, lecz nie wyłowił z przeszłości imienia. Usłyszał mroczny ryk, wibrujący grozą nicości, otchłani i zapomnienia.

Obudził się.

Za oknami nadal padał deszcz. Nie przestawał padać. I nic na świecie nie było oprócz kropel miarowo uderzających w parapet okna, oprócz kałuż zalegających na ulicach i chodnikach, oprócz wiecznych chorób, przeziębień, bólów gardła, nie kończących się katarów, gromadzącego się w przedpokojach piachu i błota, nie ustających smutnych czarnych karawanów zdążających na cmentarz, których w tych dniach zdawało się więcej niż kiedykolwiek indziej.

Młode dziewczęta, pracujące w fabryce Salomona Goldmana, zwlekały się o brzasku z łóżek, otępiały snem i zapowiedzią szarego niezmiennego dnia, ubierały w ciemne ubrania, wychodziły cicho z domów, przemykały pośpiesznie pod murami domów, wpadały w kałuże, niszcząc przy tym buty kupione za wiele miesięcy pracy, przechodziły niczym cienie przez portiernię, ścigane pożądliwym wzrokiem pijanego dozorca, wchodziły na hale oświetlone żółtym mdłym światłem, i grzęzły pośród maszyn, pośród ich huku, aby z prędkością precyzyjnych automatów przebierać palcami.

W najbliższą sobotę, po raz pierwszy od wielu nocy i dni, wzeszło słońce, ale jeszcze blade i ciche.

Beniamin Rabinowicz wstał wcześniej, ubrał się, założył tałas i odmówił poranną modlitwę, prosząc Boga, aby pozbawił go wątpliwości i dał mu spokój.

Podszedł do łóżek Szymona i Estery. Przyglądał się długo ich twarzom, szukał w nich podobieństw do siebie i do Chany. „Co czeka ich dalej?” – pytał siebie w duchu. – „Czy mają być tułaczami jak nasz cały naród? Czy nie zaznają szczęści?”

Odwrócił się. Chana patrzyła nań szeroko otwartymi oczyma, pełnymi miłości i ciepła. To rzadkość, mówili o niej ludzie, aby człowiek miał w spojrzeniu niebo.

– Są śliczne, prawda? – powiedziała.

– Tak – odparł zadumany.

Zagubił się. Rzeczy jasne odeszły w cień i ustąpiły wątpliwościom. We dnie spotykał się z przyjaciółmi. Opowiadał, jak należy postąpić, aby wspólnota odnalazła się w świecie rozdieranym przez wojny i konflikty. Namawiał do tego, aby trwać w wierze i obyczajach, które od tysięcy lat stanowią serce narodu. Natomiast wewnątrz siebie czuł, że wszystko wokół ulega przeistoczeniu i podąża ku nowym formom. „A nowe formy”, obawiał się, „przekreślą na zawsze naszą kulturę i nas”.

„W świecie bez granic”, myślał, „w świecie tak oczekiwanym przez Korycza, chyba już nie będzie miejsca na indywidualizm...I co przyniosą te zmiany? Co przyniosą Żydom?”.

Chany nie interesowały jego rozważania. Sądziła, że sam przez siebie człowiek niewiele może i niewiele potrafi. „Człowiek”, mówiła, „powinien się skupić na codziennej modlitwie, powinien wypełniać codzienne obowiązki”. „To wystarczająco trudne”, twierdziła.

Beniamin odczuwał niedosyt. Wciąż pragnął czegoś nowego, dlatego odwiedzał znajomych. Pośród nich dyskutował godzinami o Torze i o Talmudzie, o współczesnej polityce i o sensie istnienia, o przyszłym Izraelu. Kiedy powracał do domu, nadal pogrążony w gorączce wypowiedzi, dręczyło go przecucie, że stara się podążać drogą, którą tysiące ludzi próbowało podążać przed nim, na próżno...

„Są na cmentarzach”, rozważał. „A na ziemi są miliony cmentarzy. I jest tam tylko cisza i spokój. Wieczność bez cierpienia i udręki. Tak, wszystko jest tak ulotne. Ale czy to znaczy, że należy się poddać, zaprzestać na zawsze jakichkolwiek działań?...”

Cierpiał. Chodził po jarmarkach, obserwował współbraci. Przypatrywał się ich twarzom, ich gestom. Niekiedy przybliżał się do nich, pozdrawiał i rozpoczynał dyskusję, jedynie po to, aby dać upust swoim wątpliwościom.

Któregoś dnia w szabasowy wieczór, gdy Chana zapaliła świece, pojął naraz, że jego świat, świat zamknięty w sercu, świat gestów i minionych chwil, świat przelotnych spojrzeń i mglistych obietnic, świat pełen kłopotów, świat przepełniony walką o każde jutro, lecz zarazem świat nadziei i rozczarowań, świat wspólnych posiłków, modlitw, narodzin, śmierci, pogrzebów, spotkań i rozstań– jest wielkim światem, bo przenika go miłość.

Nazajutrz, odwiedził rabina, bo chciał się z nim podzielić własnymi przeżyciami i własnym odkryciem.

Był jeden z pierwszych pogodnych poranków, wolnych od szarego jednostajnie szumiącego deszczu, który wielu ludzi w Dębolece doprowadził do smutku i chorób.. Beniamin szedł ulicą Sienną a potem Zamkową. Obserwował z przyjemnością jaskółki krążące wysoko nad ziemią, bo to zapowiadało pogodę.

Drzwi domu rabina otworzyła Judyta, siostra Kałmana, młodsza odeń o kilka lat. Miała ciemne oczy, przeszywające spojrzenie, semicki nos i długie włosy, posiwiałe już, starannie zaczesane w kok na tyle głowy.

– Beniamin Rabinowicz– uśmiechnęła się pogodnie, bo przypomniała sobie dawne ożywione rozmowy. Wprowadziła go do środka, do pokoju Rabina, w którym ten ostatni dyskutował zażarcie z Salomonem Goldmanem o wyborach do rady miejskiej.

Na widok Beniamina przerwali.

Rabinowicz przyjął to źle. Pomyślał, że zapewne już każdy wie o jego znajomości z Mieczysławem Koryczem, który cieszył się w mieście nie najlepszą opinią. Podał mężczyznom dłoń, usiadł w fotelu wskazanym mu przez Kałmana i zerknął na Goldmana, przyglądającego mu się zimnymi oczyma ryby.

„Co za człowiek”, pomyślał. „On nie ma wątpliwości... Dlaczego ja tak nie potrafię?...”

Goldman obojętnie odwrócił twarz ku rabinowi, jak gdyby zapominając o istnieniu Rabinowicza.

– Pieniądz, rabbi – mówił – rządzi ludźmi. Pieniądz rządzi całym światem. Rządzi też politykami, bo w większości przypadków to ludzie nieudolni, którzy nie poprzez pracę, lecz przez podatki pragną się wzbogacić...

– Kiedy pasterz gniewa się na trzodę– odpowiadał Rabin– daje im za przewodnika ślepego barana. Tak powiada Talmud. Powiada też, że za głową podąża ciało. Powiada również, że władza grzebie tych, którzy ją sprawują...

Zamyślił się. Poglądził długą brodę i spojrzał badawczo na Beniamina. Zauważył pośród jego czarnych włosów siwe i przeraził się potęgą czasu, który wciąż biegł do przodu, zostawiając za sobą ludzką urodę, ludzkie problemy, rzeczy małe i duże. Zapytał Rabinowicza o rodzinę, słuchał z uwagą jego odpowiedzi, sam opowiadał o problemach gminy, o braku pieniędzy. Spoglądał przy tym znacząco na Goldmana, który kiwał ze zrozumieniem głową, lecz nie powiedział słowa, wreszcie wyjął z kieszeni kamizelki zegarek, spojrzał na jego wskazówki, pożegnał się, zostawiając rabina i Beniamina sam na sam ze sobą.

– To dobry człowiek – rzekł Kałman.

– Słyszałem inne opinie– odparł Rabinowicz.

Rabin złożył dłonie i obserwował swoje palce, jakby zauważył na nich coś ciekawego. W rzeczywistości był zdenerwowany, ponieważ jego siostrę, Judytę, opuścił mąż. Odszedł do innej, zabierając ze sobą znaczny majątek: dużo biżuterii i pieniędzy, po czym ślad po nim zaginął. „Na pewno wyjechał z kraju”, rozważał Kałman. „Może jest teraz w Ameryce, a może gdzie indziej... Jak można tak postąpić wobec rodziny? Jak można zostawić żonę i dzieci? Jak można...”

– Czy coś się stało? – zapytał Rabinowicz.

– A co się miało stać? Przyszedł tylko zły dzień. To wszystko.

Beniamin pokiwał głową. Pomyślał, że jeśli rabin ma taki dzień, to on tym bardziej może go mieć. Zaczął opowiadać o swoich kłopotach. Mówił o tym, jak poszukuje właściwej drogi, jak sprzecza się z Mieczysławem Koryczem. Kałman słuchał podświadomie, wciąż zajęty rozważeniami o siostrze.

– Jak mam postąpić?– powiedział Beniamin.

Rabin drgnął, otrząsnął się z zamyślenia. Rzekł, że wszystko jest zawarte w świętych księgach i w przykazaniach, które Mojżesz otrzymał od Boga na górze Synaj. „Człowiek od nich odchodzi”, mówił, „bo wydaje mu się, że jest mądry, że potrafi rozwiązać swoje problemy, a przy okazji uszczęśliwić świat, ale tak nie jest”. „Przestrzegaj prawa, zawartego w Torze”, dodał.

Rabinowicz wyszedł nieprzekonany. I chociaż rozumiał słowa Kałmana, to nie potrafił ich zaakceptować. „Przecież Żydzi od lat kroczą właśnie taką drogą”, dumał, „i cóż im z tego?” Ponownie wrócił do rozważań o ulotności życia. Szukał w sobie argumentów, które by potwierdziły racje Korycza, lecz ich nie znalazł. Postanowił, że odwiedzi lekarza i przy okazji zerwie z nim znajomość.

Tymczasem Mieczysław Korycz podrzucał w fabryce Goldmana ulotki, które wzywały robotnice do buntu. „Fabryka jest żydowska!”, krzyczały. „Warunki w niej nieludzkie!” Lekarz werbował do swojej grupy młode dziewczęta, oczarowane jego słowami o przyszłości. Wieczorami nawoływał mieszkańców Dębolięki aby zbojkotowali wybory do rady miejskiej, gdyż w ten sposób udowodnią kapitalistom, iż nie zgadzają się z ich postępowaniem.

Również wieczorami skupował potajemnie najróżniejszą broń, by ją wykorzystać w chwili, która nieodwołalnie miała zaistnieć. Któregoś dnia, kiedy już zmierzch wkradł się pomiędzy mury, wysłał swoich ludzi do miasta, aby rozmieścili na nich paszkwile przeciw Kirze. Nazajutrz rano przechodnie przeczytali zdania przepełnione nienawiścią i pogardą...

Ale Korycz popełnił błąd. Za bardzo szanowano Kirę, aby mógł jej tak zaszkodzić. Jednak nikt nie łączył „ordynarnej wojny plakatowej” z jego osobą. Nawet sama poszkodowana. Kira, pomimo wielu nalegań przyjaciół, nie zdecydowała się na udział w wyborach. „Politycy to dranie”, twierdziła. „Nie chcę być draniem!” I odsyłała

proszących z kwitkiem.

Jakub Dorniłowicz nadal przebywał w Warszawie. Był już zniechęcony, a także zrezygnowany, bo w wielkomięjskim świecie, za którym niedawno tak bardzo jeszcze tęsknił, oczekując, że spotka w nim dawnych towarzyszy broni: ludzi prostych, szczerych oraz uczciwych, za nic mających sobie pieniądze— otóż w tym wielkomięjskim świecie pojawił naraz, że dawne lata bezpowrotnie odeszły w przeszłość, podobnie jak jego młodość, podobnie jak idee, którymi żył.

Wokół siebie dostrzegał ludzi zaprzątniętych walką o przywileje, wyższe pensje, stanowiska dla siebie i swoich bliskich, dostrzegał ludzi bez skrupułów zgarniających pieniądze do własnych kieszeni w zamian za przywileje, usługi, pozwolenia, koncesje. Dawnych żołnierzy Piłsudskiego łączyło już tylko poczucie wspólnej niegdyś walki, pamięć nocy spędzonych w rowach strzeleckich pod gołym niebem i pamięć kolegów, umierających na dłoniach w bezchmurne księżycowe noce lub w noce przesłonięte kłębamii chmur, w różne noce, lecz zawsze z tym samym bezgranicznym żalem odchodzenia w nieskończoność.

„Tylko marszałek może pomóc ojczyźnie”, powtarzał sobie codziennie rano, gdy wstawał, gdy mył twarz, przypatrywał się w lustrze, golił zarost, jadł śniadanie, odwiedzał znajomych, lub też ich przyjmował, jadł obiad, wychodził do miasta, załatwiał tysiące ważnych spraw. Powtarzał to sobie rozmawiając z przyjaciółmi, z politykami lewicy, z politykami prawicy, z urodziwymi damami, skrycie kryjącymi znużenie pośród alabastrowych wnętrzy, porcelanowych figurek, marmurowych posągów, pośród obrazów przedstawiających wąsatych mężczyzn o urodziwych marsowych twarzach, mężczyzn, którzy sięgali dłońmi do kontuszy, obejmując palcami rękojeści szabel, schowanych na stulecia i przedstawiających zamyślane i nieodgadnione twarze niewiast, które już na zawsze pozostały w pozie uwiecznionej przez domowego malarza, trwoniącego życie na ciągłym mieszaniu farb, na poszukiwaniu sposobu, aby przedstawić naturę w jej całej okazałości i prawdzie, na pokątnych romansach ze swoimi chlebobawczyniami, kiedy ich mężowie, okuci w stале, dosiadali koni, ażeby nadaremnie gonić za swoimi marzeniami.

Potem Jakub, znużony popołudniem, wracał do mieszkania przyjaciół, którzy użyczyli mu miejsca na okres jego pobytu w Warszawie. Jadł z nimi śniadania, obiady i wieczerze. Słuchał o ich problemach, o problemach ich znajomych, o drożących towarach, o postępującej inflacji, o zamieszkach na ulicach, o pogrzebach, śmierci, ślubach i mordach, o postępującej inflacji, o nieudolności ludzi sprawujących władzę.

Wreszcie kładł się zmęczony, aby we śnie wracać do chwil młodości.

W dniach, gdy usiłował dogonić czas, Krystyna Borgacka ujęła jego dom żelazną ręką, ułożyła plan domowych zajęć dla służących z dokładnością do minuty, ze szczegółowym wyliczeniem poszczególnych czynności takich jak pranie bielizny, przygotowanie posiłków, kupowanie niezbędnych rzeczy w mieście, szycie i cerowanie, czas na noclegi, modlitwy i na odpoczynek.

Krążyła od rana do wieczora po domu jak duch, szukając wszędzie drobnych niedociągnięć i odnajdując je wprawnym oknem. Gonila do pracy małą Marię, wymyślała jej od niedołęgów, życiowych nieudaczników i wybuchała niepowstrzymanym gniewem, gdy Piotr usiłował bronić córkę. Lecz najbardziej nienawidziła Stefę, przydzielala jej najgorsze prace, biła ją po twarzy, groziła jej wyrzuceniem, nazywała ją największą niedojdą na świecie.

Pod nieobecność Jakuba przyjęła do służby Zdzisława, dwudziestopięcioletniego parobka o silnym ciele, muskularnych i sękatych rękach, o prymitywnym charakterze i złośliwym usposobieniu, na swój sposób sprytnego, który został jej pomagierem, osobą odpowiedzialną za to, co się dzieje w domu, ale w rzeczywistości zaspokajał po kryjomu jej tęsknoty seksualne.

Krystyna przekradała się do niego nocami, pilnie bacząc, aby nikt nie zauważył jej na korytarzach. Wchodziła do pokoju Zdzisława i zamieniała pragnienia o dzikiej nienasyconej miłości w rzeczywistość, na próżno usiłując zaspokoić nabrzmiałe pożądaniem ciało.

Jakuba, piszącego z Warszawy, że niedługo przyjedzie, uważała za skończonego głupca, który nie dostrzega tego, co się wokół niego dzieje. Dziwnym zrządzeniem losu, któremu pomogła ze wszystkich sił, został jej mężem i uwierzył we wszystko, w co wierzyli jej znajomi, nieświadomi jej prawdziwego oblicza, nieświadomi życia, jakie prowadziła. Uwierzył nawet, że jest z nim w ciąży.

W niedziele uczęszczała wciąż w tych samych godzinach do kościoła na nabożeństwa, słuchała z uwagą kazań, kładła na tacy przyzwoity datek, zapraszała w gości szanowanych powszechnie ludzi. W ich obecności zmieniała się nie do poznania, dumnie obnosiła ciężę, mówiła subtelnym językiem wyższych sfer, była do przesady uprzejma i usłużna, a także nieśmiała. Wyrażała się z szacunkiem o mężu i jego znajomych, spuszczała skromnie oczy w chwilach, kiedy przyzwoicie wychowana kobieta powinna je

spuścić. Nie pytała o nic, jednak z uwagą słuchała różnych opinii, łowiąc żarliwie informacje o znanych osobach.

Była dumna, że w każdą niedzielę odwiedza jej dom Rafał Aranowski, odmawia modlitwę i błogosławi wszystkim, nieświadoma prawdziwych przyczyn jego stałych wizyt i tego, że drzemie w nim mrok jeszcze większy niż w niej samej.

Młody ksiądz przypatrywał się Marii, wypytywał Piotra o jej zdrowie, udzielał porad. Był tak przejęty stanem dziewczynki, że Dorniłowicz mu dziękował i prosił go, aby głębiej wniknął w rzeczy zakryte przed innymi i spróbował pomóc Marii.

Rafał Aranowski przeżywał tragedię, zduszony wichurą szalejących w nim namiętności. Wieczorami tłukł się niczym ćma po własnym pokoju, na próżno usiłując uciec przed wizją Marii pozostawionej na jego łasce. Już nie przynosiły mu ukojenia noce o twarzach młodych dziewcząt, bezwstydnym i pełnym pożądania. Już go nie ratowały mroczne sny, w których czynił rzeczy gorsze, niż na jawie. Nie pomagały mu chwile, kiedy wyobrażał sobie bezwolną dziewczynkę, otuloną kaskadą drżących promieni słońca, pozwalającą mu w milczeniu dotykać lekko zaróżowionych sutków, dziewczynkę pachnącą rzeką i wonią leśnych kwiatów, leżącą w zieleni łąki i pozwalającą mu sunąć twarzą po gładkiej świeżej skórze nóg, smakować ich kształty, pełznąć językiem po smukłych kostkach i chudych łydkach, zamkniętych w nieprzemijającym świecie wyobraźni, i zanurzać usta w powodzi włosów spływających światłem po ramionach...

A potem, udręczony do nieprzytomności wizją, wydierającą z jego wnętrza przeciągły jęk, przytulał się gwałtownie do pościeli, wypręzał ciało w narastających drżeniach rozkoszy, zostawiając na białym prześcieradle mokre plamy.

„Jestem potępiony”, szeptał do siebie w momentach opamiętania, gdy pojmował, że brnie coraz dalej w niepowstrzymany łańcuch przyczyn i skutków, który – spełniając się zgodnie z przeznaczeniem – odbierze mu wszystko co godne i warte szacunku. Więc pragnął rozmawiać i wyrzucić z siebie ból i wstyd za siebie samego, za tę swoją zezwierzęconą część, żądającą posłuszeństwa dla pragnień ciała.

Modlił się rano i wieczorem, modlił się w długie bezsenne noce, aby oddalić od siebie cień zła, krążący coraz bliżej i bliżej. W niedzielę przypatrywał się ludziom ufnie powtarzającym słowa modlitwy, spoglądającym z czułością na dzieci, ludziom żyjącym z dnia na dzień, wypełniającym swoje obowiązki, pogrążonym w nawale codziennych



czynności, w potrzebie zaspokojenia bytu rodziny, w tysiącu drobnych czynności, tworzących ich rzeczywistość.

Ksiądz Franciszek Korecki dostrzegł wewnętrzne zmagania swojego podopiecznego, zauważył zamyślane spojrzenie, drżące ręce, lepki pot na jego czole, niepewność w ruchach, skrywane cierpienie.

– Coś jest młodemu – powiedział pewnego dnia gosposi.

– Przyzwyczajają się – odparła. – To w końcu młody człowiek.

– Nie jestem pewien – odparł zamyślony.

Pewnego dnia poprosił Rafała Aranowskiego do siebie. Bardzo delikatnie zapytał go, czy czasami nie ma jakichś kłopotów, po czym spojrzał badawczo w jasne przejrzyste oczy młodego księdza, na próżno usiłując odnaleźć w nich ziarenko porozumienia.

– Nic mi nie jest – odparł Aranowski.

Czuł nagłą ochotę, aby wyrzucić z siebie całą swoją udrękę, aby przyznać się staremu proboszczowi o łagodnej i dobrotliwej twarzy, proboszczowi życzliwemu każdej ludzkiej istocie, że pożąda dziesięcioletniej dziewczynki, że nie potrafi powstrzymać swoich żądz, chociaż stara się je okiełznać ze wszystkich swoich sił. Lecz naraz coś w nim stężało, czuł się niczym skamieniała lawa i wiedział już, że nie otworzy swojego serca.

– Nic mi nie jest – powtórzył.

W pierwszą niedzielę września, w dzień delikatnej pogody, w dzień słońca przesłoniętego pajęczyną delikatnych chmur – wybrał się za pozwoleniem Piotra Dorniłowicza na spacer z Marią. Zaprowadził dziewczynkę nad rzekę, trzymał jej ciepłą dłoń w swojej dłoni, gładził ją po głowie, spoglądał w jej ciemne duże i poważne oczy, przypatrujące mu się z niemym niewyrażonym pytaniem.

Rzeka płynęła cicho, spokojnie, niknąc za zakrętem w spłowiałej już zieleni łąki, pierwszego zwiastuna jesiennych długich dni.

Rafał Aranowski usiadł na ziemi, uśmiechnął się do Marii, która odwzajemniła jego uśmiech i gestem pokazała, aby usiadła na jego kolanach, co uczyniła bez wahania. Poglaskał ją ponownie po głowie, potem po twarzy, położył dłoń na jej piersi i przytulił ją mocniej do siebie, a ona poddała się ufnie jego gestowi.

– Tak jest dobrze– powiedział cicho.

Jego serce uderzało pośpiesznie, krew pulsowała w nabrzmiących żyłach. Położył ręce na kolanach Marii, uważając ze wszystkich sił, aby jej nie przerazić i aby nie przerwać krótkiej chwili, która wywołała w nim uczucie, jakiego doświadcza człowiek we śnie, gdy naraz odrywa się od ziemi i niczym ptak szybuje w przestworzach, pozbawiony wszelkiego balastu, na zawsze wolny...

Rafał Aranowski uniósł delikatnie palce, nadal usiłując nie spłoszyć dziewczynki, dotknął opuszkami jej gładkiej i chłodnej skóry, potem przesunął nimi tam i z powrotem ostrożnie pieszcząc aksamitne kolano i równie ostrożnie przesuwając dłoń coraz wyżej.

Dziewczynka spoglądała na przeciwległy brzeg rzeki. Nie przywiązując najmniejszego znaczenia do subtelnych ruchów Aranowskiego, badała wzrokiem wysokie drzewa, śledziła lot jaskółek, obserwowała patyki płynące wraz z rzeczny nurtem. W pewnej chwili poczuła drobne ręce księdza na swoim udzie, milimetr po milimetrze– z chytrą lisa– wędrujące coraz wyżej, a później cofające się na poprzednie miejsce, jakby w ten sposób próbowały usprawiedliwić to, co właśnie uczyniły.

Nie uważała zachowania Aranowskiego za złe, przeciwnie: łagodne ruchy mężczyzny uspokajały ją, przynosiły odprężenie, niosły za sobą dziwną przyjemność, którą odczuwała całą swoją istotą. Dlatego oparła się plecami o pierś księdza, wciąż wpatrując się w daleką przestrzeń.

– Tęsknię za mamą – oznajmiła nagle, nieco żalnym głosem przedwcześnie dojrzałego dziecka, głosem, w którym zabrzmiał taki ból, że Aranowski nie potrafił powstrzymać dreszczu i ogarnął go w jednej chwili bezbrzeżny smutek i nieprzewyciężony wstręt do samego siebie – do swojej moszny, do swoich jąder i swojego prącia, do wody i krwi swojego organizmu, pulsujących wewnątrz niego w takt uderzeń serca...

Westchnął głęboko, pogłaskał Marię po głowie i spojrzał z rozpaczą w niebo, jakby tam spodziewał się odnaleźć ratunek.

– Kocham cię, Mario – powiedział.

– To nie pomoże – odparła – bo Bóg mnie nie kocha. Jeśliby mnie kochał, nie zabralby mi mamy i braciszka.

– Będziemy już wracali – rzekł ksiądz.

Czuł obrzydzenie do siebie i do całego świata. Wydawało mu się, iż jego życie jest bezcelowe, a on sam jest czymś w rodzaju bydłęcia w olbrzymim zabrudzonym korycie.

I nawet w tym momencie, gdy przesywało go i targało nim niezadowolenie z siebie samego, pamiętał wciąż ciepłe udo dziewczynki i pragnął ponownie go dotknąć.

„Jestem podły i zepsuty do końca”, myślał. „Powiniennem natychmiast zrezygnować z kapłaństwa, zaszyć się w jakiś ciemny kąt i nikomu nie pokazywać się na oczy, gdyż z pewnością jestem potworem a nie człowiekiem...”

– Ja też lubię księdza – rzekła cicho dziewczynka.

Tego wieczoru Halina Stefańska czyniąc w parafii porządki– przecierając kurze, usuwając pajęczyny, wycierając stuletnie obrazy, czyszcząc lichtarze i zbierając pościel do prania– znalazła na prześcieradle Rafała Aranowskiego żółtą plamę, niechybny ślad jego nocnych wyczynów i przeżegnała się czym prędzej, oglądając się przy tym za siebie, tak jakby poczuła za swoimi plecami krążące zło. Później zaczęła szperać po klerykowych szafach i szufladach, a w jednej z nich znalazła cienki zeszyt, otworzyła go ciekawie i ujrzała narysowaną Marię Dorniłowicz bez ubrania, tak jak stworzyła ją natura, z twarzą uśmiechniętą bezwstydnie, jakby w tym bezwstydzie znajdowała przyjemność. Gospościa z przerażeniem zamknęła zeszyt i czym prędzej odłożyła go na miejsce. Potem wzięła pod pachę pośpiesznie pościel i natychmiast wyszła z pokoju, strzygąc oczyma na prawo i lewo, niepewna swoich własnych zmysłów.

– To diabeł – szeptała do siebie. – Najprawdziwszy diabeł przybył do nas... Miej nas, panie Boże, w opiece!

Tej nocy nie usnęła. Przed oczyma miała dobrą i szlachetną twarz Aranowskiego, jego jasne oczy, patrzące zawsze wprost w oczy rozmówcy. Postanowiła, że jeszcze nie wyjawি swojego odkrycia proboszczowi Koreckiemu. Uznała, że prawda byłaby dla starego księdza gorsza niż trucizna.

Od tej chwili przyglądała się uważnie klerykowi. Uważała, kiedy przychodzi i wychodzi.

Aranowski nie zauważył zmian w zachowaniu gospośc. Zamyślony chodził po ciemnych korytarzach plebani, łowił w znikających mirażach twarz Marii...

W wolnych chwilach zabierał dziewczynkę na spacery lub szedł z nią do miejskiej biblioteki, w której buszowała pośród zakurzonych regałów i przeglądała z zapartym tchem książki z barwnymi rycinami prowadzące do wymarzonych przez nią krain. Potem podchodziła do jednej z sióstr i z nieśmiałym uśmiechem podawała jej wybraną przez siebie pozycję. Siostra uśmiechała się łagodnie. Zapisywała w grubym zeszycie jakieś znaki.

„To dobre dziecko”, mówiły do siebie zakonnice, gdy ksiądz z dziewczynką zamykali za sobą drzwi. Wieczorem sprawdzały obie księgozbiór, porządkowały książki. Potem wracały do klasztoru, aby w ciszy zanurzyć się wraz z innymi urszulankami w słowach płynących do Boga.

Dominika była młoda, przejęta przyjęciem reguły, kierującej ją, aż do końca jej dni, w stronę nieba. Przekonana, iż wybrała najszczytniejszą z możliwych dróg, wieczorami jednak przeżywała brak bliskich, ale wtedy modliła się przez długie minuty, prosząc o łaskę pogody ducha.

Elżbieta cierpiała na tajemniczą chorobę, której nikt nie potrafił określić. Jej ciało wiedło jak polny kwiat wystawiony na piekące promienie słońca. W godzinach wolnych od obowiązków, od pracy, od modlitwy, wychodziła do przyklasztornego ogrodu, siadywała na ławce, patrząc w zamyśleniu na drzewa, przyglądając się niebu. Myślała wtedy o swoim życiu. Wytrwała do końca w swojej posłudze, a jednak nie była w pełni szczęśliwa i czegoś jej brakowało przez ostatnie lata, które obsypały jej włosy siwizną, pomarszczyły twarz, a dłonie wyszczupliły tak bardzo, że wydawały się przezroczyste niczym pergamin.

Przypominała sobie miasta i wsie, dane wyrokiem opatrności jej poznać. Przypominała sobie twarze ludzi, nad którymi schylała się z cierpliwością i miłością, wiedzona nauką Jezusa. Przypominała sobie ich rany, krwawiące ciała, żebracze szaty, przestraszone oczy, brak nadziei. Przypominała sobie ich rozpacz po stracie bliskich.

Rozumiała, że życie wypełnia zło, przenika każdą myśl człowieka. Czai się w domach przywódców narodów, wielkich polityków, i tylko czyha na sposobność, aby zaistnieć, objąć swoim cieniem człowieka i odciąć go od światła. „Ludziom jest dane cierpienie”, myślała. „Tak było od początku świata i tak będzie dalej, tak będzie aż do końca.”

Jednak świat nie zwracał najmniejszej uwagi na rozmyślenia zakonnicy i z nieustającą energią parł wciąż do przodu.

We wrześniu Dębołęka ożyła spotkaniami i wiecami. Wygrała partia socjalistyczna, a burmistrzem został Jakub Dorniłowicz, który przyjął nowe obowiązki tak, jak niegdyś przyjmował rozkazy zwierzchników. „Bóg dał”, mówił, „więc nie mogę go zawieść”. Przejął się obowiązkami i przysiadł w domu do wieczornych godzin, zagłębiając się w stosach papierów, na które Krystyna patrzyła z ironią i pogardą.

Rano przyjeżdżał po niego samochód i wiozł do nowego gmachu Urzędu Miasta. Jakub wchodził do góry po lśniących schodach, mijał urzędników kłaniających mu się z uszanowaniem, mijał drzwi ozdobione mosiężnymi tabliczkami i wreszcie przez sekretariat wchodził do swojego gabinetu.

Klientów przyjmował raz w tygodniu i od razu zdumiał się liczbą biedaków, eksmisji, nie opłaconych czynszów i ludzkich problemów. Zrozumiał, że w Dębołęce trzeba rozwijać przemysł i handel, aby jej mieszkańcom zapewnić pracę, tylko nie posiadał środków, by to zamierzenie realizować, zagryzał więc bezsilnie wargi, gdy ludzie spowiadali mu się ze swojej nędzy.

„Kraj był pod zaborami”, mówił znajomym, „kraj przechodził jedną wojnę za drugą, dlatego nikt nie zbuduje tu w mgnieniu oka krainy mlekiem i miodem płynącej, ale przecież nie możemy z tego zrezygnować.

Tak mówił i starał się wierzyć w swoje słowa, lecz przypominał sobie swój pobyt w Warszawie i znowu dręczyły go wątpliwości. Zauważył też, że pracujący z nim urzędnicy zmieniają się z dnia na dzień. Coraz mniej widział na ich twarzach uśmiechów i życzliwości, a coraz więcej urzędniczej pychy i samozadowolenia.

„To głupiec”, mówiła Krystyna o mężu do Zdzisława. gdy gniótł jej ciało sękatymi ramionami, dumny, że leży pod jedwabistą kołdrą. Już od dłuższego czasu pragnęła pozbyć się Jakuba i zawładnąć jego majątkiem. Myśl o bogactwie podniecała ją. „Musimy się go pozbyć”, mówiła do kochanka, „wtedy będziemy naprawdę razem, a ty będziesz mi pomagał i razem ze mną rządził. Jesteś silnym mężczyzną i na pewno sobie poradzisz.”

Uśmiechał się niepewnie, bo w głębi siebie przerażały go jej zamierzenia, ale wiedział, że spełni jej życzenie, bo zawsze spełniał jej życzenia.

„Zrobisz to i zakopiesz jego trupa”, mówiła Krystyna, „aby nikt go nigdy nie znalazł. Dostaniesz ode mnie bardzo dużo pieniędzy i już zawsze będziesz bogaty i będziemy

razem. Nie mówiłabym tego, jeśli bym wiedziała, że jesteś słabeuszem. Jednak ty jesteś silnym mężczyzną. Dasz sobie radę. Poza tym chcę jeszcze jednej rzeczy...”

Popatrzył na nią.

– Nienawidzę Stefy, mówiła – nienawidzę jej głupiej dobroci i życzliwości, nienawidzę jej prostactwa. Chcę, aby cierpiała, chcę, aby się stąd wyniosła... Pójdiesz do niej teraz i weźmiesz ją tak, jak się bierze sukę...

Stefa leżała w łóżku, gdy drzwi do jej pokoju otworzyły się na oścież i stanął w nich nagi Zdzisław a za nim Krystyna. Nim dziewczyna zdążyła cokolwiek powiedzieć, mężczyzna zbliżył się do niej szybko, ściągnął z niej kołdrę i zakrył usta mocną dłońią, a potem zadarł na niej koszulę.

– Wyniesiesz się stąd, mówiła później Krystyna do Stefy, wyniesiesz się stąd na zawsze i nigdy tu nie wrócisz. Nie chcę cię więcej oglądać...

„Pozbędę się wszystkich tych, których lubi i którym ufa Jakub”, myślała. „Niech zostanie sam jak palec. Wtedy nikt nie dostrzeże, co się z nim stało.”

Jakub Dorniłowicz nie zauważył, że Stefa jest smutna i nieobecna. Wieczorami zaczął odwiedzać Kirę, bo lubił wymieniać z nią poglądy i często dawał posłuch jej radom. Przysiadali razem do późna. Dorniłowicz patrzył w jej twarz i odnajdywał na niej swoje marzenia o prawdziwym domu, o prawdziwej kobiecie, o prawdziwym życiu i o dzieciach. „Wydawało mi się, że tak będzie”, rozmyślał, spoglądając jej w oczy.

Uśmiechając się, opowiadała, że jej syn, Włodzimierz, przeżywa swoją pierwszą nieśmiałą miłość. Przychodzi do domu z małą śliczną dziewczynką, córką Rabinowicza, i spogląda na nią tak, jakby widział przed sobą anioła.

Włodzimierz rzeczywiście polubił Estere, podobnie jak ona jego. Czuli się przy sobie dobrze i coś ich do siebie przybliżało. Razem chodzili na dalekie spacer, w te miejsca, które Włodzimierz kiedyś odkrył, którym ponadawał nazwy. Teraz stały się także własnością Estery i już na zawsze miało tak zostać.

Wieczorami chłopiec opowiadał mamie o dziewczynce. Kira uśmiechała się wtedy lekko, ponieważ wiedziała, że w jej synu po raz pierwszy budzą się uczucia do odmiennej płci. Zdumiewała ją świeżość i naiwność włodziemierzowych emocji. I doświadczała nawet pewnego żalu, bo wiedziała, że człowiekowi tylko raz w życiu jest dane

doświadczyć czegoś podobnego.

– Wiesz, Estero– powiedział pewnego razu Włodzimierz, gdy oboje błądzili nad zaroślami rzeki.– My już na zawsze zostaniemy przyjaciółmi i nigdy nikt nas nie rozdzieli, a ja zawsze będę się tobą opiekował.

Estera nic nie odpowiedziała, ale wpatrywała się w chłopca swoimi czarnymi oczyma, w których krążyły jego niebo i ziemia, a może nawet krążył cały jego wszechświat.

Ojciec Estery przestał zajmować się polityką, czasami tylko przychodził na zebrania partii syjonistycznej, lecz wtedy jego koledzy milkli, zapadała niezręczna cisza, więc po chwili odchodził, czując, że nic już go z tymi ludźmi nie łączy. Zauważył jednak, że na każdym spotkaniu jest obecny Mieczysław Korycz, który popatruje na niego zimno i z pogardą.

„Ten człowiek wszystko ma za nic”, myślał Rabinowicz. „Nic go nie obchodzi prócz własnej osoby. A tak niewiele brakowało, bym się z nim związał.”

Tymczasem Korycz wiedział o sprawach, o których nie wiedzieli inni i przystąpił wraz z Katarzyną Wasilewską do ich realizacji. Katarzyna pewnego październikowego dnia, gdy zimny deszcz zacinał w szyby, zapukała do goldmanowego pałacu. Podała z obrzydzeniem dłoń Salomonowi i usiadła w głębokim skórzanym fotelu, przypatrując się ze wstrętem bogatemu wystrojowi komnaty.

– Czym mogę pani służyć?– zapytał Goldman.

Wtedy wyciągnęła z koperty zdjęcia i bez słowa podała mężczyźnie. Salomon z zainteresowaniem przypatrywał się swoim łóżkowym ekscesom i nawet mu się spodobały te obrazki, zatrzymujące już na zawsze chwile, które przeminęły.

– Potrzebuję pieniędzy, dużo pieniędzy... – odparła.

– Jest pani gorsza od swoich kurewek... – stwierdził.

Ale nie mógł dopuścić do skandalu. Dlatego Katarzyna wyszła od niego bogatsza i zadowolona z faktu, że pomysł jej i Korycza na zarabianie pieniędzy okazał się tak łatwy w wykonaniu. Potem poszła do lekarza, aby zdać mu relację ze swojego sukcesu i od tej pory już systematycznie krążyła po domach swoich klientów, pokazując im zdjęcia i odbierając pieniądze. „Już niedługo nam się przydadzą”, twierdził Korycz. „Zbliża się nasz czas.”

Pod koniec października prawie niepostrzeżenie przemknęła przez Dębołękę polska konnica. Żołnierze byli brudni i zaniedbani, a w ich przygasłych oczach zauważyć można było zmęczenie i rezygnację.

Właśnie tego dnia Rafał Aranowski spacerował wraz z Marią po lesie, przyglądając się jesiennym liściom i dziewczynce, która stała się sensem jego życia. Pewnego ranka, gdy obudziły go słoneczne promienie, a jego myśli przez chwilę były lekkie, zrozumiał w oka mgnieniu, iż musi poczekać na Marię, aż dorośnie i wtedy na zawsze związać z nią swoje losy.

Trzymał więc dziewczynkę za dłoń i lekko pieścił palcami jej palce, z zadowoleniem przyjmując fakt, że ich nie cofa.

– Czy ty mnie kochasz, Mario?– zapytał

– Tak –odparła, przypatrując się wysokim drzewom.

Wtedy pojął, że zawsze szukał miłości. „A miłość, to kobieta”, przymknął oczy, „to bycie we dwoje i nic ponadto.” Wyobraził sobie przyszłość, wyobraził sobie Marię, już dorosłą, rozkwitłą swoją kobiecością, rozkwitłą miłością do niego.

„Nigdy nie byłem kapłanem”, zastanawiał się, „i już nigdy nie będę. Niech Bóg mi wybaczy błąd, który popełniłem.” Podniósł oczy do góry i wtedy zobaczył jeźdźców, którzy otoczyli go w koło. Przewodził im ten sam człowiek, który niegdyś zatrzymał Kirę na gościńcu, zgwałcił ją, a potem zabrał rodzinne kosztowności.

– Proszę, ksiądz z małą dziewczynką– rzekł.

Puste i złe oczy jeźdźców spoglądały łakomie na wylęknioną Marię, którą Rafał Aranowski zasłonił własną pierśią. Zapadła cisza. Mężczyźni zsiadli z koni. Jeden z nich podszedł do księdza i bez słowa uderzył go w twarz, obserwując z zadowoleniem, jak przyklęka na zielonym mchu i ociera z kącików ust krew.

– Bijcie mnie – powiedział cicho – ale dziecko puście...

– My ją puścimy – odparł Rykałow. – Tylko potem... Ona już nie takie dziecko... A ty z nią na próżno też po lesie nie chodzisz...

Rafał Aranowski poczerwieniał, bo zdało mu się, że ten czerwonoarmista odkrył jego tajemnicę. Kapitan pociągnął za sobą Marię, która zaczęła krzyczeć, jednak jedno mocne



uderzenie zamknęło jej usta.

Ksiądz w tej sekundzie poderwał się z ziemi.

– Uciekaj! – wrzasnął ze wszystkich sił, rzucając się pod nogi kapitana.

Lecz Maria stała w miejscu.

Potem ogień dotknął jego twarzy i zaczął palić coraz mocniej, nie oszczędzając najmniejszej nawet cząsteczki i prowadząc za sobą pomiędzy granice czasu, życia i śmierci, spoza których nie ma już powrotu. Nim zapadła nad nim ciemność, widział jeszcze jak jeden z Rosjan wywraca Marię na ziemię i wtedy serce przeszył mu ból.

– Powiemy, że ją zgwałcił– oznajmił dowódca, nie zdając sobie sprawy z tego, że niewiele brakowało, aby tak się stało i że w ostatnich sekundach swojego istnienia Rafał Aranowski odzyskał człowieczeństwo.

– A ta mała polska gadzina niech tutaj leży i zdycha– mówił dalej.

I Maria leżała obok zalanego krwią księdza, leżała tak,, jak leży kamień lub drzewo, równie jak one zimna, obojętna, zabrana kiedyś światu przez złych ludzi, a teraz zabrana po raz wtóry.

Czerwonoarmiści ruszyli ku miastu.

Kira czytała książkę, gdy podszedł do niej Włodzimierz, blady tą bladością, której bała się najbardziej, ponieważ wtedy stawał się podobny do swojego ojca i wtedy oddalał się od niej tak, jakby był kimś innym niż jej synem. Podszedł więc do matki i powiedział, że muszą natychmiast jechać. Spytała gdzie, jednak on przywarł ustami do jej dłoni i zaczął tak płakać, że przestała pytać.

Zmierzchało, gdy dotarli na leśną polanę i gdy znaleźli na niej ciało Rafała Aranowskiego, a obok Marię, która jeszcze oddychała, ale ledwie, ledwie.

– Możemy pomóc tylko jej – oznajmiła Kira, z trudem panując nad sobą.– Pamiętaj, synku, że nikt nie może o tym wiedzieć, dopóki nie zrozumiemy, co tutaj się stało.

O tej samej godzinie kapitan Rykałow siedział w gabinecie Jakuba Dorniłowicza, niedbale rozpostarty w fotelu, nogi w zabłoconych butach oparł na stole i patrzył pogardliwie na pobladłego burmistrza.

– Waszą armię szlag trafił, ot co– mówił, ciesząc się każdym słowem i przeciągając je w nieskończoność.– Dlatego zaczną się tutaj nowe porządki. Już nie będzie w waszym mieście panów. Nie będzie ciebie, nie będzie innych, wszyscy będą równi. Zbudujemy wam nowy porządek, a ja będę jego nowym przedstawicielem. Ja i ci z was, co już zrozumieli, że nadchodzą nowe czasy. Wyprowadzić i rozstrzelać– mrugnął okiem, do stojącego nieopodal żołnierza.

Jakub Dornilowicz szedł wolno po schodach, popychany co chwila przez czerwonoarmistę. Myślał o swojej żonie, o Kirze, o Piotrze. Myślał o latach walki na froncie, myślał o swoich marzeniach i naraz pojął, że to wszystko zawrze się pomiędzy gwiazdką a krzyżykiem na krzyżu na jego mogile. I zaraz się uśmiechnął do siebie, bo wiedział, że zakopią go w jakimś rowie i nie zostanie po nim nawet ten krzyż, nic po nim nie zostanie. Ta myśl go uspokoiła.

Staął spokojnie naprzeciw piętnastu żołnierzy, którzy wymierzili w niego broń.

– Wy też kiedyś zginiecie – powiedział.

Beniamin Rabinowicz usłyszał daleką salwę gdy biegł co tchu w piersiach do domu Salomona Goldmana i wtedy pojął, że człowiek, który przed paroma godzinami odwiedził jego dom, mówił prawdę. W mieście była już najwidoczniej czerwona konnica Budionnego.

Załomotał pięściami do drzwi.

– Musi pan wszystko zostawić i natychmiast uciekać– wyrzucał z siebie słowa.– Oni już tu są. Chcą pana zabić... Chcą zabić wszystkich bogatych... Ja to wiem na pewno... Wiem... Bóg mi świadkiem!

Salomon powoli usiadł w fotelu.

– Jakże ja to wszystko zostawię – rozłożył dłonie.

Wtedy Rabinowicz zaczął mu tłumaczyć, że najważniejsze jest życie, że dopóty ono trwa, dopóty nic się nie zostawia, bo wszystko można zacząć od nowa.

„Wiele razy zaczynałem od nowa”, myślał Salomon, gdy jechał samochodem i wtedy, gdy ruszył w dalszą drogę piechotą, bo w baku zabrakło paliwa. Niespodziewanie chmury na niebie znikły, zaśniły na nim blade gwiazdy i równie blade księżyc. Wiał lekki, chłodny wiatr, prawie mroźny w swych powiewach. Goldman czuł, jak co chwila

zimne igły przeszywają jego ciało. Kulił się w sobie, przypominał sobie ciepłe piece w swoim pałacu, przytulne i drogocenne meble, przypominał tak, jak się przypomina sobie dobrych przyjaciół, z którymi już nigdy się nie zobaczy. Szedł skulony, zdziwiony swoją nagłą samotnością, czarnymi mglistymi drzewami czerniejącymi w dali, zdziwiony sam sobą, swoim ciałem, tym dniem i nocą, których być nie powinno, ponieważ były wbrew jego życiu, wbrew temu co robił, co osiągnął. Były wybrykiem historii, czymś nierzeczywistym, co stało się aż tak realne, że dzwoniło i biło w jego piersi wraz z jego sercem coraz mocniej coraz boleśniej. Nie można było przed tym uciec, bo było w środku, w najgłębszej salomonowej jaźni i zaciskało swoje obręcze coraz mocniej, aż Goldman przykleknął na pustej drodze. Z jego piersi wydobył się głuchy jęk. Klęczał tak przez niezmierzone chwile, widział przed sobą twarze bliskich. Czas zaczął wydawać mu się czymś nierzeczywistym, sam zaczął wydawać się sobie czymś nierzeczywistym. Ale zimno targnęło jego ciałem, wtedy, zataczając się, poszedł dalej.

Zdawało mu się, że w dali widzi rosyjskich żołnierzy. Każdy z nich miał twarz Lenina, stawał się coraz większy i coraz silniej tupał. Tupot gęstniał, zataczał koła, coraz szersze koła, obejmował Rosję, Litwę, Polskę, Niemcy. Cały świat huczał w takt czerwonoarmiennych butów.

Kiedy Salomon szedł naprzeciw przeznaczeniu, Kapitan Rykałow wraz z Mieczysławem Koryczem przejmował w imieniu tymczasowej władzy te domy, które zwróciły na siebie jego uwagę. Korycz jaśniał szczęściem i zadowoleniem, bo oto los uśmiechnął się do niego. Przyszła jego godzina, jego dzień jego miesiąc. Przyszły doń pieniądze, władza zaszczyty. Teraz cała Dębówka będzie u jego stóp.

Kapitan Rykałow załomotał do drzwi i uśmiechnął się szeroko, gdy na progu stanęła Kira, ponieważ poznał ją od razu. Wszedł bezceremonialnie do środka. Rozejrzał się po pomieszczeniu, oglądał rzeczy powoli, systematycznie, tak jakby chciał odgadnąć historię każdego przedmiotu, dowiedzieć się o nim wszystkiego.

– Pamiętam pana – szepnęła Kira.

– Już nie ma panów – odparł. – Ja ciebie też pamiętam, bo było mi z tobą dobrze w tamtą noc, gdy potrzebowałem kobiety... Tak, ja ciebie dobrze pamiętam...

Kira przybladła jeszcze bardziej.

Mieczysław Korycz spojrzał z niedowierzaniem na czerwonoarmistę, ale zobaczył w

jego oczach samczą dumę, zrozumiał, że mówi prawdę.

– Ja ciebie nie rozstrzelam – mówił dalej Rykałow. – Chociaż zamierzałem. Nie rozstrzelam, bo pamiętam twój wóz i twoją biedę. Dziękuj losowi, że to pamiętam...

Przerwał, jego uwagę zwróciły naraz oczy Włodzimierza, stojącego za matką. Chłopiec wpatrywał się w niego przesywającym spojrzeniem nie z tego świata. Rykałow usłyszał w powietrzu ciche szepty, uczył tchnienie lodu i dogoniła go przyszłość, która dopiero miała nadejść.

Podszedł do chłopca.

– Co tobie? – zapytał. – Dlaczego tak wlepiasz we mnie oczy?

– śnieg... – szepnął Włodzimierz. – Rozorana ziemia... zabici ludzie... I pan

Rykałow uśmiechnął się do siebie w wiele lat później, gdy leżał w rowie, przyprószony śniegiem, gdy widział wokoło trupy zabitych żołnierzy. Przypomnił sobie wtedy chłopca. W ostatnich chwilach jego życia wszystko straciło sens i nic nie było proste. Nie było przy nim twarzy Stalina, był tylko czerwony kolor krwi, barwiącej coraz bardziej śnieg. Życie odchodziło powoli... Rykałow co chwila zapadał w krótką drzemkę. Widział w niej dawne walki, słyszał krzyki mordowanych ludzi, widział ich przerażone oczy. Potem odzyskiwał przytomność, drżał z chłodu i ponownie zapadał w sen.

– Mamo – szepnął nad ranem, i to były jego ostatnie słowa.

Jednak tego wieczora, gdy stał w domu Kiry i wzrokiem zwycięzcy rozglądał się po meblach, jeszcze nie wiedział, że za niedługo rosyjska ziemia zapłonie pod kulami niemieckich wojsk. Jeszcze trwały jego minuty, jego czas.

Kira zamierała ze strachu.

W jednym z pokoiów leżała Maria, a Kira, której Włodzimierz opowiedział o swoim widzeniu, po raz pierwszy uwierzyła w świat niewidzialny i w ludzką pajęczynę losu, utkaną przez Boga i przez jego anioły.

Przybyli nie weszli dalej. Jedyne Korycz uśmiechnął się pogardliwie, oznajmiając, że jeszcze zostanie, bo muszą teraz porozmawiać, kiedy zmienią się okoliczności, kiedy zmienił się los.

Rykałow wyszedł.

Usiedli w jednym z pokoiów, w głębokich fotelach. Ze ścian patrzyły na nich portrety królów polskich, zastygłych na wieczność w pozach pełnych majestatów i godności. Dla Korycza w tych minutach nie władza była najważniejsza, tylko siedząca przed nim kobieta.

– Teraz ja będę rządził w tym mieście– oznajmił.– Teraz jest moje pięć minut, a ty musisz być moja. Jeśli nie zechcesz, to pamiętaj, że masz dzieci. Masz dużo do stracenia. Poza tym byłaś kochanką Rykałowa, możesz być moją. Co to za różnica...

Kira wstała, podeszła do okna, patrząc w nie kończący się mrok.

– Nie byłam jego kochanką– odparła.– Przez moment byłam jego mięsem, byłam świnia przeznaczoną na rzeź, ale nie byłam jego kochanką... Kobieta ma za mało siły, aby stawić czoła mężczyźnie pozbawionemu godności. Co chcesz zrobić, zabić moje dzieci, gdy ci odmówię? Taki jest twój nowy ład?

– Tak, taki jest mój nowy ład– rzekł podchodząc do niej i obejmując ją od tyłu

Nazajutrz ludzie Rykałowa rozwiesili na słupach ogłoszenia, informujące o tym, że władzę w mieście przejmują robotnicy i chłopci. Ulotka głosiła, iż biedacy mają prawo usunąć bogaczy z ich domów, następnie, za zgodą przedstawicieli nowej władzy, zamieszkać w nich.

Większość zamożnych mieszkańców Dęboleki zawczasu uciekła z miasta, zostawiając dobytek. Inni zginęli, rozstrzelani przez czerwonoarmistów.

Rykałow następnego dnia wybrał się do parafii, aby porozmawiać z księdzem Koreckim. Spodobało mu się miejsce i spodobała mu się panująca tam cisza. Wszedł w zabłoconych butach do gabinetu proboszcza, zostawiając na dywanie błotniste ślady, rozsiadł się bezceremonialnie na kozetce. Potem oznajmił, że Bóg jest wymysłem bogaczy. „Bogacze stworzyli go po to, aby otumanić prostych ludzi, ot co”, mówił. „A prostymi ludźmi łatwo się rządzi, łatwo miesza się im w głowach. Przez wieki wy, księża, pomagaliście w utrwaleniu takich praw. Teraz przychodzi koniec waszych rządów.”

– Zabije mnie pan? – zapytał ksiądz.

– Nie. Nauczę czytać i pisać prostych ludzi. Inni ich tego nauczą. To jest klucz do zamknięcia przeszłości. Aha, jeszcze jedno. Rozstrzelaliśmy w lesie młodego księdza.

Korecki zbladł, ale milczał, zabrakło mu sił, aby cokolwiek powiedzieć.

– Ten ksiądz zgwałcił młodą dziewczynkę, dlatego to zrobiliśmy. Powiemy oczywiście o tym ludziom. Niech wiedzą, komu służyli. Jeszcze jedno. To piękne miejsce. Cicho tu i spokojnie, a proboszcz dobrodziej mądry człowiek i litościwy, dlatego tymczasowo, zanim służba nie każe iść dalej, zamieszkać tu. Czasami sobie pogadamy, przecież ludzie powinni ze sobą rozmawiać, nawet wrogowie...

Po wyjściu kapitana Korecki zawołał do siebie Halinę Stefańską, cicho opowiedział jej o wizycie czerwonoarmisty, a jeszcze ciszej powiedział, że Rafał Aranowski nie żyje. Słuchała nie przerywając jego wypowiedzi. Potem przeżegnała się, oznajmiając, że Rosjanin rzekł prawdę, że wie o tym dobrze, gdyż znalazła w pokoju kleryka dziennik z nieprzyzwoitym rysunkiem, znalazła też na prześcieradle poźólką plamę, a przecież wiadomo, po czym takie plamy zostają. „Dosięła go sprawiedliwość boża”, stwierdziła, „a ten cały Rykałow był tylko jej ręką. Najgorsze, że ludzie się o tym dowiedzą. Ksiądz, młody, i takie paskudztwo. Kto by pomyślał, kto by w ogóle coś takiego podejrzewał. Powinnam proboszczowi od razu o tym powiedzieć...”

Nie odpowiedział, zamyślił się nad ułomnością natury ludzkiej, wyobrażał sobie ten moment, gdy Bóg tchnął życie w nozdrza człowieka, a potem dał mu wolną wolę. „Zło będzie stało u twoich drzwi, ale ty musisz nad nim panować”. Przypomnił sobie swoje życie, wojnę, głód, choroby, nędzę i naraz poczuł, że ogarnia go niezmiernie przygnębienie. Usiadł więc, przed oczyma widział już tylko twarz młodego kleryka.

– Nie znamy prawdy – wyszeptał. – Wiemy to, co powiedział czerwonoarmista. Niech gosposia zostawi mnie teraz samego...

W następnych dniach cały dotychczasowy porządek w Dębołęce, budowany mozolnie przez jej mieszkańców runął jak drzewo złamane podmuchem wiatru. Na ulice niepostrzeżenie wkradł się brud, na chodnikach zalegały poźółki papiery, rozrzucone przez rosyjskich żołnierzy, a głoszące chwałę nowego ustroju.

Rykałow przejął wszystkie zakłady, ulokował w nich ludzi, którzy chcieli współpracować z nową władzą, a sam na dobre zadomowił się na plebanii. Czuł się dobrze w tym miejscu, w którym niby przebywał, jak myślał, Bóg wszystkich naiwnych.

Czuł się tak silny, jak nigdy dotąd, ponieważ teraz on był jedynym władcą tego miasteczka, zapomnianego przez opatrność, w którym mógł robić wszystko, mieć

kobiety, bogacić się, korzystać ze wszelkich rozkoszy życia, a przede wszystkim cieszyć się władzą.

„Nie ma nic lepszego”, myślał. „Ludzie leżą u twoich nóg, zebrzą spojrzeniami o twoją łaskę, o twoje względy. Są jak łąszące się i skomlące pieski. A ty musisz im dać miskę pełną jada i sprawić, aby cię lizali po rękach. Jednak oni wiedzą, że to ich upokarza, dlatego chodzą za tobą, ale zarazem rośnie w nich nienawiść do ciebie za ich własną nikczemność. Czekają tylko okazji, aby noga ci się powinęła, wtedy cię dopadną.”

Każdej nocy Mieczysław Korycz odwiedzał Rykałowa, grali do rana w karty, czasami szli do domu Wandy Wasilewskiej, aby tam przy wódce i pięknych dziewczętach, spowitych w przezroczyste stroje, ustalać plany na następne dni.

– Posłuchaj mnie, towarzysz Mieczysław – rzekł kiedyś Rykałow. – Ja ciebie znam nie od dzisiaj i wiem co z ciebie za człowiek. Ja długo się nad tobą zastanawiałem i wiem, że mogę na ciebie liczyć... Widzisz, rewolucja, jak sam dobrze wiesz, ma swoich wrogów. Wszędzie ich pełno. Chcieliby nam odebrać to, co zdobyliśmy, ale my na to nie pozwolimy. Dlatego chciałbym, abys zorganizował oddział tajnej policji. Będziesz węszył, sprawdzał. Jak znajdziesz jakieś ścierwo, co to jest przeciw nam... rozstrzelamy... Rozumiesz...

Mieczysław Korycz zrozumiał. Od tego dnia przesiadywał w miejskich archiwach i przeglądał papiery, poznawał tam ludzkie historie, przeglądał podania, prośby. Robił w swoim zeszycie adnotacje...

Potem stworzył zespół z osób, które dane mu było poznać w minionych latach. W myślach nazywał je sforą gończą, bo jedynym ich celem było wykryć ślady podejrzanych, dopaść ich i rozerwać na strzępy. Byli to ludzie mądrzy i sprytni. Wieczorami odwiedzali znajomych, słuchali ich zwierzeń, czasami narzekań na nową władzę. Następnego dnia zdawali relacje Koryczowi, który słuchał ich z kamienną twarzą i wewnętrznym zadowoleniem. Następnie wypisywał blankiety, wzywające na przesłuchanie, stempłował je i kładł pod nimi zamaszty podpis.

Lubił przesłuchiwać podejrzanych. Wnikać w ich życie, zwyczaje, historie wstydliwie ukrywane, dawne romanse, o których nikt nie wiedział. Bawiło go, gdy w ich oczach dostrzegał strach. „Proszę pana”, mówił ktoś taki, „ja nic nie zrobiłem, o niczym nie wiem, chcę tylko żyć, chcę wrócić do rodziny.”

I Korycz wiedział o tym, że chce. Wiedział, że w celi przypomina sobie twarze bliskich i chwile z nimi spędzone i nagle w jednej chwili rozumie, że nic ważniejszego oprócz nich nie było w jego życiu.

Jednak rewolucje wymagają ofiar, dlatego za miastem, na niewielkiej polanie, otoczonej wysokimi sosnami, codziennie rozbrzmiewały strzały.

Miasteczko otoczył ciasnym murem strach. Były to dni, w których nikt nie był pewny drugiego, a każde nieopatrzenie powiedziane słowo mogło być ostatnim słowem.

Rykałow z pogardą patrzył, jak proboszcz wędruje do kościoła, aby tam modlić się do Boga o pomoc, aby tam klęczeć godzinami w cieniach starych murów i jęczeć do tego, dla którego od niepamiętnych czasów ludzkie sprawy są obojętne, a który, jak sobie myślał, w ogóle nie istnieje.

– Tak, księżo dobrodzieju – mówił pewnego wieczora do Koryckiego. – Teraz jest tylko nasza władza i będzie już na wieki. Teraz przyszedł wreszcie porządek i uczciwość. Ten kto był nikim, teraz stał się kimś. Robotnicy podnieśli głowy.

– Przecież nie chodzi wam o robotników – odparł proboszcz. – Wam chodzi o władzę, o pieniądze, a swoje zachcianki przyozdobiliście w piękny strój, ale to tylko strój...

– Nie boi się ksiądz tak mówić?

– Nie boję, ponieważ jestem stary. Chciałbym już wrócić do Boga.

Właśnie te słowa, nie wiadomo dlaczego, pamiętał Rykałow w wiele lat później, gdy nad jego głową przelatywały kule, gdy życie nieodwołalnie od niego odchodziło, a śnieg purpurowiał od krwi. Nie rozumiał wtedy, po co żył, dlaczego umiera, rozumiał tylko, że nie zostanie po nim najmniejszy ślad, bo trudno było sobie wyobrazić, aby ktoś pamiętał jakiegoś tam żołnierza, skoro ziemię wokół pokrywało morze bezimiennych już trupów.

Tego samego wieczora, gdy proboszcz modlił się w kaplicy, Włodzimierz przyszedł do matki. Zdradził jej, że wie, jak umarł młody ksiądz. Opowiedział o jego marzeniu o prawdziwej miłości, opowiedział o udreńce, związanej z Marią i tym jak była dla niego ważna. „Chciał ją kochać”, mówił, „chciał na nią poczekać, poczekać na jej dorosłość i być już z nią do końca. Tego dnia nie skrzywdził jej, ale pragnął ją uratować. Rzucił się jej na pomoc, wtedy żołnierze go zabili a dziewczynkę zgwałcili.” Kira pogłaskała syna po



głowie i przytuliła do siebie. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się w nim zdolności do wnिकania w inną rzeczywistość, jednak od pewnego czasu już w nie wierzyła.

– Musisz pójść do proboszcza i mu o tym powiedzieć...

– Boję się...

– Nie bój się, synku, pójdziemy razem!

Ksiądz Korecki siedział zamyślony w swoim pokoju, gdy zabrzmiało ciche pukanie do drzwi... Wstał powoli i poszedł je otworzyć, lecz wciąż przebywał w innej rzeczywistości. Kiedy zobaczył przed sobą Kirę i Włodzimierza, zrozumiał, że stało się coś ważnego, ponieważ oboje byli czymś przejęci. Przymknął oczy i pomyślał, że tego dnia nie ma już sił, aby słuchać o nowych strasznych rzeczach, które na pewno się wydarzyły.

Zaprosił gestem dłoni matkę i syna do środka. Siedli w starych głębokich fotelach. Nadal trwała cisza, chociaż słowa wydawały się już krążyć pomiędzy nimi. Czaiły się w oczach, w zaciskanych dłoniach, w niepewności spojrzeń.

– Ostatnio nie stało się nic dobrego – zaczął ksiądz.

– Proszę księdza... – przymknęła oczy Kira, z trudem wydobywając z siebie głos. – Włodzimierz... On widzi... widzi to, czego nie widzą inni... Rozmawia z innym światem...

– Z innym światem?

– Z światem duchów, marzeń i cieni...

Włodzimierz pomyślał o śmierci, o tej ciemnej zamyślonej postaci, która odwiedzała go coraz częściej, wciąż milcząca, przyczajona w sobie, jakby pragnęła ukryć jakiś sekret. O tej cichej łączniczce pomiędzy światem żywych a umarłych, której wszyscy się bali, gdyż nikt nie mógł wysledzić jej tajemnych dróg, chociaż wielu próbowało to uczynić od tysięcy lat.

– Wiem, jak zginął ksiądz Aranowski – rzekł Włodzimierz.

– Wszyscy już wiemy – odparł ksiądz. – Nie chcę o tym mówić. Niech Bóg wybaczy mu jego winy...

Wtedy Włodzimierz opowiedział proboszczowi o swoich widzeniach, o tym, co zobaczył w snach.

– To prawda – mówił. – Oni niedługo odejdą, ale potem przyjdą następni, równie źli. Ziemię zaleje krwawa pożoga. Ludzie zwrócą się do Boga, lecz go nie znajdą. Śmierć człowieka nie będzie miała znaczenia, nawet śmierć wielu ludzi. Śmierć stanie się czymś zwyczajnym i powszednim, stanie się jak chleb...

Ksiądz pomyślał, że nie ma prawa nie wierzyć chłopcu. „Może Bóg”, dumał „ w jakiś sposób odkrywa przed nim rzeczywistość.”

– A Rafał Aranowski? – zapytał.

– Próbował bronić Marię, gdy zjawili się Rosjanie. A ci go zabili.

– To nie musi być prawda!

– To jest prawda. Dziewczynka jest u nas i w malignie opowiada o tym, jak ksiądz ją broni, jak go zabijają, a ją gwałcą.

Korecki milczał. Pamiętał zeszyt, w którym kleryk malował swoje myśli, przedstawiał swoje pożądanja.

– Chciałbym z nią porozmawiać...

– To niemożliwe. Ona jest nieprzytomna. Tylko majaczy...

– A zatem mówi prawdę... Uważajcie na siebie... Rosjanie na pewno szukają małej. Jeśli ją znajdą, zapłacicie śmiercią za swój dobry uczynek.

Zostawili go.

Tego wieczora długo dziękował Bogu za to, iż pozwolił Rafałowi Aranowskiemu w ostatnich minutach jego życia okazać człowieczeństwo. „Młody człowiek błędził”, rozważał proboszcz, „szukając wrażeń i doznań tam, gdzie nie powinien ich szukać. Zło ciągnęło go ku sobie, lecz przecież zdołał je przezwyciężyć...”

„On je przezwyciężył. A inni?...”

Korecki czuł, że Włodzimierz mówił prawdę. Rzeczywiście ku Europie zbliżała się jakaś pożoga. Pierwsza wojna światowa udowodniła, że człowiek jest zdolny do wszystkiego.

O tej samej godzinie, gdy proboszcz klęczał na zimnej posadce kościelnej przed

ołtarzem i szukał u Stwórcy wsparcia i pokrzepienia, Salomon Goldman wędrował już którąś noc, dygocąc z zimna. Wpatrywał się w ciemne szpalery drzew, zostające za nim tak, jak zostało za nim całego jego dotychczasowe życie, szukał jasnych światła domów, bo marzył o godzinie spędzonej w pobliżu ciepłego pieca, który ogrzeje mu bolące plecy... Lecz przed nim była wyłącznie czerniejąca droga, nieodgadniony czas, w którym musiał wędrować do nieznanego celu i i dłużące się kilometry.

Salomon pomyślał z bólem, że Bóg jest nieco przewrotny i złośliwy, ponieważ w ułamku sekundy odmienił jego los, z bogacza uczynił biedakiem, z człowieka otoczonego tłumem samotnika.

Noc stawała się coraz mroźniejsza i coraz trudniej było mu stawiać kroki. Wreszcie postanowił odpocząć. Usiadł przy przydrożnym drzewie i spojrzął w niebo migocące gwiazdami, potem przymknął oczy.

świat powoli oddalał się od niego, nikał w rozmywających się konturach, w niewyraźnej poświacie gwiazd, wreszcie zniknął.

Niewiele potem pamiętał z ciemności, w których się pogrążył, kiedy z wysiłkiem otworzył oczy. Przed nim czerniało wnętrze niewielkiego pomieszczenia, ubranego w liche meble. Nad nim zaś schylał się człowiek, który w pierwszej chwili wydał mu się jednym z patriarchów, gdyż był stary, dostojny, miał długą siwą brodę i włosy, i ostrą, pooraną zmarszczkami twarz.

– Niech pan nic nie mówi – powiedział, widząc, że Salomon próbuje otworzyć usta. – Jest pan jeszcze bardzo słaby. Tutaj jest tylko las, zwierzęta i ja. Jestem leśniczym. Nazywam się Adam Brzoza.

Salomon uśmiechnął się z wysiłkiem i zasnął.

W Dęboleńce zmierzchało.

Kapitan Rykałow siedział zza biurkiem proboszcza i pisał sprawozdanie z minionego dnia. Lubił plebanię, ów religijny pałac, jak go nazywał. Uważał za symboliczne, że ma swoją siedzibę właśnie w tym miejscu, w którym przez minione lata przebywali słudzy nie istniejącego pana Boga. I nie przeszkadzało mu, że proboszcz nadal jest w parafii. „Ostatecznie”, rozumował Rykałow, „to najgorsze dla klechy cierpieć moją obecność. Jakże on musi mnie nienawidzić...”

Wstał i poszedł do pokoju księdza.

Znalazł go tam czytającego Pismo święte. Ich spojrzenia spotkały się. Kapitan uśmiechnął się trochę wzgardliwie, a trochę z politowaniem.

– Co może ten wasz Bóg? – zapytał. – Jest bezsilny.

– Tak, wiem, że pan tak myśli – odparł ksiądz.

Rykałow rozsiadł się w fotelu, rozłożył szeroko nogi.

– Porozmawiajmy, księżulku – rzekł. – Jesteś już starym klechą, doświadczonym. Przez wiele lat wyciągałeś z ludzi pieniądze. Żyłeś tutaj tak, jak żyje pchła na psie. Nie gryzie cię twoje chrześcijańskie sumienie?

– Czasami tak, panie czerwonoarmisto. Wielu rzeczy nie zrobiłem tak, jak powinienem zrobić. I nie wszystkim pomogłem, którym chciałem pomóc. Jestem tylko małym nieznaczącym proboszczem w małym nieznaczącym miasteczku. Nie stoją za mną takie siły, jakie stoją za panem, panie kapitanie. Za mną przez całe życie stało tylko moje serce i moje sumienie. A to, przyzna pan, bardzo niewiele w tym dzisiejszym świecie. Jak pan widzi, jestem już starym człowiekiem. Starość ma swoje dobre i złe strony. Dobre to takie, że pewne rzeczy i zjawiska widzi się wyraźniej niż za młodości...

– I ty kleszko, widzisz je wyraźniej?

– Tak, uważam, że tak...

– A co takiego widzisz?

– Widzę, kapitanie, że reprezentuje pan nowy ład, jak pan go łaskawie nazywa. Lecz widzę też, że on przeminie, tak jak przeminia wszystko, co jest stworzone przez człowieka. Przeminie pan, przeminą pańscy wodzowie. Powiem panu więcej: Przeminą następne rewolucje, ich twórcy. Tylko wiara w Boga pozostanie. A wie pan dlaczego?

– Słucham?

– Bo człowiek potrzebuje nadziei i miłości. A najbardziej potrzebuje jej wtedy, gdy przychodzą złe czasy, takie jak teraz. Może pan walczyć ze Stwórcą, ale im bardziej będzie pan walczył, tym bardziej pan przegra.

– Jestem pod wrażeniem. Piękne słowa. Jednak my zrobimy swoje. Zniszczymy

kościół, usuniemy księży. Już nie będziecie potrzebni, gdyż stworzymy nowego, wolnego od przesądów człowieka!

– Nie pan pierwszy chce tak uczynić. Już próbowano. Rzecz jasna ze złym skutkiem...

– Nam się uda!

– Znam opowieści o czerwonej Rosji. To opowieści o przestępstwach, o mordowaniu ludzi, o więzieniach na Syberii. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Tak mówi słowo boże, a ja w nie wierzę...

– A ja i sam bym księdza ubił za to mącenie prostym ludziom w głowie. Ale ja jestem człowiek dobry i wiele mi nie potrzeba. Ot pomieszkamy razem jeszcze trochę, to sam ksiądz zobaczy. Na pewno ksiądz zobaczy...

Rykałow wstał i wyszedł bez słowa. Miał własne plany, zamierzał je realizować powoli i dokładnie. W swoim pokoju zastał Mieczysława Korycza, który wręczył mu listę nazwisk ludzi podejrzanych o niesprzyjanie nowej władzy. Kapitan uśmiechnął się pod nosem, skinął głową i postawił na stole butelkę wódki.

Było już późno, gdy Korycz wyszedł. Udał się wprost do domu Kiry i zastał ją, gdy myła głowę Włodzimierzowi.

– Musimy porozmawiać...

– Niech pan na mnie poczeka w pokoju.

– Słucham! – rzekła parę minut później.

Korycz spojrzał na nią ironicznie. Przychodził do niej prawie każdej nocy a mimo to wciąż mówiła do niego pan. Przymknął oczy i wyobraził sobie jej ciało. Czuł jego zapach, wyczuwał palcami gładkość skóry, krągłość kształtów.

– Zamieszkać tutaj – rzekł nie otwierając powiek. – Będę wychowywał twoje dzieci.

– A jeśli nie pozwolę na to.

– Życie jest krótkie, zawsze może być jeszcze krótsze...

Włodzimierz odsunął się gwałtownie od drzwi. Chciał porozmawiać z matką, jednak głos Korycza zatrzymał go w miejscu. Słyszał każde słowo i z każdym słowem zapadał w

sobie, ponieważ rozumiał że dzieje się coś bardzo złego. Tej nocy długo nie mógł usnąć. A kiedy wreszcie to mu się udało, stanął przed nim Korycz. „Nie jestem tym, na kogo wyglądam”, powiedział. „Jestem złem i zabiorę cię ze sobą.”

Rano Kira obudziła syna.

– Posłuchaj – powiedziała. – Mieczysław Korycz zamieszkał u nas. Nie lubię go. Wiem, że ty też go nie lubisz... Synku, musiałam się na to zgodzić...

– Czemu?

– Widzisz, czasami musimy coś uczynić, nawet jeśli tego nie chcemy...

– Nie rozumiem...

– Kiedyś zrozumiesz!

Włodzimierz już więcej o nic nie pytał. Matka miała smutne oczy i czuł, że cierpi. Nie opowiedział jej o swoim śnie, w którym przyśnił mu się mężczyzna stojący w ciemnościach przy ledwie widocznym drzewie. świat wokół niego był niewyraźny. Włodzimierz dostrzegł wyraz nie dającej się opisać udręki na jego twarzy, takiej jak u siedzącej przed nim matki. „Kim jesteś?” – zapytał w śnie, ale ów człowiek nie odpowiedział. Włodzimierz zrozumiał, że go nie dostrzega. „Może w moim śnie żyje naprawdę”, pomyślał, „a mnie tam, w rzeczywistości, wcale nie ma.”

Mieczysław Korycz z samego rana porozwieszał w widocznych miejscach regulamin zachowań dla domowników, przede wszystkim dla Włodzimierza. Było w chłopcu coś, czego nie potrafił zrozumieć, coś co go onieśmiało, krępowało, a niekiedy nawet przerażało. Walczył z tym tak, iż na każdym kroku demonstrował Włodzimierzowi swoją wyższość.

Włodzimierz z rana, gdy dom zanurzony był jeszcze w ciemności, a Korycz trzeźwił po codziennej dawce alkoholu, schodził szybko do domowych podziemi. Tam otwierał sekretne drzwi, prowadzące do pomieszczenia, w którym matka ukryła Marię. Dziewczynką opiekował się ojciec. Trzymał ją za dłoń, gdy wszedł Włodzimierz. I chłopiec pomyślał, że Dorniłowicz jest trzecią osobą, na twarzy której widzi tak ogromną udrękę. Dziewczynka jak zwykle spoglądała gdzieś przed siebie, w jakąś dal.

– świat jest zły, Włodzimierzu – rzekł Piotr. – Ciężko na nim żyć...

Chłopiec nie odpowiedział. Postawił na stole pudełko z jedzeniem, po czym cicho wyszedł. Udał się do swojej pracowni chemicznej, aby tworzyć tam nowe związki, cieszyć się ich kolorami, zgłębiać ich tajemnice.

Tymczasem Mieczysław Korycz i kapitan Rykałow szli ulicą w kierunku Miejskiej Biblioteki.

– O, to się siostrzyczki ucieszą, gdy nas zobaczą!– zaśmiał się kapitan.– Pewnie myślały, że już o nich, i o ich książkach zapomnieliśmy. A przecież władza ludowa o niczym nie zapomina. A ty, przyjacielu, źle wyglądasz. Za dużo kobiet, mój drogi, za bardzo się łajdaczysz. Nie patrz tak na mnie. Wiesz przecież o tym, że moja praca polega na tym, aby jak najwięcej wiedzieć o ludziach. Więc i o tobie...

– Czy coś się stało?

– Nic się nie stało. Nie bój się, bo widzę strach w twoim spojrzeniu. Ja wiem, że ty jesteś jak wierny pies...

– Nie jestem psem. Wierzę w sprawę!

– Jaki drażliwy... Ja też wierzę. Tyle, że przede wszystkim wierzę w siebie... Ot co...

Kapitan umilkł. Przypomniał sobie swoją ostatnią rozmowę z proboszczem. Uśmiechnął się pod nosem, rozkoszując się wyobrażeniem chwili, która za kilka sekund miała nastąpić.

Siostra Elżbieta czyściła regały z kurzu, Dominika wpisywała tytuły do inwentarza, gdy Rykałow zmierzał w ich kierunku. W bibliotece trwała cisza, ponieważ nikt ostatnio do niej nie zaglądał. Niekiedy tylko po podłodze przeleciała mysz, przepadając szybko w jakiejś dziurze. W powietrzu unosiły się niknącym echem monologi książkowych światów, poustawianych na półkach. Platon mówił, że życie jest snem, lub tylko cieniem prawdziwej rzeczywistości, gdzieś tam poza ludźmi. Wiktor Hugo pochylał się nad nędzą ludzkiego losu z wiarą, że największy łotr może odmienić serce. Cervantes udowadniał, że wszyscy całe życie walczą z wiatrakami. nawet jeśli wydaje im się, że tak nie jest. A Jezus uśmiechał się nieodgadnionym uśmiechem spoza kart Nowego Testamentu i mówił: Odwagi, ja jestem...

Tak więc w bibliotecznej ciszy unosiły się tajemne szepty. Siostry, skupione na pracy, trwały wraz z nimi. Niekiedy Elżbieta wyciągała dzieło, które ją zainteresowało.

Przerzucała w skupieniu jego strony. Uśmiechała się pogodnie, gdy myśli zawarte w książce były zgodne z jej myślami, a smutniała, kiedy było przeciwnie.

Szczęknięły drzwi.

Rykałow jednym spojrzeniem objął bibliotekę, zastygłe z przerażenia siostry. Wolno podążył w stronę Dominiki, a za nim jak cień sunął Korycz. Stanął przed Faustynką, uśmiechnął się lekko.

– Niech się siostra nie boi– powiedział cicho.– Czy ja jakiś potwór, aby mnie się bać?...

Dominika nie odpowiedziała.

– Ja tylko przychodzę wypożyczyć książkę. Chcę zostać czytelnikiem. Ot, moja prawda...

– Jaką książkę chce pan wypożyczyć?– zapytała.

– Niech siostra tak nie żartuje. Ze mnie tam żaden pan. Ja wiem, że u was sami panowie. Jeden pan lepszy od drugiego. Ale u nas tak nie ma. U nas są, siostro, towarzysze. Niech tak do mnie siostra powie: towarzyszu kapitanie.... Milczy siostra?... Niech i tak będzie... Interesuje mnie „Kapitał” Marksa.

– Nie mamy...

– Ach, więc nie macie takiej ważnej książki? Po co w takim razie biblioteka, skoro nie ma w niej ważnych książek. Prawda, towarzyszu Korycz?

– Prawda.

– Widzicie, towarzyszko siostro, towarzyszu Korycz zgadza się ze mną. A to mądry człowiek...

Rykałow zamilkł. Odwrócił się i zaczął krążyć pośród regałów, przyglądając się tytułom, potem ponownie stanął przed Dominiką.

– To nie biblioteka– oznajmił.– To śmiecie. Siostry teraz wyjdą ze mną, a książki usuną wieczorem moi ludzie. Zrobimy tu prawdziwą bibliotekę, taką dla ludzi pracy. Niech siostra nie płacze. Proszę dziękować losowi, że tylko tak się to kończy...



Tymczasem Salomon Goldman powoli wracał do zdrowia. Adam Brzoza nie wypytywał go o nic, ale często zabierał ze sobą na leśne wyprawy. Wędrowali pośród drzew obsypanych puchem śniegu. Sosny wyglądały prześlicznie zanurzone w cichej bieli. Świat zdawał się pogrążony w jakimś oczekiwaniu, potężny w sobie, nie zwracający uwagi na ludzkie bolączki. Wieczorem Salomon przypominał sobie nic nie znaczące chwile, które czemuś pamiętał. Na przykład trzask pękającej gałązki pod stopą. Zapach lasu. Niknącą pośród pni sarnę.

Zauważył, że pomimo biedy, leśniczy jest szczęśliwym człowiekiem. Nie lubił dużo mówić, ciężko było usłyszeć od niego nawet jedno słowo. Porozumiewał się gestem, spojrzeniem. A kiedy już coś powiedział, to naraz nabierało to znaczenia.

– Dobrze mi u pana, panie leśniczy – rzekł pewnego wieczoru Salomon po powrocie ze spaceru. – Nabrałem dystansu do siebie, do życia...

Brzoza pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Idę przed dom posłuchać szumu drzew – oznajmił Goldman. – Lepiej po tym mi się zasypia.

Były to mroźne dni, lecz ładne, słoneczne. Często padał śnieg, co rusz przysypując świat chłodnym całunem zapomnienia. Ludziom żyło się ciężko. Politycy wiele mówili i obiecywali, jednak nic się nie zmieniało. Dużo osób twierdziło, iż wojska polskie po pierwszych sukcesach doznają teraz porażek, i że wkrótce konnica Budionnego zatrzyma się pod Warszawą.

Jednak Stefę niewiele obchodził daleki świat. Po śmierci Jakuba Dornilowicza i zniknięciu Marii nic już ją nie zatrzymywało w Dębolicach. Wędrowała od wsi do wsi, od domu do domu. Nigdzie nie została na dłużej, ponieważ ludziom ciężko było ją utrzymać. Wreszcie dotarła do Królewca i tam zaczęła żebrać. Kuciała pod murem, wyciągała przed siebie dłonie, prosząc o jakiegokolwiek datki.

Któregoś dnia zaczepił ją miejscowy policjant. Kazał jej zapłacić grzywnę. Patrząc na niego rozszerzonymi ze strachu oczyma, bo nie miała takiej sumy i błagała wzrokiem o wyrozumiałość. Policjant pozostał niewzruszony, zagroził jej aresztem, jeśli w przez kilka dni nie uiści należności.

Stefa tej nocy uciekła z miasta. Podobnie jak Salomon Goldman szła długo przed siebie. Aż wreszcie trafiła na oddział czerwonarmistów, którzy najpierw ją zgwałcili,

potem napoili wódką i nakarmili. Dalej szła z nimi. Żołnierze ją polubili, bo dobrze gotowała, i nie protestowała za wiele, gdy któremuś z nich przysła ochota zaspokoić swoją żądzę.

Wreszcie poprosił ją do siebie dowódca. Nalał do kubka wódki i kazał wypić. Oznajmił, że jest dobrą dziewczyną, chłopcy co prawda robią z nią swoje, ale w końcu nikt święty nie jest.

– Jeśli chcesz, to przyjmę cię do oddziału– zaproponował.– Zostaniesz komunistką.

– Nie chcę– odparła.– Komuniści krzywdzą ludzi.

Dowódca spojrział na nią spod oka.

– Czy ja cię krzywdzę?– zapytał.– Jesteś z nami. Ty pomagasz nam. My pomagamy tobie. Jak ci się żyło do tej pory? Dbał ktoś o ciebie? Chyba nie. Jeśliby dbał, nie byłoby cię tutaj...

Dał jej czerwony mundur. Klasnął w dłonie, gdy go założyła, bo nie wyglądała w nim już tak jak ta Stefa, którą przed chwilą widział.

Dowódca pokiwał z uznaniem głową.

– Teraz już zostaniesz z nami– oznajmił.

I została. Jej minuty, dni i miesiące były teraz zupełnie inne niż kiedyś. Wędrowała wraz z mężczyznami, których mowy z początku nawet nie rozumiała, dopiero później zaczęła pojmować coraz więcej słów, potem niepostrzeżenie ich używać. Martwiło ją tylko, że nie może już chodzić do Kościoła i modlić się do pana Boga. Z czasem uświadomiła sobie, że jej modły nigdy nie odnosiły takiego skutku, jaki powinny.

– Och, durna ty, Stefa– mówił Stiopa, dowódca. – A komu to pan Bóg pomógł?... Ja takich nie znam. Prawda, że wiele zła na świecie. Ale kto takich ludzi jak ja czy ty krzywdził?... No, sama powiedz...

– Nie wiem...

Pomyślała, że nie musi wiedzieć. Ostatecznie cóż znaczyła wobec wielkiego świata.

Zima powoli dobiegała końca. Topniał śnieg, w przydrożach i na drogach zalegały czarne kałuże, powietrze niesło w sobie zapach nadciągającej wiosny.

Pewnej nocy kapitan Rykałow śnił o bezdrożach Syberii. Był to sen, który często go nawiedzał. Wędrował pośród nie kończących się zwał śniegu pośród biednych, obszarpanych ludzi, których twarze nawet nie dostrzegał, bo wokół szalała zamieć. śnieżne zimno cięło w policzki. A palce u nóg wydawały się otwartymi ranami.

Obudziło go gwałtowne tarmoszenie.

Jeden z jego ludzi szarpał go natarczywie za dłoń.

–Musimy uciekać– zawołał.– Konnica polska zbliża się do miasta. Gonią naszych, przegrywamy...

Rykałow założył w pośpiechu mundur. Wydał rozkazy. Kazał powiadomić Polaków, którzy z nim współpracowali, w tym Korycza, że trzeba opuścić miasto.

Nad ranem nie było już czerwonoarmistów w Dębołęce. W południe przemknęła przez miasto polska konnica. Dowódca szybko zrozumiał, co spotkało miasto, i ruszył w pościg za Rykałowem.

W Dębołęce zapanowała cisza.

Wieczorem ksiądz Korecki odprawił mszę dziękczynną. Na twarzach zgromadzonych wiernych nie dostrzegł radości. Widział jedynie zmęczenie. Przygnębione oczy. Podczas kazania mówił o nadziei i o zwątpieniu. Przypominał, że czasami dotyka człowieka zło. Zaciska nad nim dłonie i odbiera mu wszystko, co w jego życiu miało wartość. Tak dusi, tak dławi, że człowiek nie wie, co ze sobą zrobić. „Zło odbiera bliskich, odbiera godność, każe wątpić w boską dobroć i sprawiedliwość... Odbiera Boga... A stąd już tylko krok do zwątpienia i do rezygnacji.”

– Mamo, czy człowiek potrafi zwyciężyć zło?– zapytał wieczorem Włodzimierz.

Tysiące myśli przemknęły Kirze przez głowę, jednak nie wiedziała co odpowiedzieć. Jej życie było nieustanną walką. Nie uległa zwątpieniu, choć przecież mogła. Zawsze żyła myślą o przyszłości i o dobru swoich dzieci.

– Wierzę, że tak, synku– odparła po chwili, głaszcząc go po głowie.

Tej nocy Włodzimierz po raz pierwszy zaczął zastanawiać się nad złem, które dostrzegał już od dawna, ale które, dzięki Kirze, nie zaprzątnęło jeszcze jego umysłu. Nie rozumiał, że na niektóre pytania nie ma odpowiedzi.

Tymczasem ciemność zaległa nad Dębołąką

W tych ciemnościach Stefa wraz z czerwonarmistami przekroczyła granicę polsko-rosyjską. Przy nowych przyjaciółach poczuła się potrzebna. Ktoś ją doceniał, ktoś jej potrzebował. Coraz lepiej władała językiem rosyjskim, zaczęła w nim myśleć.

Polubiła smętne dźwięki rosyjskich dumek, śpiewane przy sypiących skrami ogniskach, kiedy blaszane kubki, napełnione samogonem, krążyły z ust do ust, a oczy oślepiało słoneczne światło lub usypiał blady księżyc.

– Dziwna ty jesteś– gadał jej niekiedy dowódca– dziwna, ale już nasza... A w Boga jeszcze wierzysz?

– Sama już nie wiem!

–Widzisz, niedługo o nim zapomnisz! Zapomnisz o wszystkim, co nie pozwalało być ci prawdziwym człowiekiem!

– Czy to prawda, że niszczyacie kościoły?

– Na co komu teraz kościoły?

Jeśli ktoś by przed rokiem powiedział Stefie, że zamieszka w mieście carów, pewno by pomyślała, że z niej kpi, lub coś pomieszało mu rozumy. Co prawda słyszała w życiu parę razy o Moskwie, tylko nawet nie wiedziała, gdzie jest.

Jednak było to jej przeznaczone.

Nie sądziła, krążąc moskiewskimi zaułkami, że jakakolwiek osada może być tak wielka. Przyglądała się z dala olbrzymim murom Kremla. Patrzyła w wody rzeki. I coraz bliższe było jej to, o czym kiedyś nie miała pojęcia.

Dopiero spotkanie z Szaryńskim odmieniło na dobre jej losy. Pół Polak, pół Rosjanin, komisarz do spraw politycznych, prawdziwy piewca nowych czasów, bliski i zaufany człowiek Stalina, nauczył ją nowego życia.

– Pomyśl, przez co przesłaś!– wyjaśniał.– Nikt nie miał nad tobą litości i ty też nie możesz mieć litości nad tymi, którzy do tego doprowadzili. A wrogów nam nie brakuje...

Nauczyła się strzelać i zabijać. Tylko za pierwszym razem, kiedy patrzyła w oczy skazańca, nim się do niej odwrócił, było to trudne. Przystawiła mu pistolet do potylicy,

przymknęła oczy, pociągnęła za spust. Usłyszała huk i poczuła mdły zapach krwi. Potem zaczęła wymiotować.

– Przyzwyczaisz się – rzekł Szaryński.

Pewnego wieczora, gdy się zbierała już do spania. Ktoś zapukał do jej drzwi. Ujrzała Szaryńskiego. Pociągnął ją bez słowa za sobą. Wsiadli do czarnego samochodu i szybko odjechali. Lał deszcz, więc niewiele widziała poprzez strugi deszczu.

– Gdzie jedziemy? – spytała Szaryńskiego.

– Zobaczysz! – odparł.

Potem prowadził ją mrocznymi wysokimi korytarzami, co rusz mijali wartowników, którzy przepuszczali politruka bez zbędnych słów.

– Wejź! – powiedział – gdy stanęli przed wysokimi drzwiami. Posłusznie pociągnęła za klamkę, Szaryński sunął za jej plecami jak duch. Drzwi rozwarły się i Stefa zamarła, bo ujrzała przed sobą przeszywające lodowate oczy, które zawładnęły nią w sekundzie raz na zawsze.

– Pozwólcie, towarzyszu Stalin! To właśnie Polka, o której opowiadałem...

– Siadajcie! – Stalin pogładził poząłkły wąs. – Widzicie – zwrócił się do Stefy. – Tworzymy teraz polską grupę komunistów. Przecież walczymy o pokój i sprawiedliwość dla robotników nie tylko tu, w Rosji, ale na całym świecie. Słyszałem o was i chcę, byście byli w tej grupie. To tyle... Resztę objaśni wam towarzysz Szaryński...

Po paru minutach ponownie siedzieli w aucie. Stefie zdawało się, że śniła, lecz politruk był obok niej. Rzeczywiście rozmawiała z samym Stalinem.

– Tak, to wielki człowiek – szepnął po cichu Szaryński. Położył dłoń na kolanie Stefy. Poczowała bijące ciepło od jego palców i nie protestowała, gdy pełzły coraz wyżej.

Tak wkroczyła w świat wielkich intryg, historycznych dat i politycznej ułudy.

Nie wiedziała, bo mało komu z ludzi opatrność dała tą wiedzę, że nic z tego co człowiek czyni, nie jest trwałe. W tych dniach, kiedy była jeszcze młodą dziewczyną, i nie знаła innego świata, oprócz świata wiejskiego podwórka, chłopskich przekleństw i losu uzależnionego od pór roku, po wiedeńskich ulicach błądził młody człowiek. Usiłował

sprzedać parę akwareli, które trzymał pod pachą. Jego blade niebieskie oczy błędziły po murach jakby nieobecne, zapatrzone w przyszłość. śniła mu się potęga i przyszłość, złote mundury i generalskie szlify. Stał tak, wypatrując klientów, a głód wzniecał w nim złość. Zacisnął pięści. Pragnął wielkich Niemiec, z granicami od jednego krańca świata do drugiego. I nikt ze spacerujących obok niego ludzi nie wiedział, że nad młodym mężczyzną krąży zło.

W wiele lat później Józef Wasirionowicz Stalin w bezsenną noc spacerował po korytarzach Kremla i rozmyślał o Adolfie Hitlerze, kanclerzu Niemiec, który wzbudzał w nim szacunek, ponieważ zdobywał coraz więcej i za nic miał polityczne układy. „Kim jest, do czego dąży”, myślał Stalin.

Mijały lata.

Włodzimierz dorastał. Zmieniało się jego ciało, ale dusza pozostała ta sama. Nadal lubił samotność i lubił rozmowy z samym sobą. Pisał wiersze, nauczył się grać na fortepianie. A wieczorami, gdy śnił, rozmawiał ze śmiercią, która zawsze pojawiała się mu pod postacią młodej dziewczyny o zielonych oczach. Zadawał pytania, a ona mu odpowiadała, lecz zawsze jej odpowiedzi były niejednoznaczne. „Czy jest Bóg?”, pytał Włodzimierz. „Odpowiedź jest w twoim sercu”, uśmiechała się. „Dlaczego do mnie przychodzisz?”, spoglądał jej w oczy, czując ich chłód. „To dar”, oznajmiała, „ jest przywilejem nielicznych, a ty go masz”.

Włodzimierz rano, gdy budził się ze snu, rozmyślał nad jej słowami. Czasami próbował rozmawiać o tym z matką, która słuchała go z uwagą, jednak wydawała się przestraszona.

– To tylko sny – odpowiadała. – Nie przywiązuj do nich wagi. Są ludzie, którzy widzą więcej niż inni. Może do nich należysz. Ale to nic dobrego. Nie mów o tym nikomu. Niech to pozostanie twoją tajemnicą.

Posłuchał jej rady, nie mając pojęcia o tym, że to pogłębi jego samotność. Nawet Esterze nie powiedział słowa.

Estera wyrosła na śliczną dziewczynę. Wydawało mu się, że wraz z nią pojawiają się zapachy i czary lasu, śpiewy ptaków, leśne cisze i burze, błękity i czernie chmur na niebie. Serce przepełniały mu nienazwane uczucia, niewyraźne tęsknoty i nadzieje, przeczuwane bóle. Spacerował z dziewczyną nad rzeką, zapominając przy Esterze o

rzeczywistości.

Nie śmiał powiedzieć jej o tym, co czuje. Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Marzył, że jest dla niej kimś ważnym. Jednak czasami dostrzegał ją z innym chłopcem. Wracał do domu, zamykał się w swoim pokoju, i leżał tam godzinami, próbując wygnać z serca ból.

Potem spotykał Esterę. Szli znów na spacer. Przy niej zapominał o zwątpieniu. Przy niej czuł się kimś ważnym.

– Włodku? – spytała pewnego razu dziewczyna. – Czy mógłbyś mnie pokochać?

Spłoszyło go to pytanie.

– Tak – odparł po chwili.

Przytuliła się do niego. A on zamarł, chociaż serce biło mu w piersi.

Przyszedł do domu szczęśliwy. Kirze wystarczyło jeden raz nań spojrzeć, aby zrozumieć, co się wydarzyło. Poczula smutek, bo jej dziecko stawało się mężczyzną i było mu dane doświadczyć tego wszystkiego, co z tym związane. Ponownie ją zdumiał upływ lat. Ujrzała przed oczyma małego, ufnego chłopca, wyciągającego do niej dłonie. I nie mogła pojąć, że jego dzieciństwo minęło tak szybko.

Starzała się. Codziennie przyglądała się z bólem i niedowierzaniem swojej twarzy. Pojawiało się na niej coraz więcej zmarszczek. We włosach znalazła parę siwych nitok.

„Jestem jak sen”, mówiła sobie. „Wszystko jest jak sen. Dlaczego człowiek w młodości nie liczy dni, a każdy z nich wydaje mu się nieskończony, starzec natomiast z trwogą spogląda na zegar bijący z godziny na godzinę szybciej. Trudno, tak już jest, nikt tego nie zmieni. Jak z tym wszystkim żyć, jak dawać sobie radę? Jak przewidzieć to wszystko, co przyniosą następne lata?”

Starala się, aby nikt nie zauważył, że podupada na zdrowiu, zwłaszcza dzieci.

Piotr Dorniłowicz, już bardzo postarzały, odwiedzał ją często i był jedynym jej znanym mężczyzną, który nie rozmawiał o polityce, przeważnie rozmawiał o swojej córce, wypytywał jak postępować z dziewczynką i wydawał się żyć tylko dla niej.

Maria dorastała, ale wciąż mało mówiła i w jej oczach było jakieś zamyślenie i

zdziwienie zarazem. Wieczorami modliła się za duszę księdza Rafała, którego pamiętała bardzo dobrze. Co roku, na Wszystkich świętych, zanosila kwiaty na jego grób i zapalała na nim znicze.

Uczyła się bardzo dobrze. Piotr Dorniłowicz pragnął, aby wraz ze wrzeźniem przeniosła się do Warszawy i tam dalej kontynuowała naukę w liceum pielęgniarstwie. Po cichu marzył o tym, że córka zostanie kiedyś lekarzem, jednak droga do tego była daleka.

Salomon Goldman zmienił się. Stał się spokojniejszy i cichszy. Nie krzyczał na robotnice i unikał romansów. Wciąż pamiętał mroźną noc, gdy siedł nie wiadomo gdzie, aby ocalić życie. Po latach czuł, że jego cierpienie nie było daremne. Zrozumiał wtedy wiele rzeczy, które jakoś umknęły mu w codziennej gonitwie za pieniędzmi, w rozmowach, który interes jest gorszy, a który lepszy. Jakież znaczenie miały jego pieniądze, gdy tamtego mroźnego wieczora stanęła przed nim śmierć...

– Zmądrzałeś, Salomonie – kiwał głową rabin. – Ludzie cię chwalą. Podobno zacząłeś budować sierociniec?...

– Owszem. Stwórca pomógł mi, więc tym bardziej ja mogę pomóc komuś.

– Dobrze, że tak się stało, dobrze, że tak postępujesz...

Rabin umilkł. Uśmiechnął się smutno, ponieważ pomyślał, że pomimo wszystko mało jest takich, którzy zauważają innych. A przecież tak niewiele potrzeba, aby jeden wejrzał na drugiego.

– Musimy być blisko siebie, bo nadchodzą ciężkie czasy dla nas wszystkich.

– Rabi, powtarzasz to, odkąd pamiętam...

– A co mam mówić! Sam widzisz, co się dzieje. Opowiadają, że nasz lud strasznie prześladowają w Niemczech!

– To prawda. Bogaci uciekają do Ameryki. Ale co będzie z biednymi?

Rabin nie odpowiedział. „To”, pomyślał, „wie tylko Stwórca... W naszym ludzkim rozumieniu zapewne nie czeka ich nic dobrego.”

Ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju weszła Estera Rabinowicz. Wyrosła na wyjątkową



piękność. Jej zielonkawe oczy płonęły życiem, cera była smagła. Wydawała się nieść za sobą magię wiosny, czary wschodnich baśni, smętne melodie skrzypiec, to znów szalone, zwariowane. Wręczyła rabinowi kopertę od ojca, pożegnała się i wyszła, ale pokój wciąż trwał jej obecnością.

Dziewczyna była całym światem Włodzimierza. Czasami jej nie rozumiał, czasami się bał, bo nagle potrafiła wybuchnąć śmiechem lub się rozplakać, albo odpłynąć myślami gdzieś daleko, gdzie nie miał dostępu. Była bardzo zmienna, nagle gniewała się i odchodziła, innym razem prosiła, aby został, chociaż musiał wracać.

– Jestem jak drzewa, jak rzeka – powiedziała kiedyś Estera, kiedy spacerowali nad nią.– Patrz, jaka jest piękna... wciąż płynie, wciąż mija. Jedne fale odpływają, po nich przychodzą następne.

– Co z tego, my jesteśmy i będziemy – odparł, biorąc ją za dłoń.

Tej nocy zbudziły go głośnie huki i drzenie szyb. Za oknem grzmiało. Czuł, że dzieje się coś strasznego. Do pokoju weszła matka i kazała mu się szybko ubierać.

– Musimy uciekać – powiedziała. – Wybuchła wojna.

Włodzimierz zbudził się. W uszach słyszał wciąż słowa: „co z tego, my jesteśmy i będziemy”, i uśmiechnął się lekko. Pociąg dudnił miarowo, za oknami lśniła mokra noc. Zostało już niewiele godzin do Dęboli. Cieszył się, że zobaczy miasto młodości. Był już bardzo stary, chodził z trudem wspierając się laską i bardziej zauważając świat wspomnień, niż świat realny. Wieczorami nawiedzali go zmarli. Przychodziła doń Estera, wciąż niezmiernie piękna. Pytał ją, dlaczego bez słowa wyjechała do Warszawy, aby tam, w powstaniu przeciw Niemcom, nagle zakończyć życie.

– Zawsze cię kochałam– odpowiadała.– Myślałam o tobie wędrując śmierdzącymi kanałami. Myślałam, gdy kula przeszła mi serce. Nie miałeś wtedy racji. Możemy się spotykać tylko w snach. Już nas nie ma.

Po wojnie długo poszukiwał Estery. Wreszcie trafił na jej cichy, skromny grób na jednym z warszawskich cmentarzy. Był pogodny jesienny dzień. Taki sam, jak ten, w który śmierć zaskoczyła jego matkę i siostrę. Przypatrywał się długo fotografii Estery. A potem położył na mogile wiązankę kwiatów.

Zadrzał, bo zauważył w szybie odbicie. I już wiedział, że w przedziale jest śmierć.

Pomimo upływu lat wciąż go odwiedzała. Przyzwyczyła się do jej obecności.

– Powinieneś sobie kogoś znaleźć, Włodzimierzu – powiedziała.– Miałbyś teraz rodzinę, dzieci. Jesteś sam, kiedy przyjdę do ciebie ostatni raz, też, będziesz sam. Człowiek nie powinien tak żyć.

– Moje życie to młodość – odparł. – Pamiętasz ten dzień, gdy zabrałaś moją matkę i siostrę?

– Nie miej do mnie pretensji. Jestem tylko wykonawczynią...

Pociąg dojeżdżał na miejsce. Serce biło mu mocniej. Na dworcu wsiadł do taksówki i poprosił taksówkarza, aby go zawiózł do najbliższego hotelu.

– Pan jest turystą?

– Tak – rzekł. – Ale kiedyś tu mieszkałem.

Zadumał się nad słowem „kiedyś”. Prawie już wszystko było w jego życiu „kiedyś”. Samochód jechał szybko. Mijali uliczki, w których starał się rozpoznać te ze swojej młodości. Wszystko było podobne i inne zarazem.

Hotel był skromny. Na lepszy nie było go stać, ponieważ życie nie obdarzyło go bogactwem. Jednak nie miało to już dla niego znaczenia.

Nazajutrz poszedł na cmentarz. Wydawało mu się, że znowu jest małym chłopcem, którego zaraz przygarnie matka. Zobaczył dwie mogiły, obrośnięte zieleń i bezwiednie zaczął płakać. Spoza pokrzyw i traw przebijały pożółkłe fotografie i zatarte napisy.

– Boże, pomóż – szepnął cicho.

Lecz rozumiał, że nic się nie zmieni, że wszystko dobiegło końca.

KONIEC